

KTO STRACIŁ JUŻ WSZYSTKO,  
ZAPOMINA, CZYM JEST STRACH

I G O R

# BREJDYGANT

S P I R A L A

znak

I G O R  
**BREJDYGANT**

S P I R A L A

Wydawnictwo Znak  
Kraków 2023

© Copyright by Igor Brejdygant, MMXXIII

© Copyright for this edition by Społeczny Instytut Wydawniczy Znak sp. z o.o., MMXXIII

Wydanie I

Kraków MMXXIII

*Rodzicom, którzy zabrali mnie na Sycylię*

# I

Gdzie to wszystko się zaczęło, od czego, od którego momentu?

Czy już na tym przyjęciu, czy później, kiedy przysłała do gabinetu, a może dopiero od wspólnego wyjazdu do spa na Warmii? Trudno było powiedzieć, ustalić jakiś konkretny punkt. Wszystko dziś, z perspektywy czasu, wydawało się płynne, nieokreślone. Zresztą wspomnienie nigdy nie jest czystą informacją, zawsze nałożone jest na nie to wszystko, co było, co jest teraz i co będzie później. A co będzie później?

Na razie swoim eleganckim jak z żurnala miniakiem z dachem w biało-czarną szachownicę Dominika jechała mrocznymi i brudnymi uliczkami Pragi do nie mniej eleganckiego i nie mniej żurnalowego loftu Oli po to tylko, by powiedzieć jej, że to już koniec. Nie zważając na konsekwencje, które mogą być przecież koszarne, jechała, aby wreszcie definitywnie zamknąć ten rozdział. Czas pokaże, niewykluczone jednak, że przy okazji zamknie też kilka innych rozdziałów. W każdym razie, choć nie wiedziała, nie umiała określić, jak i w którym dokładnie momencie to się zaczęło, przynajmniej będzie wiedziała dokładnie, kiedy się skończy. Na pewno dobrze ten moment zapamięta, więcej – nie zapomni go nigdy, choćby dlatego, że ów finał wywoła najprawdopodobniej efekt domina, który przewróci wiele innych klocków w jej życiu. Tak długo starała się utrzymać to wszystko i nie pozwolić, by złamało życie jej i jej bliskim, że teraz była już zmęczona, zbyt zmęczona, aby czuć cokolwiek, nawet strach.

Zatrzymała samochód na światłach przy skrzyżowaniu Ratuszowej i Inżynierskiej, opuściła osłonę przeciwsłoneczną i spojrzała w małe lusterko. Mimo zmęczenia jej pociągła twarz okolona długimi, jasnymi włosami wciąż była atrakcyjna w swej niezwykłości. Ostre rysy i karnacja lekko ciemniejsza od mediany typowej dla kraju, w którym się wychowała, czyniły ją cokolwiek odmienną, oryginalną. Dla jednych dzięki temu, a dla innych pomimo tego była kobietą piękną. Oczy miała wprawdzie w tej chwili podkrążone delikatnym mrokiem bezsenności, w ich kącikach zaś pojawiły się pierwsze kurze łapki, których nie było tam przed kilkoma miesiącami, ale wszystko to zdawało się działać ciągle na jej korzyść. Tak to bywa, iż piękne z czasem stają się nawet jeszcze bardziej wyrafinowane. Z zamyślenia, bynajmniej nie nad własnym wyglądem, ale raczej nad powodami, które przyniosły zmarszczki i cienie, wyrwał ją klakson zniecierpliwionego kierowcy. Zerknęła na minisemafor świetlny po to jedynie, by się upewnić, że facet z tyłu miał rację. Światło rzeczywiście było już zielone.

W miarę jak rozwijała się moda czy snobizm wręcz na upychanie nowych bloków i plomb między wiekową zabudowę albo – rzadziej niestety – na odzyskiwanie starych praskich kamienic, na ulicach i w podziemnych garażach zaczynało brakować miejsc dla tych, którzy nie byli właścicielami kosztownych mieszkań. Nie było ich też dla wszystkich tych, którzy jak ona w tej chwili przyjeżdżali tu w odwiedziny, tudzież dla tych, którzy mieszkali w owych loftach, ale mieli więcej niż jeden samochód. W czasie kolejnej peregrynacji po okolicznych uliczkach znów przeszło jej przez myśl, że w kraju nad Wisłą, inaczej niż w tych od dawna już zamożnych, wciąż najbardziej reprezentatywne dla dobrostanu jest posiadanie jak największej liczby kierownic. W związku z tym dziesięć minut zajęło jej szukanie miejsca parkingowego, co i tak było wynikiem wcale nie najgorszym. Ilekroć wybierała się w tych ostatnich miesiącach do Oli, do wskazywanego

przez nawigację czasu przejazdu musiała dodawać minimum kwadrans na krążenie w kółko po pobliskich zaułkach. Skąd Mapy Google miały wiedzieć, że w Polsce buduje się domy z myślą o jeżdżących wyłącznie na rowerach Holendrach? To krążenie odgrywało zresztą pewną znaczącą rolę. Właściwie było samo w sobie rodzajem metafory lub – bardziej jeszcze – uporczywie jak mantra powtarzanego memento, które brzmiało z grubsza tak: „Kręcisz się w kółko, rzeczywistość robi wszystko, co w jej mocy, żebyś tego nie robiła, więc zastanów się, odjedź stąd i najlepiej nigdy nie wracaj”. Usłyszenie i zrozumienie tego, albo raczej pogodzenie się z tym w końcu, zajęło jej pół roku. Sześć miesięcy, które choć najpiękniejsze w jej życiu, doprowadziły ją na skraj przepaści. Nie ją pierwszą i pewnie nie ostatnią dotknęła zasada życiowej równowagi. Im piękniej i radośniej jest teraz, tym koszmarniej i drożej przyjdzie za to zapłacić później.

Dziś postanowiła się zatrzymać. Idąc w kierunku oddalonej o pięć minut spacerem furtki, do której – podobnie jak do wejścia na klatkę i do mieszkania – miała własne klucze, zastanawiała się, czy będzie do tego zdolna i czy nie jest już za późno. Kiedy podeszła do bramki okolonego zielenią miniosiedla, rozejrzała się jeszcze, sama nie wiedząc dokładnie za czym. To znaczy może nawet byłaby sobie w stanie wyobrazić, czego się obawia, ale przy jej kompletnym braku doświadczenia i tak nie miała zielonego pojęcia, jak to coś czy ten ktoś miałby wyglądać. Dlatego rozglądała się za każdym razem i widziała mnóstwo rzeczy, które budziły jej niepokój, ale co właściwie powinna z tym zrobić? Nie wiedziała. Może zresztą był to jedynie element jakiejś dziwnej, pokręconej gry wstępnej. Ta obawa, emocja trudna do bliższego określenia powodowała, że na osiedle, potem do klatki, a w końcu po minucie, góra dwóch do mieszkania wchodziła na lekkim emocjonalnym haju. Wkraczając w ten świat, każdorazowo już od progu była w stanie

wzmoczenia. Skądinąd nie musiała w ogóle nigdzie wchodzić. Ostatnie sześć miesięcy było dla niej tak naprawdę jednym wielkim wzmożeniem.

Furtkę pokonała, przytknąwszy elektroniczną pchełkę do metalowej tabliczki grawerowanej lekko pretensjonalnym logo osiedla. Do klatki weszła, wstukawszy kod, choć też mogła ją otworzyć pchełką. Wpisanie kodu powodowało jednak, że w mieszkaniu na górze przez chwilę brzęczał domofon, a ona gdzieś z tyłu głowy zawsze miała przekonanie, że o swoim przybyciu powinna uprzedzić. Czy wynikało to z dobrego wychowania, czy może z delikatnej obawy przed zastaniem tam czegoś, co mogło ją niemile zaskoczyć, tego do końca nie wiedziała. Nie zastanawiała się zresztą nad tym nigdy przesadnie, bo ekscytacja ogranicza przeważnie w znacznym stopniu możliwość przeprowadzania takich pogłębionych analiz. Swoją drogą, czy wychowanie nie zostało wymyślone przypadkiem głównie po to, by innym, ale także sobie, oszczędzić nieprzyjemnych sytuacji? Czyli wychodziło na to samo.

Winda, drugie piętro. I znów to podniecenie, choć przecież dziś szła tam w zupełnie innym celu. No właśnie, teraz najbardziej obawiała się czegoś innego. Teraz zadawała sobie przede wszystkim pytanie, czy po przekręceniu klucza w zamku uda jej się nie zapomnieć, po co tu w ogóle przyszła.

Stała przed drzwiami i chwilę nasłuchiwała. To też robiła zawsze i w tym akurat przypadku nie mogło być już mowy o dobrych manierach. Klucz. Ten z niebieską plastikową obwódką, która nie była potrzebna, bo drugi był mały i służył, zdaje się, do otwierania wejścia do garażu, choć tego nie wiedziała na pewno, ponieważ w garażu nigdy dotąd nie była. Drzwi otworzyły się, jak zawsze, z cichym stęknieniem odsysających się miękkich gumowych uszczelek. Weszła. Gdzieś w oddali grało radio, a może telewizor albo podłączony do kolumn telefon.



– Ola... – powiedziała na tyle cicho, że usłyszała delikatne mlaśnięcie swoich rozklejających się ust.

Cisza.

Pewno znowu jakiś psikus, pomyślała.

– Ola, już jestem... – powtórzyła, odkładając klucze na rzeźbioną w ciemnym drewnie komódkę przy drzwiach.

Dźwięk metalu uderzającego o politurę mebla rozbił panującą tu dziwną ciszę i wprowadził lekki niepokój.

Zdejmując jeszcze po drodze ze smukłych dłoni ciasne rękawiczki z cielęcej skóry, ruszyła w głąb mieszkania. Czy wytrwam? Czy zrobię to, po co tu przyszłam? Czy uda się to wreszcie przerwać? Czy ja w ogóle tego chcę? Czy ma w tej chwili znaczenie to, czego ja chcę? Gonitwa myśli zdawała się przyspieszać i wtedy...

Nagie ciało jej ukochanej kobiety leżało twarzą do podłogi, a spod niego rozlewała się kałuża gęstej ciemnoczerwonej cieczy. W pierwszym momencie Dominika pomyślała zupełnie niedorzecznie, że musi podnieść Aleksandrę, bo ta za chwilę utonie we własnej krwi. Kiedy się pochyliła i ślizgając się w tłustej czerwonej mazi, zaczęła rozpaczliwie walczyć, żeby obrócić Olę na plecy, nagle dotarło do niej, że już nie stoi nad krawędzią przepaści. Nie stoi, gdyż właśnie zaczęła spadać w jej otchłań.

– Ola, Ola! – wołała, ale racjonalna część jej mózgu wiedziała doskonale, że tego wołania nie usłyszy już nikt, a jeśli nawet, to na pewno nie leżąca przed nią kobieta.

Cały przód tułowia Oli pokryty był krwią, podobnie jak teraz ręce, spódniczka, bluzka i kurtka klęczącej obok niej Dominiki. Gdzieniedzie między piersiami i poniżej widać było cięcia, a gdy próbowała wciąż

jeszcze rozpaczliwie podrywać ją w górę, jakby w nadziei, że przywróci w ten sposób ruch w tym, co już na zawsze pozostanie nieruchome, wylewały się z nich resztki zgromadzonej przez życie gęstej brunatnej krwi.

Co robić? Co ma zrobić w tej sytuacji? Przecież w ogóle nie powinno jej tu być, ani dzisiaj, ani kiedykolwiek. To mieszkanie nie istniało tak naprawdę. Nie mieszkała w nim żadna z nich, wynajęte było na kolegę Oli, za gotówkę od jakiegoś dziwnego typu, którego Dominika nigdy nie widziała na oczy. To był ich dom schadzek, buduar, przytulisko dla ich tajnego związku, który już od dość dawna nie był wcale taki tajny. Nie powinno jej tu być, ale choć nie znała się na tym za bardzo, intuicja podpowiadała jej, że kiedy policja w końcu się zjawi, i tak szybko dotrze do niej po śladach, które zostawiła dziś i przez ostatnie trzy miesiące regularnych wizyt. A wtedy będzie gorzej, o wiele gorzej. Dlatego po irracjonalnych próbach przywrócenia życia martwemu ciału sięgnęła zakrwawioną dłonią po telefon i ledwie widząc cokolwiek przez łyżę i rozmazany makijaż, wybrała 112.

Przyjechali szybko. Najpierw jacyś tacy mało rozgarnięci, w za dużych i źle skrojonych granatowych kurtkach, które upodabniały ich do ludzików Lego. Ci kazali jej wyjść na klatkę, ale nie pozwolili jechać do domu. Zresztą i tak nie miała pojęcia, jak w tej sytuacji miałyby tam pojechać. W ogóle nie miała pojęcia, co ma dalej robić. Była cała we krwi, a w mieszkaniu, teraz znów zupełnie sama, bo policjanci też wyszli na klatkę, leżała Ola. Jej Ola – kochanka, przyjaciółka, najbliższy człowiek, z którym właśnie miała się rozstać.

Po kilku minutach tępego wpatrywania się w plac zabaw za oknem usłyszała za sobą niski, chrapliwy głos mężczyzny.

– Pani Dominika Stawecka?

Dominika odwróciła się i pokiwała głową.

Ten policjant nie był ubrany w granatową kurtkę, nie wyglądał jak ludzik z klocków Lego. Był w dżinsówce i luźno narzuconej na nią skórzanej kurtce.

– Komisarz Paweł Milewski, Wydział do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw Komendy Stołecznej. – Siwiejący szatyn o pociągłej twarzy i niezbyt zadbanym, acz przez to może nawet bardziej przekonującym zaroście błysnął odznaką.

Spojrzała na dokument, ale raczej dlatego, że uznała to za stosowne, niż dlatego, że potrzebowała w tym momencie jakiegokolwiek potwierdzenia.

– To pani znalazła ciało? – zapytał, patrząc na nią czujnie.

– Tak... Ja przyszłam... Byłyśmy umówione... – Dominika miała wrażenie, że z jej ściśniętego rozpaczą i przerażeniem gardła słowa wydobywają się niczym kawałki plasteliny.

– A jak pani weszła do mieszkania? W sensie, skoro denatka nie mogła pani otworzyć? – spytał, a ona odniosła wrażenie, że przez jego twarz przemknął ledwie dostrzegalny uśmiech.

Ale jakiego rodzaju był to uśmiech? Pobłażliwy? Ironiczny? Przygważdżający? A może po prostu zobaczyła właśnie zwyczajny, ciepły uśmiech człowieka, który widział, w jak koszmarne jest stanie, i chciał jej jakoś pomóc?

– Miałam klucze – odpowiedziała stanowczo.

Zdawała sobie oczywiście sprawę, że ta odpowiedź wygenerowała nieskończoną liczbę pytań, które będą pączkować jedno z drugich, aż doprowadzą ją w końcu pod ścianę. Co zrobi wtedy? Tego nie wiedziała.

– Proszę jechać do domu. Jeśli jest taka potrzeba, któryś z kolegów panią odwiezie. Skontaktujemy się później, a do tego czasu proszę nie opuszczać miasta. – Teraz już się nie uśmiechał, ale i tak poczuła, że przynajmniej na razie nie jest jej wrogiem.

Najwyraźniej znał się na tej robocie na tyle, że choć o tym, co tu zaszło, nie wiedział jeszcze prawie nic, co do dwóch rzeczy nie miał wątpliwości. Po pierwsze, że stojąca przed nim kobieta nie zabiła tamtej w mieszkaniu, a po drugie, że z jej pomocą być może uda się dojść do tego, kto to zrobił.

– To co, jest taka potrzeba? – odezwał się znowu, wyrywając ją z odrętwienia.

– Jaka potrzeba? – zdziwiła się Dominika.

– Żeby ktoś zawiózł panią do domu – przypomniał.

Pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. Dam sobie radę. – Popatrzyła tam, gdzie on, czyli na swoje pokryte krwią Oli dłonie. – A mogłabym tylko...?

– Zaraz sprawdzę, czy technicy opracowali już łazienkę. Jeśli nie, to poprosimy sąsiadów. – Komisarz Milewski teraz już z całą pewnością uśmiechnął się do niej ciepło.

No więc jak to się zaczęło? Był kwiecień, a może maj. Nie, na pewno kwiecień, bo kilka dni wcześniej były święta Wielkiejnocy, które w tym roku przypadały jakoś na początku kwietnia. Właśnie. Było tuż po świętach, pamięta bowiem doskonale, z jaką przyjemnością jadła te wszystkie przysmaki przygotowane przez żonę ambasadora Węgier albo pewno raczej przez kogoś, kto się tym w ambasadzie zajmował. Musiała być mocno jeszcze wygłodzona wielkanocnym postem. U nich w domu przestrzegano się tego typu reguł z wielkim pietyzmem. To znaczy u niej

w domu rodzinnym nie aż tak, ale odkąd przed ponad dwudziestu laty wyszła za Mariusza, poddała się w pełni zasadom jego świata. Na początku było trudno, ale czego nie robi się z miłości, a ona długie lata kochała go bardzo. Nadal zresztą kocha go nie mniej, kochała go też wtedy, na przyjęciu w węgierskiej ambasadzie, i później, przez te wszystkie miesiące, które miały nadejść. Może jedynie ta miłość odrobinę się zmieniała, ewoluowała. Tylko w co? Czy przypadkiem nie oszukiwała się, wmawiając sobie, że w troskę? Wiele o tym myślała przez ten czas, ale teraz nie miała na to siły. Kompletnie nie miała siły. Ani na to, ani na nic innego. Mogła właściwie myśleć wyłącznie o niej i o tym, żeby zmyć jej krew ze swoich dłoni.

Tak, jedzenie było ważnym elementem nie tylko chyba dla niej, ale dla całości tego pierwszego momentu. Spotkały się w końcu przecież nad półmiskiem z koreczkami. Suszone śliwki opiekane w bekonie. Dlaczego pamięta się takie rzeczy? Dlaczego ona pamięta? Może dlatego, że to wszystko było właśnie tym. Cała ta historia, te ostatnie sześć miesięcy były smakowaniem życia, śliwkami zapieczonymi w bekonie, słodyczą istnienia, wszystkim tym, czego dotąd w zasadzie w ogóle nie zaznała. Czy wcześniej była przez to nieszczęśliwa? Niekoniecznie, ale chodzi o to, że jeśli gdzieś jest więcej, są inne rzeczy i inne potrawy, to dlaczego ich nie skosztować? Bo nie pójdzie się przez to do nieba? Bóg miałby być despotą, który broni ludziom korzystać z tego, co sam dla nich stworzył? „I nie wódź nas na pokuszenie”? Nigdy nie rozumiała tego zdania. Im więcej razy przechodziło przez jej usta i przez jej myśli, tym bardziej nie potrafiła go pojąć. Dobry Bóg stworzył koreczki, żeby wodzić na pokuszenie? Taka zabawa w to, kto się temu oprze? Bardzo to protestanckie, a ostatecznie to główna modlitwa także rzymskich katolików. To też jej główna i najważniejsza modlitwa.

\*

– Smaczne? – zapytała blondynka o długich, prostych, opadających prawie do ramion włosach, które, gdy pochyliła się obok niej, niemal całkowicie przysłoniły jej twarz.

Jak zazdrostki w oknach kuchni wiejskiego domu jej babci, pomyślała wtedy i od razu zganiała się za niedorzeczność tego skojarzenia. Z dzisiejszej perspektywy skojarzenie wcale nie wydawało jej się już tak niedorzeczne. W końcu zazdrostki służyły do tego, by coś zakryć, uchylając jednocześnie rąbka tajemnicy. Ukryć, by zachęcić, jak pończochy, podwiązki, stringi, gorsety. Ale to wszystko przyszło dopiero później.

– Pyszne – odpowiedziała Dominika, lekko się rumieniąc.

Tak naprawdę, odkąd sięgała pamięcią, była raczej nieśmiała. W ostatnich latach radziła sobie jednak z tą przykrą przypadłością całkiem nieźle. W końcu prowadziła znaną i popularną wśród warszawskich elit klinikę psychicznego dobrostanu. Pacjenci opowiadali jej często rzeczy bardzo osobistej natury, a ona wcale się nie rumieniła. Dlaczego więc zarumieniła się wtedy, na przyjęciu w rezydencji węgierskiego ambasadora? Być może dlatego, że już w tej jednej chwili zawierała się wiedza o wszystkich chwilach, które miały nadejść, tak jak w każdym kamieniu zawiera się wiedza o całym wszechświecie. Albo przesłanka była znacznie bardziej trywialna. Na półmisku przed nimi został tylko jeden koreczek, głównie dlatego, że Dominika stała tam od kilku minut. Czyżby blondynka z zazdrostką z włosów obserwowała ją już chwilę i jej pytanie o walory smakowe koreczków miało drugie dno?

– Przyglądam się pani, odkąd tu przyszłam. – Kobieta podniosła się znad półmiska z ostatnim koreczkiem.

Czyżby właśnie potwierdziła obawę Dominiki o bycie na cenzurowanym?

Zazdrostka uniosła się. Kobieta była bardzo atrakcyjna. Miała na oko trzydzieści pięć lat i lekko zaokrągloną twarz, co przydawało jej apetyczności. Jakby bez tego było jej mało. Dominika uśmiechnęła się do swoich myśli. Usta nieznanym były duże i pełne, oczy chyba niebieskie, ale tęczyówki lekko rozwodnione, inne w jakiś szczególny sposób, a owa inność powodowała, że trudno było oderwać od nich wzrok. Wydawało się przy tym, że fakt, iż Dominika patrzyła wprost w jej źrenice, absolutnie jej nie krępował. Przyjmowała to jako coś najzupełniej naturalnego, oczywistego wręcz. Czy dlatego, że inni też tak na nią patrzyli? Czy może raczej chodziło o to, że zaciekawienie Dominiki sprawiało jej tyle przyjemności, iż ta przykrywała ewentualne skrępowanie? A może blondynka w ogóle nie знаła takiego uczucia?

– Ola. – Wyciągnęła do niej dłoń. – Aleksandra Myśliwiec tak konkretniej. Nasi mężowie się znają, ale my nie miałyśmy dotąd okazji.

– Dominika. – Uścisnęła dłoń blondynki, a że sytuacja onieśmiała ją do granicy, poza którą zdolność asocjowania zwana potocznie inteligencją wchodzi w stan zawieszenia, dodała coś, czego dodawać nie musiała, bo z wypowiedzi Oli wynikało, że ta doskonale już to wie: – Stawecka. Dominika Stawecka.

\*

Dotyk to zupełnie osobna gałąź empirii. Ten zmysł, instrument poznawania rzeczywistości od zawsze interesował ją szczególnie. Jako mała dziewczynka żyła jakiś czas w psychotycznej nieomal obawie, że kiedyś może stracić wzrok. Wtedy przez długie miesiące na wszelki wypadek – działając z wyprzedzeniem, zapobiegając, a może zaklinając rzeczywistość w myśl zasady, że jeśli czegoś się spodziewam i do czegoś się przygotowuję, to na pewno się to nie zdarzy – potrafiła godzinami siedzieć z zamkniętymi oczami i uczyć się kształtu przedmiotów oraz ich faktury. Nauczyła się nawet odróżniać temperatury kolorów, odkryła

bowiem, że jeśli akurat świeciło słońce, to rzeczy ciemne stawały się pod wpływem jego promieni znacznie cieplejsze od jasnych. Przedmioty to jedno, ale dotyk ciała to coś zgoła innego. To znaczy nie zawsze, ale tym razem zdecydowanie. Może w tym dotyku, jak w tamtej chwili, też od razu poczuła wszystko to, co miało nastąpić później. Wszystko oprócz tego, co zdarzyło się dziś...

– Pani Dominiko. – Głos przystojnego komisarza przywrócił ją do rzeczywistości.

– Tak?

– Sąsiad spod szóstki zgodził się, żeby pani umyła u niego ręce. Do mieszkania, w którym to się... – Umilkł nagle, bo poczuł, że cokolwiek powie, dotknie czegoś, czego dotykać teraz, w obecności tej kobiety, nie należało.

– Dziękuję, panie komisarzu – Dominika przyszła mu z odsieczą.

Sąsiada spod szóstki znała z widzenia. Kilka razy spotkali się w windzie. Idąc teraz do jego mieszkania, myślała o tym, że pewnie będzie świadkiem w sprawie, opowie, że bywała tu zawsze w te same dni i o tej samej porze. Ciekawe, czy zauważył, że gdy wychodziła, niekiedy miała jeszcze rumieńce na twarzy – pomyślała, pukając do drzwi. Ona to zauważała, najpierw w kryształowym lustrze wyłożonej marmurem windy, potem w lusterku samochodowej osłony przeciwsłonecznej. Na szczęście czasem widzimy u siebie więcej rzeczy, niż widzą inni, a bywa też tak, że widzimy u siebie rzeczy, których w istocie nie ma. Jej zdarzało się to często. Wprawdzie dzięki narzędziom, w które wyposażyła ją jej profesja, wiedziała o tym, ale czy czyniło to jej życie znośniejszym?

– Pani w sprawie rąk? – spytał sąsiad, kiedy tylko otworzył.



Pokiwała głową. „W sprawie rąk”? Co to za pytanie właściwie? Z drugiej strony może dotykało istoty wszystkiego. Chodziło przecież tak naprawdę o ręce właśnie i o to, czy miała je czyste. No więc czy miała na rękach krew przyjaciółki i kochanki tylko teraz i tylko dosłownie, czy metaforycznie może też jednak? Na pewno nie miała czystego sumienia, ale czy przyczyniła się do jej śmierci? Myśli krążyły jej w głowie jak meszki nad sitkiem nadgniłych owoców.

– Przepraszam! – zawołała z łazienki, gdy po kilku minutach uznała w końcu, że musi zakręcić wodę.

– Tak?

W lustrze dostrzegła twarz mężczyzny i się odwróciła.

– Czy ma pan może papierowe ręczniki, bo nie chciałabym... – Wymownie spojrzała na swoje mokre dłonie.

Nie było już na nich krwi, nie było też już prawdopodobnie naskórka, bo tak długo szorowała je mydłem, a nawet leżącą na wannie szczoteczką. Nie było już, ale była wcześniej. Czy wypada wytrzeć ręce przed momentem jeszcze pokryte krwią kogoś, kto nie żyje, w czyjś ręcznik kąpielowy? Czy wypada, czy godzi się, czy to na miejscu, czy nikogo nie urazi, czy nie złamie zasad, czy...? Tak, z takich właśnie pytań w głównej mierze składało się całe jej życie. Jak z takiego pogmatwania mogła wylądować w łóżku z inną kobietą? Czy kiedyś to w ogóle zrozumie?

– Nie mam papierowych, proszę wytrzeć w mój. – Sąsiad wskazał na ręcznik, którego wcześniej nie śmiała nawet dotknąć. – Wiem, o co pani chodzi, ale nie ma problemu. Żadnego. Swoją drogą, mam xanax, jakby co.

Dominika popatrzyła na niego i po raz pierwszy tego dnia delikatnie się uśmiechnęła.

– Lekarz, ten, co przyjechał, żeby... Już mi dał relanium, ale bardzo panu dziękuję.

– Nie ma sprawy. Bardzo mi przykro z powodu pani straty – powiedział, pokiwał głową i zniknął w głębi mieszkania.

Przykro z powodu straty? Takie rzeczy mówi się o bliskich. Czyżby wiedział, że była mi bliska? – zastanawiała się, wycierając dłonie w ręcznik, który wskazał. Jak bardzo była mi bliska?

Tamtego wieczoru u węgierskiego ambasadora przegadały w sumie ze dwie godziny. Po kwadransie Dominika wiedziała już o Oli tyle, ile nigdy nie udało jej się dowiedzieć o własnej córce. Skądinąd córka była raczej małomówna, a tego na pewno nie można było powiedzieć o jej nowej koleżance. Tak, wówczas była jeszcze koleżanką, choć kiedy się rozstawały, po tym jak ich mężowie odbyli już wszystkie ważne i mniej ważne rozmowy, chyba właściwie bardziej przyjaciółką. Czy już wtedy tliło się w tej relacji to, co wkrótce miało eksplodować z taką siłą? Trudno stwierdzić, ale kto wie? Ola była zupełnie inna niż ona – otwarta, rozmowna, przyjazna, ekstrawertyczna. I bezpośrednia.

– A jak tam twoje relacje z mężem? – zapytała, kiedy wypily już po cztery kieliszki wina.

– Z mężem? – zdziwiła się Dominika. – W jakim sensie?

Zaskoczyła ją nie tyle treść pytania, bo tę doskonale zrozumiała, ile raczej fakt, iż Ola jej to pytanie w ogóle zadała. Zdziwienie wykorzystała do tego, by przegrupować siły i się zastanowić. Bo ona, Dominika Stawecka, kwalifikowany psycholog prowadzący między innymi terapie związków, nigdy nie zastanawiała się nad swoją relacją z człowiekiem, z którym spędziła ostatnie dwadzieścia kilka lat życia, czyli z mężczyzną w dobrze skrojonym garniturze, który stał teraz z drinkiem w ręku kilka kroków od niej i rozmawiał z jednym z ważnych gości.

– Jak to w jakim? – odparła Aleksandra, ale jej zdziwienie wydawało się naprawdę szczere. – W każdym. W łózkowym, intelektualnym, emocjonalnym, psychicznym. To mąż, czyli zgaduję, że spędzacie ze sobą sporo czasu.

– Często go nie ma, ale tak, spędzamy ze sobą trochę czasu... – Dominika się zamyśliła.

Dopiero to zamyślenie uświadomiło, zdaje się, Aleksandrze, że jej pytanie było rzeczywiście mocno zaskakujące. Jak to możliwe, że starsza od niej pani psycholog dwadzieścia parę lat po ślubie może być zaskoczona takim pytaniem?

– Dobrze – skwitowała po chwili Dominika lapidarnie.

No właśnie, starsza. Ale o ile? O to na razie Ola nie zapytała. Odpowiedź nie zmieniłaby i tak zbyt wiele. Dominika była tak seksowna, że to, czy miała czterdzieści, czterdzieści dwa czy może nawet czterdzieści pięć lat, nie miało w tej chwili żadnego znaczenia. Aleksandra widziała ją na wielu zdjęciach, była w końcu żoną człowieka przez lata będącego ministrem w rządzie, w którym wprowadzie znacznie mniej prestiżową, ale jednak też jakąś funkcję pełnił jej mąż. Panowie znali się od dawna i chyba jedynie przypadek sprawił, że one poznały się dopiero teraz.

– Jak dobrze, to super. – Ola postanowiła w tej sytuacji nie drażnić tematu.

Na to przyjdzie jeszcze czas, pomyślała.

Kto mógł wtedy przypuszczać, że tego czasu będą miały tak niewiele. Tyle było rzeczy do przegadania, których nigdy już nie przegadają, tyle spraw, tyle uśmiechów. Teraz już tylko ona żyła i szła tą samą, choć jakże inną ulicą do samochodu, który zostawiła kilka przecznic dalej.

Przed paroma godzinami zaledwie kierowała nią głównie potrzeba ukrycia tego wszystkiego. Obecnie wyglądało na to, że bardzo wiele będzie trzeba ujawnić. To jednak nie zaprzątało jej w tym momencie nadmiernie. W jej głowie wciąż powracał jeden obraz. Twarz nieżyjącej kochanki.

Podczas wieczoru spędzonego w ambasadzie powiedziały sobie jeszcze wiele osobistych rzeczy. Dominika mówiła głównie o dzieciach, bo na ich temat miała znacznie więcej przemyśleń niż na temat Mariusza. Aleksandra mówiła o mężu. Nie miała dzieci i to ewidentnie stanowiło w jej życiu poważny problem, ale do jego nazwania miało dojść dopiero za jakiś czas, gdy pojawiła się już u Dominiki w gabinecie. Mąż natomiast był tematem lekkim i łatwym do referowania, tak jakby Ola, zupełnie inaczej niż Dominika, w pełni go przemyślała i wielokrotnie omówiła. Jej Wojtek był lekkomyślny, niesłowny i puszczał się na prawo i lewo, ale wobec niej pozostawał szarmancki i pełen estymy. To ostatnie podkreślała szczególnie. Później Dominika zrozumiała, że tego brakowało jej najbardziej. Aleksandra też, trochę jak ona, była żoną przy mężu polityku, ale różnice były co najmniej dwie. Po pierwsze, mąż Dominiki stał wyżej na drabinie politycznej hierarchii i społecznego znaczenia, a po drugie – i to pewnie ważniejsze – ona miała swoją klinikę psychicznego dobrostanu, w której w pełni realizowała się zawodowo, jej nowa przyjaciółka zaś nie miała w gruncie rzeczy nic. Może też zresztą po części dlatego wydarzyło się to wszystko.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu leżącego na eleganckim drewnopodobnym panelu przy drążku zmiany biegów. Numer nieznany. Czyżby...

Odebrała połączenie przyciskiem na kierownicy.

– Halo?

– Widzisz, jak to się kończy? – Głos szarmanckiego skurwysyna w pół sekundy przewiercił jej kręgosłup z góry na dół.

– Czego chcesz? – zapytała po chwili.

– Żebyś była grzeczna.

– Aha. – Kupiła sobie czas do namysłu, poza tym jego słowa nie powiedziały jej nic oprócz tego, co już i tak wiedziała.

– Będziesz grzeczna?

– Co to znaczy?

– To, co do tej pory... – Mężczyzna zawiesił głos, jakby miał coś jeszcze dodać, ale ostatecznie się rozłączył.

– Skurwysyn, pierdolona swołocz, śmieć jebany! – Dominika usłyszała swój głos i wulgarne słowa, których, wydawało jej się, w ogóle do tej pory nawet nie znała.

Od początku, czyli od kilku godzin, nie miała wątpliwości, kto zabił Olę. To znaczy tak naprawdę nie wiedziała kto, bo nie miała pojęcia, kim są ci ludzie, ale nie wątpiła, że to oni za tym stoją. Tylko co z tego?

Dojechała do domu i drżącymi palcami wcisnęła przycisk otwierający bramę garażową. Jednak kiedy ta już się otworzyła, uświadomiła sobie, że nie będzie w stanie zjechać w czeluść podziemia. Zastanawiała się, co zrobić. W końcu wycofała i zaparkowała przy ulicy, kawałek od budynku. Tuż przy jej samochodzie stał znak zakazu zatrzymywania się, ale nie miała w tym momencie siły się tym przejmować. Wsiadła i ruszyła w stronę furtki. Po chwili zauważyła, że jakaś kobieta w panice zabiera córeczkę, która wpatruje się w nią jak zahipnotyzowana. Wtedy przypomniała sobie, że jest przecież cała we krwi. Spódniczka, bluzka, kurtka dżinsowa – wszystko wyglądało, jakby wpadło do wiadra z czerwoną farbą. Przyspieszyła.

Ania wyszła ze swojego pokoju zdziwiona, bo nikogo miało nie być w domu aż do popołudnia.

– Jezu, co się stało, mamgo?! Miałaś wypadek?!

– Nie... To znaczy właściwie...

Dominika chciała już tylko zniknąć w łazience, zdjąć to wszystko z siebie i wejść do wanny. Najchętniej na jak najdłużej, może na zawsze.

– Właściwie? – Ania patrzyła na nią w ten sam sposób jak przed momentem sporo młodsza od niej dziewczynka na ulicy.

Dominika zatrzymała się przy drzwiach i spojrzała na córkę.

– Ola nie żyje.

– Jak nie żyje?

– Po prostu, zabili ją. – Głos uwiązł jej w gardle.

Przez chwilę patrzyły na siebie. Co Ania wiedziała? Czego nie wiedziała? Czego się domyślała? Czy w ogóle kiedykolwiek zastanawiała się nad tym, dlaczego mama znika na długie godziny, a potem wraca taka odmieniona? Dominika nie znała odpowiedzi na te pytania, ale o ile wcześniej spędzały jej sen z powiek, o tyle teraz chciała już wyłącznie wejść do wanny.

Bulgot gorącej wody lejącej się z kranu w toń między jej udami niestety nie zagłuszył natrętnych myśli. Próbowwała ułożyć wydarzenia na osi czasu. A potem? Co było potem? Czemu tak? Tworzyła pośmiertny pamiętnik kochanki czy może przygotowywała się do tego, co nieuchronne, czyli do pytań, które wkrótce zada jej ten prawdopodobnie jedynie z pozoru miły facet w dżinsowej kurtce?

Do jej gabinetu Aleksandra weszła niezapowiedziana już dwa dni po przyjęciu u węgierskiego ambasadora. W ambasadzie, w czarnej

sukience z gołymi ramionami i oczami mocno podkreślonymi maskarą, wyglądała jak mroczna księżniczka. Teraz Dominika zobaczyła przed sobą młodziutką dziewczynę, która przed chwilą zeszła z tenisowego kortu i była gotowa iść na studencką imprezę nad Wisłą. Która podobała jej się bardziej? Najbardziej podobało jej się to, że oczarowywały ją obie.

– Dzień dobry – powiedziała Aleksandra i uśmiechnęła się bielą prawie mleczaków.

Dominika przełknęła ślinę.

– Dzień dobry.

– Zaskoczona?

– Trochę.

– Niemile?

– Mile.

Potem poszły na lunch. Była wczesna wiosna, kwiecień, więc wszystko kwitło, pachniało, zieleniło się i zapraszało do radości, a Dominika, kto wie, czy nie pierwszy raz w życiu, dała się zaprosić. Nie żeby wcześniej żyła w jakimś wielkim nieszczęściu, ale po prostu odgrywała swoją rolę. Była żoną, matką, szefową kliniki i terapeutką, podążała wytyczonymi koleinami. Wytyczonymi przez co, przez kogo? Nigdy się nad tym zbytnio nie zastanawiała. Może przez kulturę, przez obyczaj, no i na pewno też przez religię, bo ta od zawsze stanowiła ważny element ich wspólnego życia, najpierw z samym Mariuszem, potem we trójkę z Rafałem, w końcu, kiedy na świat przyszła Ania, w czteroosobowej rodzinie. Właśnie. Z religią był problem największy. Czują, że będzie, i to od razu, od momentu, kiedy ich dłonie spotkały się nad półmiskiem koreczków w rezydencji ambasadora Węgier przy ulicy Chopina, choć wtedy nie wiedziała jeszcze dlaczego.

– Przyjmiesz mnie na terapię? – zapytała nagle Ola pochylona nad sałatką z krewetkami.

– Nie wiem, czy mogę.

– Czemu?

– W sumie... czemu nie? – Dominika delikatnie się zarumieniła. – Przyjmę cię.

Rzeczy wrzuciła do pralki na dziewięćdziesiąt stopni na najdłuższy program. Teraz siedziała naga na krawędzi wanny i wpatrywała się w bęben, w którym miały się jej zakrwawione ubrania. Powinna wszystko najpierw odmoczyć w zimnej wodzie, nie zrobiła tego jednak, bo nie mogłaby patrzeć na krew, jej krew pływającą w misce. Tak pewnie nie zejdzie i będzie musiała wszystko wyrzucić. Rzeczy, owszem, da się wyrzucić, ale co zrobić ze sobą? Z pamięcią obrazów, z emocjami, z psychiką w ogóle? Co ma teraz począć? Zapisać się do jednej ze swoich terapeutek i opowiedzieć jej o namiętym romansie z kobietą, o szantażu, o zdradzonym w dwójnasób mężu, o cierpieniu i krwawej śmierci kochanki w dniu, gdy zamierzała się z nią rozstać? Nie, nie mogła tego opowiedzieć ani żadnemu z zatrudnianych przez siebie psychologów, ani psychologowi z zewnątrz, ani w ogóle nikomu. Najgorsze zaś w tym wszystkim było to, że w końcu komuś powiedzieć i tak będzie musiała. Tyle że wtedy zrobi to już najprawdopodobniej nie z własnej i nieprzymuszonej woli.

– Dominika?! – zza drzwi łazienki dobiegł głos zdenerwowanego Mariusza.

– Tak?

– Co się dzieje? Co się stało?



– Zaraz wyjdę. – Przekręciła głowę, podążając wzrokiem za rzeczami obracającymi się w bębnie pralki.

Nie wyszła zaraz, lecz po półgodzinie, dopiero gdy poczuła, że tabletką Clonazepamu wystarczająco rozmiękczyła jej głowę.

– Ania zadzwoniła, przyjechałem do razu, podobno tragedia jest. – Mariusz podał jej kubek z gorącą herbatą.

Mimo że na dworze było ciepło, a grzejniki i tak działały i w domu temperatura grubo przekraczała dwadzieścia stopni, Dominika trzęsła się, a jej usta były sine, jakby właśnie wyciągnęli ją z przerębla.

– Nie znam się na tym za bardzo, ale moim zdaniem masz typowe objawy szoku, więc może pojedziemy do szpitala? – zapytał z troską.

Przerażała ją ta troska, jego opiekuńczość i jego miłość, którą tak bardzo zawiodła.

– Nie, jest okej, dam radę. Wzięłam tabletkę, zaraz pewnie mnie zetnie i zasnę. Muszę tylko zasnąć – odparła, uśmiechając się blade.

– Co się stało? Możesz coś powiedzieć?

Znów ta troska, wyrozumiałość, empatia. Co ja mam z tym wszystkim zrobić? Dominika patrzyła na swoje usta odbijające się na powierzchni herbaty.

– Ktoś zamordował Olę – rzuciła zwięźle.

– To pewne, że zamordował? Może popełniła samobójstwo? Może to wypadek?

Mariusz próbował, zdaje się, rozładować sytuację, złagodzić przekaz, widać było jednak od razu, że sam nie wierzy, że mu się to uda. Był w tym skądinąd świetny, nauczyły go tego lata terminowania najpierw w roli asystenta posła, czyli politycznego „podaj, przynieś, pozamiataj”, potem posła, dyrektora różnych departamentów w MSWiA, wreszcie

wiceministra tegoż resortu. W polityce zawsze chodziło głównie o dwie rzeczy: o niwelowanie znaczenia prawdziwych zagrożeń i jednocześnie pompowanie wymowy spraw pozbawionych wpływu na cokolwiek, za to dających się dobrze sprzedać propagandowo. Miał to we krwi i choć absolutnie nie chciał tego w tej chwili używać, było to silniejsze od niego. Próbował więc za wszelką cenę zdeprecjonować budzącą grozę rzeczywistość.

Popatrzyła na niego.

– Całe ciało ze śladami po nożu, w pralce usiłuję właśnie rozpuścić wspomnienie o tym, więc proszę cię, Mariusz...

Nie miała pretensji. Bronił się przed dramatem, choć nie wiedział nawet jeszcze, jak jest wielki i co może przynieść. A może przeczuwa? – pomyślała.

Pokiwał głową przepraszająco.

– Gdzie? Gdzie to się stało?

– W mieszkaniu – odrzekła cicho.

– U nich w domu? Wojtek był?

– Nie, nie u nich. Ona wynajmowała mieszkanie przy Stalowej – powiedziała i zamilkła.

Tak naprawdę wynajmowały, bo Dominika pokrywała połowę czynszu. Na szczęście to Ola płaciła wynajmującemu, więc tu akurat śladu po Dominice nie było. Tylko co z tego, skoro mieszkanie i tak było usiane jej odciskami palców, a w tej chwili koledzy Mariusza z pracy oglądali prawdopodobnie cały lokal pod mikroskopem?

– Wojtek wiedział? – zapytał.

Pomyślała, że prawdopodobnie włączył mu się drugi tryb zawodowego zboczenia. W końcu oprócz tego, że był politykiem,

w jakimś sensie po tylu latach pracy w resorcie, a od kilku miesięcy w roli szefa sejmowej Komisji do spraw Służb Specjalnych był też po prostu śledczym.

– Nie mam pojęcia – skłamała po raz pierwszy i na pewno nie ostatni.

– A czemu tam byłaś?

– Często tam wpadałam. To jest moja przyjaciółka... – Nagle łzy napłynęły jej do oczu. – Była.

Mariusz popatrzył na nią z ogromem współczucia.

– Wiem, przepraszam. Coś potrzebujesz? Może jesteś głodna? Coś zamówić? – znów pytał z troską w głosie.

– Nie, nic. Po prostu się położę. Muszę się gdzieś schować, побыć sama, zasnąć.

– Jasne, chodź. – Ruszył w kierunku sypialni, po czym zerknął na stojącą cały czas z boku i obserwującą ich Anię. – Zasłonisz żaluzje?

Dziewczyna pokiwała głową. W tym momencie jej spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Dominiki. Może i Ania nie wiedziała wiele w sensie faktograficznym, ale w emocjonalnym czuła prawdopodobnie niemało. W końcu była jej córką.

Dominika próbowała zasnąć. Tylko jak tu zasnąć, kiedy właśnie straciło się miłość życia? Miłość, o której oprócz nich dwóch i tamtych drani – choć oni nie znali raczej pojęcia miłości, a jeśli już, to kojarzyła im się wyłącznie ze spółkowaniem – nie wiedział nikt. Nie mieli o niej pojęcia policjanci, którzy zjawili się na miejscu, nie miała pojęcia najbliższa rodzina, współpracownicy. Dlatego dopiero teraz, gdy wreszcie była sama i wiedziała, że nikt już nie zakłóci jej samotności, rozplakała się. Łzy płynęły niemo na poduszkę, a było ich tyle, iż w pewnym momencie przysła jej do głowy nedorzeczna myśl, że zaraz

przesiąkną przez pościel i materac, spłyną do sąsiadów i w ten sposób wyjdzie na jaw jej wielka tajemnica, która wyjść na jaw nie mogła.

Pierwsza sesja. Już wtedy chyba wiedziała, do czego to zmierza. Ola wiedziała raczej na pewno. W każdym razie znacznie lepiej od niej. W końcu, przynajmniej w jakimś sensie i zakresie, to ona reżyserowała całą sytuację. Tylko w jakim zakresie? No właśnie, to pytanie nurtowało Dominikę najbardziej, i to już od dosyć dawna. A teraz pojawiło się kolejne, które przykryło tamto, odebrało mu znaczenie. Czemu ją zabili? Czyżby powiedziała w końcu „nie”?

– Czyli... od czego to się zaczyna? W sensie taka sesja? – Oczy Oli wyłączały u Dominiki myślenie.

– Od tego, że mówisz mi, z czym przyszłaś. – Uśmiechnęła się, usiłując za wszelką cenę w nie nie patrzeć.

Tak nie może być. To wbrew wszelkim zasadom. Prowadzący – lekarz albo psycholog – nie może dać się uwieść pacjentowi. A co, jeśli jest uwiedziony od samego początku?

– Czyli co mnie gnębi? – doprecyzowała Ola.

– W zasadzie tak, choć nie tylko. Możesz mi też opowiedzieć o tym, co cię cieszy. Z tego również wcześniej czy później da się wywnioskować, co cię gnębi. Możesz opowiedzieć swoje sny, jeśli je pamiętasz. Możesz mówić cokolwiek. Ty płacisz, ja słucham.

– I tyle?

– Czasem coś powiem.

– Boję się – wypaliła Ola po chwili namysłu.

– Czego?

– Nie wiem tak do końca. Może, że czas minie, a ja wciąż będę tkwiła w tym samym miejscu.

– Nikt nie tkwi w tym samym miejscu. Nigdy.

– Miałam być pianistką. – Ola odruchowo spojrzała na swoje dłonie.

Były piękne. Palce długie i szczupłe, ale nieprzesadnie, skóra miękka, smukłe paznokcie – efekt delikatnego francuskiego manicure – zadbane.

Dominika bardzo chciałyby ich dotknąć.

– W trzeciej klasie liceum, dokładnie wtedy, kiedy wszystko się decydowało, złamałam rękę na nartach. – Podniosła wzrok i popatrzyła za okno. – Z perspektywy czasu myślę sobie, że za dużo było zawsze tego wszystkiego: pieniędzy w domu, narkotyków, tych drogich oczywiście, sportów, wakacji pod palmami lub na deskach. Musiało się coś w końcu wyjechać... przepraszam.

– Nie szkodzi. Może dobrze, że to się stało wtedy, a nie później, kiedy już przywykłybyś do sukcesów.

– Miałam fart?

– Nie, ale jeśli miało się to wydarzyć, to lepiej, że właśnie wtedy.

Dominika uśmiechnęła się do swoich myśli. Taki determinizm, postrzeganie życia przez pryzmat fatum czy – jak nazywali to inni – karmy to nie były dokładnie kierunki, które wskazywały współczesna psychologia i medycyna. Świat oświecony nie podążał tą drogą. Tyle że ona sama stała jedną nogą w tym, a drugą w religijnej metafizyce.

– Potem studiowałam nauki polityczne. Z mojego „dobrego domu” wyniosłam na starcie angielski, francuski i włoski, do tego dochodziły ogłada, erudycja na poziomie znacznie powyżej średniej krajowej, no

i uroda, a ładni z reguły łączą się z ładnymi, szczególnie kiedy w tle są jeszcze pieniądze. Czyli dyplomacja stała przede mną otworem.

Chwilę milczały. Aleksandra najwyraźniej zastanawiała się, co poszło nie tak. Na pewno nie robiła tego po raz pierwszy, takie rzeczy, momenty, sploty, które przesądziły o niepowodzeniu, zawsze analizuje się w kółko i od nowa. Pewno w nadziei na to, że w końcu zrozumie się ten prawdziwy, jedyny i wyjątkowy powód, a wtedy da się odkręcić to, co się wcześniej zakręciło, i odtąd życie pobiegnie już właściwym torem.

– I? – Dominika przypomniwała o swojej obecności.

– I... Nie wiem, może ta uroda była gwoździem do trumny...

– Do trumny? Przecież masz fajne życie, jesteś zdrowa, zamożna...

– I nieszczęśliwa – spuentowała Aleksandra.

– Może to nieszczęście jest tylko w twojej głowie – Dominika wypowiedziała banalną oczywistość.

Doświadczenie nauczyło ją, że czasem takie trywialne słowa, rzucone w odpowiednim momencie, potrafią przestawić ludziom klocki w głowie. A o cóż innego chodziło, jeśli nie o to?

– Za dużo było tych zalet, tych ułatwień. Z czasem zrozumiałam pewną prostą zależność: im bardziej masz w życiu pod górę i wszystko musisz sama sobie wyrywać, tym twardsza się stajesz i tym bardziej jesteś zadowolona z tego, co osiągnęłaś. – Ola znów patrzyła w okno.

Dominika nie była zadowolona, a tę konstatację poczyniła już tak wiele razy, że prawie nie słyszała własnego głosu, gdy ją wypowiadała:

– Każdy ma swoją ścieżkę i każda okresowo wiedzie pod górę. Jedni mają pod górę wcześniej, inni później, ale ważne, żeby nie iść pod górę, kiedy nie ma takiej potrzeby. – Chwilę przyglądała się siedzącej przed nią kobiecie, po czym dodała dla jasności: – Nie chodzi o zarzucenie

życiowych ambicji, raczej o to, by ich realizacji nie traktować jako mozołu.

– Ja nie realizuję ambicji. Zresztą nie pamiętam już nawet, jakie mam i czy w ogóle. – Ola wzruszyła ramionami, nie patrząc na Dominikę.

Trochę prowadziła tę rozmowę sama ze sobą.

Może to był właśnie dla Oli jakiś pokrętny sposób na zrealizowanie swoich ambicji? – zastanawiała się teraz Dominika, tępo wpatrując się w sufit sypialni. Leżała już od godziny i choć była skrajnie wyczerpana niedawnymi przeżyciami, w jej głowie panował taki zamęt, że o śnie nie mogło być mowy. Nasłuchiwała. Mariusz wrócił do pracy, ale gdzieś w domu wciąż była Ania. Dominika najchętniej by wstała i poszła sprzątać, gotować, prasować albo układać rzeczy w szafie. Wszystko jedno, byle tylko oderwać się od tych natrętnych myśli, od pytań i powracającej wciąż falami rozpacz. Dopóki jednak córka była w pobliżu, miała poczucie, że mogłaby takie zachowanie potraktować jako nieadekwatne do sytuacji. No właśnie, ciągle ta adekwatność do sytuacji, to dostosowywanie się do wymogów, istniejących, a często też zmyślonych, wszystkie te samoograniczenia. To one doprowadziły ją do miejsca, w którym była w tej chwili. Co gorsza, w jakimś sensie również Aleksandrę doprowadziły do miejsca, w którym teraz była, czyli do niebycia lub, wedle innej wykładni, do bycia zupełnie gdzie indziej.

W tle zabrzączał SMS. Dominika odszukała po omacku telefon na krześle obok łóżka.

„Za dwie godziny tam, gdzie zawsze”.

Do rozpacz i zamętu dołączył lęk, który wkrótce przekształcił się we wściekłość.

„Wal się” wystukała drżącymi palcami na wirtualnej klawiaturze smartfona. Przez moment wahała się przed wciśnięciem „wyślij”, ale tylko przez moment. Jeśli to wyśle, sytuacja może się rozwinąć tak naprawdę jedynie na dwa sposoby. Albo, co niestety bardzo mało prawdopodobne, po tym tekście odbiorca rzeczywiście pójdzie się walić, albo, co wielce prawdopodobne, za moment przyjdzie SMS lekceważący jej wiadomość i przekaz się powtórzy. Wiedziała zatem, że nie ryzykuje wiele, a przynajmniej sobie trochę ulży.

Po minucie zabrzączał kolejny SMS.

„Za półtorej godziny”.

Prawdopodobieństwo to jednak przerażająca domena, pomyślała.

Pół godziny później stała przed Anią ubrana i z grubsza podmalowana.

– Muszę wyjść.

– Ale jak? Czemu nie śpisz? Dokąd chcesz iść?

– Na policję. Wzywają mnie, muszę złożyć zeznanie – skłamała.

– Zadzwoń do taty, niech im powie, żeby dali ci na razie spokój. –

Ania była inteligentną dziewczyną.

Czemu ona nie wyszła? Czemu wciąż jest w domu? Nie ma dziś zajęć na uczelni? – zastanawiała się Dominika, ale nie mogła zadać córce tych pytań.

– Chcę to mieć za sobą. Jak się wygadam, to może mi ulży – ucięła dyskusję.

„Tam, gdzie zawsze” oznaczało ławkę skrytą między krzakami nieopodal żoliborskiej cytadeli. Ławkę wepchnęli w to mało ławkowe



miejsce prawdopodobnie jacyś żule złąknieni ciszy i intymności, które mogli tam kontemplować, popijając wino marki wino albo jakiś inny, najtańszy w danym okresie wariant zmiękczacza rzeczywistości. To było jednak dawno, teraz żule nie praktykowali już za bardzo przesiadywania na ławkach w krzakach, a może praktykowali, ale nie na tej, tudzież nie o tej porze roku. Ławkę ową jej ciemżyciele wybrali dla dość umownej obopólnej wygody. Była blisko jej domu, więc mogła zawsze łatwo i szybko do niej dotrzeć, pod pozorem na przykład spaceru z psem, o którego istnieniu doskonale wiedzieli. Dla nich korzyść z grubsza polegała na tym samym – na łatwości i szybkości kontaktu z nią, kiedy sytuacja tego wymagała. Ale choć ławka stała na uboczu, Dominika nigdy dotąd z żadnym z tych tajemniczych oprawców się tam nie spotkała. Zapewne chodziło o to, by mogli się skryć przed jej wzrokiem. Tak sądziła, choć nie zastanawiała się nad tym przesadnie. W ogóle przez ostatnie kilka miesięcy starała się myśleć o tym jak najmniej. Głównie dlatego, że i tak zjadało ją to po kawałku każdego dnia. Zjadało ją, bo zdradzała Mariusza, a chwilami też przychodziło jej do głowy, że zdradzała kraj, który dał jej edukację, mentalność, kulturę i wiele jeszcze innych mniej lub bardziej lubianych składowych jej osobowości. Słowem, wyglądało na to, że zdradzała ojczyznę, a to w jej etycznym porządku był czyn usytuowany wysoko na mrocznej stronie katalogu przewin.

Usiadła na ławce. Za plecami miała mur. Jedna z cegieł była luźna, trzeba było wyjąć ją dyskretnie, potem zaś kartkę z mnóstwem cyferek. Kartkę chowała do małej kieszonki w dżinsach albo w czymś innym, co akurat miała na sobie. Generalnie chodziło o to, by w razie zatrzymania mogła ją w sekundę połknąć. Cegła wracała na swoje miejsce, a ona, odsiedziawszy kilka minut pod pozorem oczekiwania, aż jej Lola się wybiega, wstawiała i szła do domu. Tam brała z półki książkę, którą akurat czytała – o tym, co akurat czytała, informowała tamtych zawsze

w korespondencji zwrotnej – i dalej było już z górki. Pierwsza cyfra to strona, druga to litera i tak do końca niezbyt długiej przeważnie wiadomości. Po jej odczytaniu karteczka lądowała w muszli, a ona przystępowała do realizacji przekazanego jej zadania. Tak trwało to od czterech miesięcy z okładem, ale nim się zaczęło, musiało się w jej życiu wydarzyć jeszcze coś, czego nie oddałyby nawet za cenę uwolnienia się od nich. Czemu miało to dla niej aż tak wielką wartość, że była gotowa oddać za to wszystko, co z mozołem do tej pory uzbierała?

Kiedy poznali się z Mariuszem, Dominika kończyła właśnie liceum nazaretanek na Czerniakowskiej. Rodzice przyjechali do Warszawy w połowie lat dziewięćdziesiątych z nieodległego geograficznie, ale zamorskiego niemalże pod względem mentalnym i kulturowym Wyszkowa. Przyjechali z tego samego powodu, z jakiego przyjeżdżali tu wszyscy – w stolicy były praca, edukacja i pieniądze. Ale że każdy kij musi mieć dwa końce, była tu też niestety lewicowa postępowość. Często przybysze z jakiegoś świata koniecznie chcą zgubić wszystko to, co przywieźli ze sobą, z rewolucyjnym zapałem walczą z tym, co ich kształtowało, stają się neofitami nowego porządku. Rodzice Dominiki byli inni. Wzięli z nowego świata to, co uznali za przydatne, ale postanowili nie gubić przy tym tego, w czym wyrosli. Barbara i Janusz Więclawscy pozostali więc wierni swoim przekonaniom, a ona trafiła do nazaretanek.

Mariusz, starszy o pięć lat, czyli – idąc sprawdzonym rytmem różnic wiekowych w budowaniu związków – w sam raz, pojawił się w jej życiu trochę przypadkowo. Poznali się na chrzcinach u znajomego z Ministerstwa Rolnictwa, w którym ojciec Dominiki pracował jako urzędnik niższego szczebla. Wymiana telefonów, spotkania. Najpierw bardzo nieśmiałe, limitowane i zachowawcze, z czasem przekształciły się w coś w rodzaju randek, choć daleko im było do trybu, w jakim randkowali ich znajomi, wyzwoleni warszawiacy. Pocałunek, potem

trochę więcej, ale nigdy do końca. Wreszcie ślub poprzedzony rzetelnie odbytymi naukami kościelnymi, seks, który niósł nawet pewną obietnicę, choć odległą i nigdy niespełnioną, oraz ciąża. Rok po ślubie urodził się Rafał. Później udało jej się, częściowo dziennie, a częściowo zaocznie, skończyć psychologię i pojawiła się Ania.

Wszystko szło dobrze. Poprawnie, stabilnie i sensownie. Tyle że nie było w tym tego czegoś.

Dlaczego kobieta? Może dlatego, że to kobieta zaproponowała to pierwsza, a może delikatnie ku kobietom skierowały ją cztery lata pobytu w żeńskim liceum, jakże ważne dla kształtowania się seksualności i preferencji. Ciekawe, swoją drogą, jak dużo wiedzieli o jej przeszłości, na ile przygotowali się do wszystkiego, a ile było w tym rządzenia losu, przypadku, może intuicji równie złych, co przebiegłych ciemężycieli.

– Może pojedziesz ze mną na kilka dni na Warmię? – zapytała Ola na koniec jednej z sesji.

– Jestem twoją terapeutką, więc nie powinniśmy w ogóle mieć prywatnych relacji – odparła Dominika, ale mówiąc to, w głębi ducha liczyła, że znajdzie się jakieś wyjście.

– To zrobmy tam sesję. – Ola znalazła je w pół sekundy. – Możemy nawet pojechać osobno, na miejscu spotykać się dwa razy dziennie na godzinę, a to, że przy okazji odpoczniesz i się zrelaksujesz, to chyba nic złego.

– Przydałoby się.

– Wiem, widzę. Pamiętaj, że ty mnie terapeutyzujesz, a ja ci się przyglądam. – Ola uśmiechnęła się tajemniczo, po czym dodała: – To moi znajomi, przyjmą nas w gratisie. No, prawie w gratisie. Ja wstawię

tylko trochę swoich zdjęć stamtąd na Insta, mam sporo followersów. Ty nie musisz robić nic.

Jak wiele jednak kryło się za tym zdaniem o przyglądaniu się, kim tak naprawdę byli właściciele spa na Warmii i na czym polegał układ, Dominika miała się dowiedzieć dopiero za miesiąc. Na razie było miło, a co ważniejsze, z każdą chwilą coraz bardziej ekscytująco.

„Ja wstawię tylko trochę swoich zdjęć stamtąd na Insta, mam sporo followersów. Ty nie musisz robić nic”. Szczególnie ten fragment z dzisiejszej perspektywy wydawał się jakąś koszmarnie wręcz nietrafioną przepowiednią. Ola nie wstawi nic więcej na Insta, bo jej martwe, atrakcyjne już tylko dla patomorfologa ciało tkwiło w lodówce Zakładu Medycyny Sądowej na Oczki. A ona? Ona musiała zrobić, zdaje się, jeszcze bardzo wiele, i to właściwie w niekończącej się perspektywie czasowej. Zatrudniono ją na czas absolutnie nieokreślony.

Dominika wsiadła do samochodu i wyjęła z torebki czytaną ostatnio książkę. Postępowała absolutnie wbrew regułom, które jasno mówiły, że wiadomości nigdy nie mogą być odczytywane poza domem. Do tego odebrała ją przed momentem, nie miała ze sobą psa i nie odsiedziała na ławce zalecanych kilku minut.

Strona, literka, strona, literka, w końcu słowo, później zdanie. Nie zapisywała niczego, przynajmniej pod tym względem przestrzegała reguł. Słów nie było szczególnie dużo, zdanie jednak okazało się bardzo treściwe. „Nie fikaj więcej, bo mamy obraz z kamer, jak wchodzisz i wychodzisz z mieszkania, i nóż z twoimi odciskami palców”.

„Nie fikaj więcej”? Czyżby zabili Olę przez nią? Myśl jak błyskawica przeszła ją od czubka głowy po palce stóp. Bo fikała? Bo w końcu powiedziała im, że wali ją ich szantaż, że mogą wszystko przekazać prasie, że dość tego i że rozstaje się z Olą? Nie, to za mało. Ludzi ich pokroju cechuje totalna ekonomizacja poczynań. Musiało być

coś jeszcze, a teraz przy okazji ciągną po prostu drugą skórę z barana, obecny szantaż jest efektem ubocznym, ich zyskiem dodatkowym. Ola też musiała się postawić. Tyle że może zrobiła to dlatego, że Dominika zapowiedziała rozstanie, czyli w jakimś sensie na to samo wychodzi. Zabili ją przez nią.

A teraz są obrazy z kamer i nóż. A więc po tym, jak zerwała współpracę, podbili stawkę. Zabójstwo z wyjątkowym okrucieństwem, premedytacja, a nawet jeśli afekt, to i tak minimum piętnaście lat, czyli zmarnowane życie i rozpad rodziny. Dzieci? Może uwierzą w jej wersję, aczkolwiek wersja prawdziwa też będzie dla nich szokiem, bo przecież tego o niej nie wiedzą. Wierząca, praktykująca, wszystkie sakramenty w odpowiedniej formie i kolejności, wspólnota parafialna, przez jakiś czas śpiewała również w chórze. W domu dziesięć przykazań w teorii, a nawet do pewnego momentu w praktyce. Rafał nie wytrzymał już przed laty, wyprowadził się, ale teraz, z perspektywy czasu nawet on jest pod wrażeniem ich religijności. Sam trochę się pogubił, więc wrócił do nich i na łono Kościoła. Co mu teraz powie? Nad tym zastanawiała się zresztą już dłuższy czas, bo samo odejście z układu, rozstanie z Olą, a przede wszystkim z tamtymi groziło ujawnieniem wszystkiego. Mogła próbować się wyprzeć, umyć ręce, lecz z pewnych rzeczy wywinąć by się nie dało. „Rzeczy” kolekcjonowali uparcie i, zdaje się, bardzo rzetelnie, a kolekcjonować zaczęli już wtedy. Nie bez kozery przecież spa było tym spa, a nie innym.

\*

Przez pierwsze kilka dni było dokładnie tak, jak mówiła Aleksandra. Spotykały się dwa razy dziennie, wprowadzie nie na godzinę, a co najmniej na dwie, ale reszta była poświęcona wyłącznie wypoczynkowi, najczęściej samotnemu. Jednak nawet w tym, że owe pierwsze dni były spokojne i że wszystko odbywało się wedle zapowiedzianego grafiku, było coś przebiegłego. Oni muszą mieć spenetrowane wszystkie

zakamarki ludzkiej psychiki. Może rzeczywiście mają, już bowiem sama literatura własna, taki Dostojewski czy Czechow, to szkoła ludzkich zakamarków, jakiej nie ma chyba żaden inny kraj na świecie. No właśnie, tylko czy to oni, czy Ola? Kto to wszystko prowadził i jak to w ogóle się odbyło? Czy ktoś jej to kiedyś zdradzi, wyjaśni, skoro Oli już nie ma? Temu między innymi zresztą miało być poświęcone ich ostatnie spotkanie. Dominika najbardziej chciała się dowiedzieć, jaka była w tym wszystkim rola jej kochanki. Tyle, że do ostatniego spotkania już nie doszło.

– Może zjemy razem kolację? – Ola zaproponowała w końcu czwartego dnia.

Była sobota, czyli właściwie wszystko się zgadzało i miało sens. Po tygodniu pracy nad sobą nadszedł weekend, więc można było odrobinę nagiąć zasady. Tym bardziej że Dominika, zawieszona w tym czymś, na co czekała od dawna, a czego przez ostatnie cztery dni wyglądała z rosnącą intensywnością, teraz była już naprawdę gotowa. Na tym zresztą polegał majstersztyk ich psychologicznej przebiegłości. Kiedy myślała o tym dziś, z perspektywy czasu i wszystkich wydarzeń, ich przebiegłość szła nawet jeszcze dalej. Ktoś przecież musiał poznać też jej kalendarz miesięczkowy. Słowem, kontrolowali wszystko.

– Możemy – zgodziła się po chwili dobrze w jej mniemaniu udawanego namysłu.

– Ale tutaj czy pojedziemy gdzieś? – Ola była otwarta na wszelkie możliwości.

– Gdzieś?

– No nie wiem, do Olsztyna.

– Ale wtedy ktoś musi prowadzić... – Dominika podniosła kwestię.

– I nie będzie się mógł napić – dokończyła Ola. – Jasne, głupi pomysł. Więc tutaj. Zresztą kuchnia jest przednia. A potem basen...

– Żeby spalić kalorie. – Dominika się uśmiechnęła.

Wciąż jeszcze próbowała rozpaczliwie grać na dwa fronty. Była wersja oficjalna, według której przyjechały tu poprawić swój dobrostan psychiczny i fizyczny, a basen po kolacji stanowił element prozdrowotny. W wersji drugiej, która prześladowała ją głównie nocami, rola późnej kąpieli w basenie była zgoła inna.

Kolacja przy świecach, stolik na moło nad jeziorem, bo ośrodek miał dostęp do brzegu. Nie było upału, maj to jeszcze nie czas, gdy jest przesadnie gorąco, więc było miło, właściwie w sam raz.

\*

– Nie zapytam cię, czy byłaś kiedyś z kimś innym poza Mariuszem, bo to by było zbyt bezpośrednie, ale zdarza ci się o tym myśleć? – Aleksandra przerwała szum ciszy.

Wypiły dwie butelki wina, a wcześniej aperol jako aperitif. Dominika nie unikała alkoholu, lecz było tego sporo, mimo że zjadły nawet obfitą kolację.

– Zdarza mi się – odparła szybko, nie patrząc na Aleksandrę.

– A jednak – ucieszyła się ta żartobliwie. – Mężczyźni czy kobiety? A może i to, i to?

– Różnie – Dominika uniknęła jednoznacznej odpowiedzi, ale za to spojrzała na Olę.

Patrzyły sobie w oczy na tyle długo, że dalsze pytania nie były już właściwie potrzebne.

Potem była kolejna butelka wina, wypita na leżakach nad samą wodą, a później jeszcze coś. W końcu basen. Jak było na basenie i co się

tam działało, nie pamiętała kolejnego dnia, ale miała się tego dowiedzieć już wkrótce ze zdjęć i filmików, które ktoś przesłał jej z anonimowej skrzynki mailowej. Nie pamiętała basenu, lecz chłodna woda musiała ją trochę otrzeźwić, a może otrzeźwiły ją też emocje, które przyniosło to, co wydarzyło się po basenie.

Obietnica, której spełnienia przez lata nie miała nawet śmiałości się domagać, teraz spełniła się wielokrotnie i w nadmiarze. Aleksandra okazała się kochanką, której wyobraźnia i odwaga w realizacji wyobrażeń przekraczała wszystko, o czym marzyła nocami. Kochały się oralnie, kochały dotykiem, zapachem, wzrokiem, szeptem nawet, choć ostatnią rzeczą, którą Dominika pamiętała z tej nocy, był jej własny krzyk.

Rano Oli nie było, co więcej, nie było po niej śladu. Zaraz po przebudzeniu Dominika przez chwilę zastanawiała się nawet, czy jej pijana świadomość nie uroiła sobie tych wszystkich rzeczy, które pamiętała. Śniadanie rozwiało jednak wszelkie wątpliwości. Nie było obfite, bo ani żołądek, ani głowa, ani gardło nie były w stanie przyjąć wiele; intoksykacja była poważna. Nie było obfite w strawę, ale wypełniły je ukradkowe spojrzenia, uśmiechy i przypadkowe z pozoru dotknięcia, a w końcu delikatny pocałunek na spacerze w lesie przypieczętował sytuację. Tego wieczoru Dominika zdała sobie sprawę, że tak naprawdę właśnie teraz, właśnie tu, mając swoje czterdzieści cztery lata, ukochanego męża i dzieci, za które dałaby się pokroić, jest po raz pierwszy w życiu namiętnie zakochana.

Noc. Wciąż była mocno zawiana, ale już nie na tyle, by tego nie pamiętać. Jak zresztą można nie pamiętać największego przeżycia, jakiego, przynajmniej w sferze cielesnej, dotąd się doznało? Mimo wszystkich swoich doświadczeń, mimo tego, że uczyła się w żeńskim liceum, mimo tego nawet, że miała córkę, nigdy dotąd nie widziała zupełnie nagiego ciała innej kobiety. Ekscytacja? Podniecenie? Nie,



najpierw była ciekawość, zaspokajana wszystkimi zmysłami. Erotyczne wzmożenie przyszło później. Kiedy jednak już przyszło, zmiotło ją dosłownie z powierzchni ziemi, przynajmniej tej ziemi, którą знаła do tej pory. Orgazm był tak potężny, że przez chwilę myślała, że tego nie przeżyje. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, na moment straciła w ogóle kontakt z rzeczywistością, ale ten zaraz wrócił wraz z chęcią na więcej, coraz więcej.

Dwa tygodnie po powrocie z Warmii ze znajomego, jak jej się wydawało, adresu mailowego firmy prowadzącej kursy dla terapeutów uzależnień przyszła korespondencja z linkiem do filmiku instruktażowego. Kliknęła go bez zastanowienia, ale nawet gdyby tego nie zrobiła, i tak dotarliby do niej z tym przekazem w inny sposób. Na filmiku zobaczyła wszystko to, co stało się w pokoju hotelowym i co pamiętała tak dobrze, ale również sceny z basenu, których nie pamiętała. Przeraziła się. Pierwsze, co przyszło jej do głowy, to telefon do Oli. Spotkały się po godzinie w ustronnym miejscu, właśnie przy cytadeli. Ola była przerażona, a raczej – Dominika zrozumiała to później – jedynie udawała przerażenie. Zresztą kto wie, jak to jest z tym przerażeniem. Czasem nawet gdy wiemy, że działania przyniosą dramatyczne skutki, i tak jesteśmy przerażeni, kiedy ktoś je nam unaoczni.

– Co jeszcze było w mailu? – zapytała, gdy emocje trochę opadły.

– Krótka informacja, że się odezwą. – Dominika była blada, nawet usta miała lekko zsiniałe.

Taka wydała się Oli jeszcze piękniejsza.

– Oni?

– Oni. On, ona, nie mam pojęcia, Ola. Wygląda na to, że ten hotel, w którym byliśmy, ci właściciele... to nie mogło się wydarzyć bez ich wiedzy – Dominika dedukowała szybko.

– Znam ich od lat. Jeździliśmy tam z Wojtkiem, też działy się różne rzeczy, których mogliby użyć przeciw nam, narkotyki, swingowanie, a nigdy niczego takiego nie dostałam. – Ola naprawdę dobrze udawała zdziwienie.

– Czyli o co chodzi?

– Nie wiem. Może o pieniądze...? – Przyjaciółka po raz kolejny oglądała filmik z linku.

– Możesz ich jakoś wybadać?

– Jasne, spróbuję, ale na razie nie wiem nawet, jak się do tego zabrać.

– Może po prostu zapytaj? – Dominika czuła się naprawdę podle.

– Zapytam, chociaż głupio tak wprost. Coś wymyślę.

Patrzyły na siebie chwilę, zerkając jednocześnie na statyczny kadr z kamery zamontowanej, jak już ustaliły, prawdopodobnie gdzieś w telewizorze. Strach też niekiedy wyzwała namiętność, a Dominika przede wszystkim cholernie się teraz bała. Ola zresztą także. Z perspektywy czasu Dominika wiedziała, że Ola bała się trochę jak dziecko, które narozrabiało, doskonale zdając sobie sprawę, jakie będą konsekwencje, a jednak gdy miały już nadejść, bało się ich okropnie.

Potem był apartament, który można było wynająć jak pokój hotelowy, czyli szybko i na krótko. Zapłaciła za niego kartą kredytową Ola, bez żadnych oporów. Dopiero dużo później do Dominiki dotarło, że przecież już choćby to było oczywistym sygnałem, że coś jest nie tak. Tyle tylko, że kiedy namiętność bierze górę, kiedy chce się czegoś tak bardzo, że nie myśli się już o niczym innym, wszelka racjonalność i logika myślenia idą w odstawkę.

– Halo? Pani Stawecka? – męski głos rozbrzmiał w samochodzie, przywracając ją gwałtownie do rzeczywistości.

– Tak. O co chodzi? – odpowiedziała po namyśle.

– Paweł Milewski. Jestem...

– Wiem, komisarzem policji – przerwała mu. – Od Oli.

– Tak, od Oli, w pewnym sensie. Czy miałaby pani chwilę, żeby podjechać do nas do pałacu Mostowskich?

– Kiedy?

– Dziś, choćby teraz, jestem do dwudziestej.

Dominika milczała. Wiedziała, że to się wydarzy, że będą pytania, że ktoś ją nimi przyskrzyni, że facet w skórzanej kurtce powróci, lecz nie spodziewała się, że nastąpi to tak szybko.

– Ale nie musi być dziś... – Komisarz wyczuł, zdaje się, jej zdenerwowanie.

– Nie, przyjadę dziś. To trzeba jak najszybciej rozwiązać – odparła, nie mając pojęcia, co i przede wszystkim jak chce właściwie rozwiązać.

Kiedy jechała do siedziby komendy stołecznej, telefon odezwał się ponownie. Tym razem było jeszcze trudniej, bo dzwonił Wojtek, mąż Oli. Przez zestaw głośnomówiący brzmiał, jakby był w gorszym nawet stanie niż ona. Zapytał, czy mogą się zobaczyć, a Dominika, choć absolutnie przekraczało to jej możliwości, zgodziła się od razu. Coś w niej przeskoczyło i o ile ostatnie kilka miesięcy było nieustanną ucieczką i chowaniem się przed własnym wzrokiem, o tyle teraz postanowiła wziąć wszystko takim, jakie przychodziło, bez krycia się, bez uników i usprawiedliwień. Ola nie żyła, nic gorszego nie mogło się już wydarzyć.

– Czyli przysłała pani spotkać się z panią Myśliwiec? – komisarz Milewski rozpoczął od powtórzenia podstawowych faktów.

Dominika pokiwała głową.

– Tak, umówiliśmy się poprzedniego dnia.

– A co to było za mieszkanie? – zapytał podchwytliwie.

– W jakim sensie? – Dominika udała, że nie wie, o co mu chodzi.

– W takim, że mąż ofiary, pan Wojciech Myśliwiec, nie wiedział o jego istnieniu. – Milewski po raz pierwszy spojrzał na nią czujniej.

– Yyy... to prawda. Ola je wynajmowała bez jego wiedzy... – Dominika zaczęła lekko się zacinać.

– A czemu? Wie pani może, jaki był cel ukrywania tego mieszkania przed mężem? – Teraz już nie spuszczał jej z oczu.

Dominika milczała chwilę, a on wiedział doskonale, że nie zastanawia się bynajmniej nad tym, jaki był cel, ale czy mu go wyjawić. Ona z kolei wiedziała, że on to wie. Był przystojny, dobrze zbudowany, miły i... inteligentny. Wcześniej nie miała często do czynienia z policjantami, a jeśli już, to byli to funkcjonariusze znacznie wyższej rangi, w związku z tym mniej przystojni, gorzej zbudowani, nie tak mili i przede wszystkim znacząco mniej inteligentni, choć oczywiście zapewne bardziej cwani. Na podstawie tych nielicznych kontaktów, przeważnie towarzyskiej natury, wyrobiła sobie o nich niezbyt pochlebne zdanie. Ten stosunkowo młody jeszcze człowiek absolutnie je podważał.

– Nie wiem – skłamała, głównie po to, żeby zyskać na czasie.

Przed rozpoczęciem przesłuchania komisarz Milewski nie odczytał jej formułki o konsekwencjach składania fałszywych zeznań. Czyżby zapomniał? Raczej nie. Raczej dawał jej szansę, by tym razem nie była

zmuszona do mówienia prawdy, bo zdawał sobie sprawę, że powie mu znacznie mniej, a może zgoła nic. Wtedy sytuacja zrobi się dziwna, a on przecież wiedział doskonale, czyją żoną jest siedząca przed nim kobieta. W tym wszystkim nie chodziło jednak o to, że bał się o swoją karierę. Przeważył argument, że lepiej usłyszeć cokolwiek, nawet jeśli miałyby to być nicowane kłamstwem, niż nie usłyszeć nic. Kłamstwo zaś Milewski od zawsze potrafił odróżnić w zeznaniach od prawdy. Teraz też odróżnił.

– A od dawna przyjaciółka wynajmowała to mieszkanie? – spróbował z innej strony.

– Od... – Dominika znów lekko się zawiesiła, ale tym razem był to element gry aktorskiej.

Datę wynajęcia mieszkania, piętnastego czerwca tego roku, będzie pamiętała pewno do końca życia, była to bowiem przy okazji data pierwszej całej i – co także nie bez znaczenia – zupełnie na trzeźwo spędzonej wspólnie nocy.

– Jakoś od połowy czerwca – dokończyła.

– Coś się wtedy wydarzyło w jej życiu? Jako przyjaciółka pewnie wiedziała pani takie rzeczy. – Milewski uśmiechnął się przyjaźnie.

Nie grał z nią w głupa. Nie uśmiechał się, jakby chciał powiedzieć: „Nie wierzę w ani jedno pani słowo”, ani też nie zapewniał jej owym uśmiechem, że wierzy we wszystko. Uśmiechał się, żeby dać jej komfort i może gdzieś między słowami zadeklarować, że naprawdę jej sprzyja.

– Wydaje mi się, że im się nie układało. Chciała mieć taką swoją odskocznię. – Dominika wreszcie chociaż w małym kawałku mogła nie skłamać.

– Odskoknię? – zapytał, nie licząc jednak przesadnie na to, że ona mu to jakoś przybliży.

Jeśli kobieta, żona szefa Komisji do spraw Służb Specjalnych, nie mówi policjantowi o tym, że przyjaciółka miała kochanka, to kogo w ten sposób chroni? Pamięć o tamtej, kochanka, a może po prostu siebie albo, co nie mniej prawdopodobne, także swojego męża? – myślała Dominika.

– Tak, odskocznię. Spędzała tam sporo czasu. Zresztą dziwię się, że Wojtek, to znaczy mąż, o tym nie wiedział. Bywało, że tam nocowała, czasem kilka dni z rzędu, więc co sobie wtedy myślał? – zakończyła pytaniem.

Tak naprawdę doskonale wiedziała, co Wojtek sobie wtedy myślał. Ola, idąc zresztą po części za jej radą, rozpoczęła wówczas nowy etap w życiu. W związku z jej rodzinnym umocowaniem i z natłokiem instagramowych followersów błyskawicznie zatrudniła ją jedna z zagranicznych firm kosmetycznych i Ola z dnia na dzień została szefową sprzedaży na całą Polskę. Była to raczej funkcja dekoracyjna. Jej przyjaciółka nie miała zielonego pojęcia o sprzedawaniu czegokolwiek, całe życie zajmowała się raczej kupowaniem. Owa funkcja pozwalała jej jednak okresowo przebywać poza domem. Ola rzeczywiście jeździła do oddziałów firmy w różnych miastach, ale takie delegacje nie przekraczały dnia czy dwóch, a zdarzało się, że w domu nie było jej w związku z nimi cały tydzień. Resztę czasu spędzała w ich przytulnym zakątku na Stalowej.

– Pani Myśliwiec była szefową sprzedaży w firmie kosmetycznej. Kiedy jej nie było, mąż myślał, że jest w delegacji – komisarz powiedział jej to, co wiedziała i co on wiedział, że ona wie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Dominice było wstyd, że kłamie, czuła się zażenowana, bała się też po prostu. Milewski to widział, ale postanowił tego nie wykorzystywać, przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Czy ma pani jakiś pomysł, kto to mógł zrobić? – spytał rutynowo, lecz zaraz, uznawszy prawdopodobnie, że pytanie było zbyt

bezpośrednie, dodał: – Miała jakichś wrogów? Ktoś jej groził? Jakieś pieniądze, szantaże, zatargi?

Dominika pokręciła głową.

– Nie, nic o tym nie wiem.

Była zmęczona. Przez całe swoje ponadczterdziestoletnie życie nie skłamała tak wiele razy jak przez ostatnie pół roku, a dziś doszło już do absolutnej kulminacji. Nie była do tego stworzona – każde kłamstwo w rozmowie z Mariuszem, ale też z tym życzliwym, jak jej się wydawało, młodym policjantem kosztowało ją strasznie dużo zdrowia.

– Pani Stawecka – komisarz nagle zmienił ton – wiem, że pani na razie nie mówi mi bardzo wielu rzeczy, które wie. Nie naciskam, bo to by i tak nic nie dało, ale proszę się zastanowić, jak długo uda się pani utrzymać w czymś takim.

– W czymś jakim? – zareagowała raptownie.

– W takiej pułapce. – Uśmiechnął się znów życzliwie. – To się będzie nawarstwiać, zresztą wie pani o tym doskonale, jest pani błyskotliwą kobietą.

Błyskotliwą kobietą? Chyba nikt nigdy tak o niej nie powiedział. Nagle zdała sobie sprawę, że bodaj żaden obcy mężczyzna nie potraktował jej tak podmiotowo. A może przystojny komisarz próbował nią tylko w ten sposób manipulować?

– Schlebia mi pan, ale nie wiem za bardzo, o co panu chodzi – odrzekła chłodno.

– Chodzi mi o to, że ja i tak dojdę, kto zabił pani przyjaciółkę, a wtedy dojdę też do tego, co pani wiedziała i dlaczego nie chciała mi tego powiedzieć. To przesłuchanie nie jest nagrywane, nie odczytałem pani paragrafu o składaniu fałszywych zeznań, nie protokołuję, nikogo tu z nami nie ma. W związku z tym ta rozmowa tak naprawdę się nie

odbyła, więc może jednak to ten moment, gdy powinna mi pani coś powiedzieć. – Milewski umilkł i spojrzął za okno.

Pewnie po to, żeby mnie nie peszyć wzrokiem – pomyślała Dominika.

– Ona była moją kochanką – nagle usłyszała swój głos.

– Rozumiem – odparł po chwili tonem tak spokojnym, jakby takie informacje od osób jej pokroju słyszał trzy razy dziennie.

W rzeczywistości był w szoku. Wiedział jednak, że za nic nie może tego okazać. Gdzieś w tyle głowy pracujący na najwyższych obrotach aparat obliczeniowy uświadomił mu właśnie, że w tym wszystkim nie chodzi wyłącznie o to, że jakaś kobieta i żona miała inną, pozamałżeńską namiętność i że była nią kobieta. Nie, tu chodziło o coś znacznie poważniejszego. Siedziała przed nim żona prawnicowego ministra, człowieka, który słynął ze swojej religijności. Żona, która do tego towarzyszyła mężowi w różnych uświęconych miejscach. Ona też była religijna i, jak wynikało z jego obserwacji, musiała być w tym szczerą. Nie był to więc po prostu romans zamężnej kobiety, tylko złamanie wszystkich możliwych reguł, czyli dramat, a może nawet tragedia.

– Ale jej nie zabiłam. – Dominika zaczęła nerwowo szukać czegoś w torebce.

– Wiem o tym, pani Dominiko. – Komisarz podał jej chusteczkę. – Teraz nie mam już wątpliwości.

– Mój mąż – dodała po chwili wystraszona, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, co powiedziała i co może z tego wyniknąć. – On... na pewno wie pan, czym się zajmuje. Jest szefem sejmowej Komisji do spraw Służb Specjalnych, od zawsze był związany z organami ścigania i ze służbami. Jest takim, jak by to powiedzieć...



– Superszpiegiem? – Milewski przyszedł jej w sukurs, nie przestając czujnie się przyglądać.

– Tak, chyba tak można to nazwać. A może raczej antyszpiegiem, bo z tego, co rozumiem, zajmuje się głównie pilnowaniem, by źli ludzie z innych państw nie wykradali nam różnego rodzaju tajemnic.

Dominika zerknęła na komisarza, a ten uśmiechem i delikatnym ruchem głowy potwierdził, że wie to wszystko, i zachęcił ją, by mówiła dalej.

– Poza tym Mariusz jest człowiekiem bardzo religijnym, mocno trzymającym się zasad i... – Umilkła nagle, jakby wahała się, czy dojść do puenty, uznała jednak, że unikając jej, wprowadzi do rozmowy zbyt wielkie zawieszenie, które będzie jeszcze bardziej podejrzane. – Nie może się o tym dowiedzieć – dokończyła i wtedy dopiero spojrzała na policjanta.

Milewski uśmiechnął się znów i przyjaźnie pokiwał głową.

– Tej rozmowy, jak już mówiłem, w ogóle nie było.

Po wyjściu z komendy ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, były odwiedziny u załamane go być może jeszcze bardziej niż ona Wojtka. Z drugiej strony umówiła się już, a poza tym miała poczucie, że w jakimś sensie jej obowiązkiem jest go wesprzeć.

Kiedy była już pod domem Oli na Sadybie, zadzwonił Mariusz.

– Gdzie ty jesteś?

Zawahała się. Najprościej byłoby powiedzieć, zresztą zgodnie z prawdą, że pojechała do pałacu Mostowskich na przesłuchanie. Czasem najprościej nie jest jednak najlepiej. Przesłuchania przecież nie było, nie będzie więc z niego protokołu ani żadnego innego śladu.

Gdyby Mariusz to sprawdził, a mógł to zrobić w każdej chwili, zaczęłaby się afery.

– Wpadnę tylko do Oli, to znaczy do Wojtka.

– Dlaczego?

– Poprosił mnie, jest w rozsypce.

– Ty też jesteś w rozsypce. Moim zdaniem to nadużycie z jego strony, że cię ciąga teraz do siebie.

– Dam radę. Z nim jest chyba jeszcze gorzej.

– Jak uważasz. Czekam na ciebie w domu.

Do domu też się bała wrócić. Wszędzie to samo poczucie dyskomfortu. Żadnego miejsca, w którym mogłaby powiedzieć prawdę, a potem wypłakać się po stracie nie tyle przyjaciółki, ile... No właśnie, kogo? Kochanki? Partnerki? Dziewczyny? Konkubiny? Nie umiała nawet nazwać relacji, w jakiej pozostawała przez ostatnie kilka miesięcy. Kim Ola była dla niej? Co miało, co mogło się wydarzyć, gdyby to trwało dalej?

Wojtek czekał na nią przy drzwiach. Kiedy go zobaczyła, przypuszczenia dotyczące jego stanu się potwierdziły. Mąż Oli był totalnie rozbity. Oczy miał zapuchnięte od braku snu, od morza wypitego już zapewne alkoholu i od łez.

– Cześć. Dobrze, że jesteś. Chodź. – Wprowadził ją do salonu, który tak dobrze znała.

Wprawdzie w tym domu nigdy nie doszło do niczego między nimi, bo Ola uważała, że choćby ze względu na Wojtka byłoby to niegodziwe, ale gościła tu bardzo często. W końcu nominalnie były przyjaciółkami, a przyjaciółki bywają u siebie. Salon urządzony był z rozmachem i bez gustu. Pseudogreckie kolumny z pseudomarmuru, a do tego ogromne,

zajmujące pół ściany akwarium, w którym pływały strasznie dziwne i koszmarne znudzone ryby.

– Siadaj. Napijesz się? – Nie czekając na odpowiedź, Wojtek podążył w stronę barku.

Rozpacz i załamanie widać było nawet w jego ruchach. Ten energiczny na co dzień, wręcz żywiołowy człowiek zachowywał się teraz jak staruszek z by-passami i po trzech wylewach. Szedł wolno, niemal ciągnąc stopy za sobą, a towarzyszyły temu jakieś niezwykle tiki czy spazmy. Słowem, Myśliwiec wyglądał jak ktoś, komu pomoc medyczna na razie jest tylko potrzebna, ale lada moment może się stać wręcz nieodzowna.

– Powinieneś iść do lekarza – powiedziała Dominika, przyglądając mu się, kiedy podchodził do stolika z dwiema szklankami pełnymi bursztynowej whisky. – Ja nie będę piła. Samochodem jestem, leki brałam.

Pokiwał głową i bez jakiegokolwiek dodatkowej reakcji szklankę, która miała być dla niej, przesunął w swoją stronę. Miał teraz dwie i w tym momencie to zdawało się go zajmować najbardziej.

– Słyszysz? – przypomniała się w poprzednio poruszonej kwestii.

– Słyszę. Nie pójdę do lekarza, bo mam kilka promili, więc wyrzuci mnie z gabinetu. Zresztą po co mam do niego iść? – zapytał.

– Żeby nie umrzeć? – zasugerowała z delikatną pretensją w głosie.

Trochę jednak denerwowało ją jego histeryczne zachowanie. Przede wszystkim nie znosiła, gdy ktoś użalał się nad sobą, nawet w takich okolicznościach.

– Ona nie chciałaby, żebyś umarł – dodała po chwili ciszej i bardziej ugodowo.

Pokiwał głową przepraszająco.

– Pójdę, jutro.

Jakiś czas siedzieli w milczeniu.

– Byłaś tam?

Przytaknęła.

– Co tam się stało? – zapytał trochę bez sensu.

– Nie wiem dokładnie. Ktoś przyszedł i ją zabił.

– Jak?

– Chyba nożem. – Dominika nie miała siły o tym mówić.

Na samo wspomnienie zalała ją fala straszego lęku, przy czym nie był to lęk konkretny, lecz abstrakcyjny, rozlany. Jeśli był na coś ukierunkowany, to najbardziej na Mariusza, dzieci i na to, co z nimi będzie, kiedy to wszystko wyjdzie na jaw. W psychologii takie uczucie nazywano lękiem uogólnionym. Wzięła wcześniej tabletki, może powoli ich działanie słabło, ale nie mogła na razie wziąć więcej, bo kierowanie po nich samochodem byłoby gorsze od jazdy po alkoholu.

– Dlaczego ona miała to mieszkanie? – Wojtek nagle zapytał.

Musiał o to zapytać, wiedziała doskonale, że to nastąpi, a i tak pytanie wzmogło jeszcze falę strachu, która zaczynała się gdzieś w okolicach mostka i rozchodziła po całym ciele z taką intensywnością, iż pomyślała przez moment, że gdyby teraz musiała choćby podnieść rękę, to nie byłoby to możliwe. Fala dotarła do krtani i związała na moment jej aparat mowy.

– Musisz wiedzieć. Byłaś jej najbliższą przyjaciółką. – Patrzył na nią intensywnie.

– Potrzebowała miejsca... – Krtań chwilowo została uwolniona, ale nie do końca. – W sensie w życiu. Musiała odetchnąć.

– Ode mnie? – spytał smutno.

– Od wszystkiego, co wiązało się z tamtym życiem – odparła Dominika, unikając szczegółów, by póki to było możliwe, nie kłamać.

– Taka separacja bez wiedzy jednej ze stron, że jest separowana – stwierdził bardziej, niż zapytał.

– Może coś takiego, ale skoro o tym nie wiedziałeś, najwyraźniej nie chciała się odseparować do końca – wyjaśniła w podobnym tonie jak poprzednio.

Jakiś czas siedzieli w ciszy. Wojtek sączył whisky drobnymi łykami, lecz łąpczywie. W końcu odstawił szklankę i zapalił papierosa.

– Miała kochanka? – spytał wprost.

– Nie wydaje mi się. – Znow nie skłamała, chociaż nie powiedziała też prawdy.

Czy dla mężczyzny ma znaczenie to, czy kobieta ma kochanka czy kochankę? – zastanowiła się nie po raz pierwszy. Może jakieś tam ma, choć prawdopodobnie nieznaczące. Kochanek to nie tylko utrata wyłączności, intymności i zaufania, ale to też inny jeleń na rykowisku, to przegrana w obszarze męskości. Kochanka jeleniem nie jest, więc może coś takiego boli jednak trochę mniej.

– Nie wydaje ci się?! Przecież byłaś najbliższą jej osobą. Musiałabyś coś takiego wiedzieć! – uniósł się nagle.

Przez chwilę patrzyła na niego spokojnie. Być może alkohol dodał mu odwagi albo jeszcze bardziej pomieszał w głowie. W gruncie rzeczy miał prawo tak zareagować. Nieszczęście, które go dotknęło, było straszne, a do tego okraszone mrokiem niewiedzy, gdzie jego żona

znajdowała się emocjonalnie przez ostatnie miesiące i z kim była, gdy umierała.

– Nie musiałabym, bo są rzeczy, o których nie mówi się nikomu. Ale o ile wiem, to nie, Ola nie miała kochanka. Miała swoje miejsce, w którym zbierała myśli, ćwiczyła jogę, medytowała. Schodziła się ze sobą, nie z kochankiem – wyjaśniła.

– Ty ją do tego namówiłaś? – Atak Wojtka trwał nadal.

– Nie, Wojtku. Ja namawiałam ją, żeby ci o tym powiedziała – Dominika raz jeszcze nie skłamała.

Tak naprawdę obie na zmianę namawiały się do tego, by przestać żyć w kłamstwie. Niestety żadnej nie starczyło odwagi, aby to zmienić, a teraz, przynajmniej w przypadku Oli, było już na to za późno.

W drodze do domu zatrzymała się pod apteką. Nieuchronnie zbliżała się noc, ciężka noc, zatem musiała dokupić leków. W nocy lęk się nasila, a człowiek jest już tylko sam ze sobą, więc bała się, że bez tego może sobie nie dać rady. Co miałyby oznaczać „nie dać sobie rady” w tej sytuacji, nie wiedziała dokładnie, ale też wiedzieć nie chciała. Obłąd to coś, o czym wiemy mało, lecz co przeraża nas w życiu bodaj najbardziej. Kiedy wyszła z apteki i wsiadła do samochodu, nagle boczne, a po chwili również tylne drzwi się otworzyły i do miniaka wskoczyli jacyś ludzie.

Była ich dwójka, facet i kobieta, a jak miała się przekonać już wkrótce, różniła ich właściwie jedynie płeć. Byli mniej więcej w tym samym wieku, tak samo ładni i zadbani, podobnie ubrani i identycznie zobojętniali na wszystko, co działo się wokół nich. Słowem, dwa psychopatyczne klony.

– Dzień dobry – odezwała się z tylnego siedzenia ona, a on w tym samym momencie uśmiechnął się tak zimno, że Dominika wolałaby już chyba, by rzucił się na nią z nożem.

– Niezbyt dobry, szczerze mówiąc. – Pokręciła głową. – A państwo są kim, jeśli mogę wiedzieć?

– Oczywiście, że niedobry, jak to dzień żałoby – powiedział dla odmiany facet.

Głosy, choć różnej tonacji i wysokości, też mieli do pewnego stopnia podobne. Później nie raz Dominika zastanawiała się, gdzie jest fabryka, w której wytwarzają takich ludzi.

– Jesteśmy tymi, którzy do pani piszą, w jakimś sensie pani pracodawcami – wyjaśniła dziewczyna, upewniając ją tylko w tym, co pomyślała od razu, gdy ich zobaczyła.

– I...? – Patrzyła na nich z mieszaniną lęku i ciekawości, bo zobaczyć na żywo zabójców to jednak zawsze szczególne wydarzenie.

– I na razie poprosimy, żebyś spokojnie stąd odjechała. – Facet nie przestawał się uśmiechać.

Dominika pokiwała głową. Mogła protestować, może nawet spróbować otworzyć drzwi i rzucić się do ucieczki, ale była osobą na tyle racjonalną, by wiedzieć doskonale, że przed nimi i tak nie ma ucieczki, a oponowanie jest stratą czasu. Przynajmniej w tak specyficznych okolicznościach, w jakich się teraz znalazła.

– Dokąd? – zapytała, wrzucając jedynekę. – Dokąd mam jechać?

– Czy ja wiem? Może do jakiejś restauracji? Zamówimy po drodze jedzenie i odbierzemy... – Kobieta zwróciła się ku mężczyźnie, po czym spojrzała na Dominikę. – Ma pani jakieś życzenie?

– Tak, chciałabym już pojechać do domu.

– Chodziło mi o restaurację.

– Domyśliłam się, ale nie mam ochoty na jedzenie. Mam ochotę być w domu.

– I niedługo będziesz. Zajmiemy ci najwyżej kwadransik – facet rzekł uspokajająco.

Po pierwsze, zdrabiający gamoń, po drugie, śmieć wyciągnięty z krainy kompleksów, w której jedynym sposobem na ich pozbycie się jest mówienie do wszystkich na ty, po trzecie, bandyta, i to prawdopodobnie bezwzględny. Do tej pory o bandytach wiedziała tyle, co z książek, ewentualnie z kina czy telewizji. W każdym razie wyobrażenia, które wykształciły w niej literatura i film, najwyraźniej jednak idealizowały świat. A może to przez to, że nie czytała rzeczy bieżących, lecz raczej te, które przy okazji opowiadały o nieco innym, minionym świecie, za którym całą konserwatywną rodziną trochę tęsknili.

– Więc co teraz będzie? – zapytała po dłuższej chwili dziwnej ciszy, która zapanowała w aucie.

– Się okaże. Albo będzie luksus, albo będzie słabo, bardzo słabo – bez mrugnięcia okiem odpowiedział siedzący obok niej facet.

Zauważyła, że rzadko mrugają, i w jej umęczonym umyśle zakiełkowała myśl, że być może są jakimiś androidami.

– Może się jednak gdzieś zatrzymam? Państwo dokądś jadą konkretnie? – zagadnęła z głupia frant.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Proszę na razie jechać przed siebie, damy sobie radę.

Dominika pokiwała głową i ruszyła spod świateł, na których akurat się zatrzymała.



– Cieszę się, że w końcu mogliśmy się spotkać. – Kobieta, której twarz Dominika widziała w lusterku, nie przestawała się uśmiechać.

To, jak i co mówiła, uwłaczało w odczuciu Staweckiej definicji homo sapiens, lecz pokiwała głową. Co innego była w stanie zrobić? Ona nie cieszyła się zupełnie, ale też nie chciała na tym etapie niczego zadrażniać, bo zależało jej, by dotrzeć żywa do domu.

– Wiesz z naszej szyfrowanej wiadomości, jaka jest sytuacja – odezwał się mężczyzna.

Już się nie uśmiechał, ale mimo to nadal, przynajmniej w swoim mniemaniu, był miły.

– Wiem, jaka jest sytuacja. Ale po co ją szyfrowaliście, skoro i tak się widzimy? – Dominika zapytała logicznie.

– Zmiana planów, przyspieszamy. Poza tym i tak złamałaś protokół i odczytałaś wiadomość w samochodzie – wyjaśnił mężczyzna, a kobieta potwierdziła jego słowa skinieniem głowy.

– Rozumiem – odparła Dominika po dłuższej chwili. – I co teraz?

– No właśnie. – Facet jakby nagle sobie przypomniał, że nie spotkali się, żeby wspólnie pomilczeć. – Chcemy ci przede wszystkim podziękować za dotychczasową współpracę, która była naprawdę owocna.

To dość mocno ją przybiło, bo jeśli dla nich to, co robiła, było owocne, to dla jej męża i kraju najprawdopodobniej wręcz przeciwnie.

– Zauważyliśmy jednak, że od jakiegoś czasu usiłuje pani przestać nas wspierać – odezwała się tamta.

Po raz pierwszy bodaj, odkąd ich zobaczyła, uśmiech przestał gościć na twarzy kobiety klona, a Dominikę zaskoczyło, że bez niego wygląda jeszcze bardziej lalkowato.

– Tak, noszę się z takim zamiarem – powiedziała.

Tamci przez chwilę milczeli, jakby zastanawiali się, co począć, choć przecież doskonale wiedzieli, co zrobią.

– To niestety nie będzie możliwe. – Kobieta pokręciła głową.

– Zabijecie mnie, tak jak zabiliście ją? – spytała Dominika.

– Nie zabiliśmy jej i nie zabijemy ciebie, ale za to wsadzimy cię na długie lata do więzienia – wyjaśnił facet.

– Trudno – zaryzykowała Stawecka.

– Do więzienia prawdopodobnie trafi też pani mąż, za współudział – kobieta rozszerzyła ofertę.

Dominika patrzyła na drogę przed sobą.

– Nic na niego nie macie.

Nawet jeśli nic nie mieli, to sama wiedza o tym, co zrobiła, będzie dla niego koszmarem.

– Przekazywał dokumenty, brał udział we współpracy z obcym wywiadem, a gdy sprawa zaczęła się wymykać spod kontroli, postanowił razem z panią wyeliminować świadka, czyli Aleksandrę Myśliwiec. Nawet nie jestem pewna, które z was dostanie większy wyrok – kobieta rozwiała jej złudzenia.

– Czego chcecie? – zapytała Dominika wreszcie. – Czego jeszcze, do kurwy nędzy, ode mnie chcecie?!

– Chcemy, żebyście ty, twój mąż i twoje dzieci byli bezpieczni. – Facet osiągnął najwyższy stopień cynizmu.

W gruncie rzeczy nie chcieli niczego nowego. Miała po prostu zrezygnować z wszelkich prób odcięcia się od nich i kontynuować to, co robiła do tej pory. A co robiła do tej pory?

Pierwsze zagajenie nastąpiło mniej więcej tydzień po tym, jak dostała maila z filmikiem. Przez chwilę łudziła się już nawet, że może to był jakiś fejk, ktoś sobie z niej, a właściwie z nich, bo Ola też wydawała się naprawdę szczerze przerażona okolicznościami, zażartował. Niestety, z tego typu sprawami jest trochę jak z chorobą, która daje znać pierwszym symptomem, potem na pewien czas odpuszcza, ale przeważnie w końcu wraca. Tak, kiedy myślała o nich teraz, kojarzyli jej się po prostu z jakąś cholerną chorobą, a precyzyjniej – z chorobą weneryczną.

To był list wrzucony do skrzynki, lecz nie w domu, tylko w klinice, adresowany do niej, żeby nikt inny go nie podjął i nie otworzył, choć nawet gdyby to zrobił, niewiele by z tego wynikło. W środku była biała kartka z wydrukowanymi na drukarce laserowej dwoma zdaniami: „Załącz konto mailowe na Yahoo!, adres ma się nie kojarzyć z tobą. Adres, zapisany na kartce, zostaw na tylnym siedzeniu otwartego samochodu”. Ucieszyła się wtedy, bo przyszło jej do głowy, że ktoś być może zwyczajnie chce ukraść jej w miarę nowego mini morrisa i na tym sprawa się zakończy. Ale podświadomie wiedziała, że szantaże mają to do siebie, iż przeważnie nie kończą się nigdy. I to przerażało ją najbardziej.

Nie wiedziała jeszcze wówczas, że powodów do przerażenia będzie znacznie więcej. Konto założyła, kartkę wrzuciła. Niestety kolejnego dnia miniak stał, a kartki w nim nie było. Gdy dotarło do niej, że nie chodzi o samochód wart ponad sto tysięcy złotych, zaczęła się bać. Kiedy jednak zrozumiała, o co chodzi naprawdę? Czy dopiero po pierwszej informacji zostawionej za cegłą w murze cytadeli? Nie, to potwierdziło tylko jej najgorsze obawy, ale o co może chodzić, przyszło jej do głowy już tego ranka, gdy zobaczyła stojący pod domem samochód, który w jej mniemaniu mieli ukraść. Dominika umiała dodać

dwa do dwóch, w ogóle potrafiła bardzo wiele, znacznie więcej, niż na przykład wyobrażał sobie jej mąż, a zapewne też dzieci, które od zawsze widziały ją głównie jako żonę przy ojcu. Jeśli to był szantaż i jeśli nie chodziło o pieniądze, a ona była żoną wysoko postawionego polityka i jednocześnie funkcjonariusza struktur bezpieczeństwa kraju, to złożenie razem tych trzech elementów naprawdę nie wymagało inteligencji pozwalającej rozwiązywać problemy fizyki kwantowej.

„Interesują nas wszystkie dokumenty, które twój mąż przynosi do domu”. Tak dokładnie brzmiał pierwszy przekaz, jaki odszyfrowała za pomocą kodu i książki. Pamiętała jak dziś, że ową pierwszą książką była *Uległość* Houellebecqa, co tylko podkreślało symbolikę sytuacji. Ślęcząc z cyferkami w ręku nad jej stronicami, zastanawiała się nawet, co ten uznany i skądinąd raczej ekstrawagancki autor powiedziałby, dowiedziawszy się, do czego używana jest jego powieść.

„Wszystkie dokumenty, które twój mąż przynosi do domu”. A jeśli nie, to co? Nie musieli mówić. Ogólnie mieli z nią nie najgorzej, bo nie musieli zbyt długo tłumaczyć, co, jak i dlaczego. Jeśli nie, to filmiki trafiłyby do mediów. Żona prominentnego polityka rządzącej prawicy, praktykująca katoliczka, matka dzieciom, członkini wspólnoty parafialnej przyłapana na perwersyjnym seksie z kobietą – to byłby koniec. Nie tylko jej, ale przede wszystkim Mariusza. Na to nie mogła pozwolić. Był dla niej zbyt ważny, zbyt uczciwy i zbyt długo pracował na swoją obecną pozycję. Nie mogła złamać życia i kariery najbliższego człowieka. Właśnie, Aleksandra była wielkim, prawdopodobnie największym przeżyciem, najwspanialszą podróżą, jaką jej ciało i zmysły odbyły przez całe życie. Czy ją kochała? Pewno tak, ale Mariusz, choć nigdy nie doświadczyła z nim nawet przedśmionka tego, czego doświadczyła z nią, był wciąż i już na zawsze miał pozostać najważniejszą dla niej osobą. Może gdyby w razie ujawnienia jej nieuczynnych czynów kompletnie się od niej odciął, zażądał

natychmiastowego rozwodu, wyrzucił ją z domu tak, jak stała, ocaliłby to, do czego doszedł z takim wysiłkiem i na czym zależało mu tak bardzo. Może ocaliłby, tylko że Mariusz nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Wiedziała o tym i dlatego weszła w tę spiralę, która z czasem miała ją ściągnąć w dół aż do miejsca, w którym znajdowała się teraz.

– Czyli jak będzie? – zapytała kobieta, a jej głos ugrzązł głęboko w głowie Dominiki.

Stawecka nie odpowiedziała, ale po chwili pokiwała głową. Jak będzie? Będzie tak samo, aż do momentu, kiedy spirala przebije dno, a ona przeleci w jakiś zupełnie inny wymiar. Za szczęście zawsze trzeba zapłacić. Tak była wychowana i mimo lat pracy jako psychoterapeutka nigdy nie udało jej się zgubić obciążenia takim właśnie postrzeganiem świata i szczęścia w nim. Czy przyszło to do niej z wychowaniem, czy przyniosła to religia, która nie dość, że sączyła w nią od zawsze lęk przed karą za grzechy po śmierci, to w dodatku przerażała społecznym ostracyzmem, który mógł nadejść za życia? Jeśli za życia zazna za mało gorzycy, to później, już jako dusza w purgatorium, będzie się błąkać po świecie jak te dzieci z Mickiewiczowskich *Dziadów* w poszukiwaniu choćby ziarna gorzycy. Słowem, za życia nie może być zbyt pięknie, a w każdym razie lepiej, by panowała równowaga między pięknie a koszmarne. Wtedy łatwiej będzie wejść w zaświaty. Tak, gdzieś na czubku tego była właśnie owa wiara w Bożą sprawiedliwość, przy czym pojmowaną wcale nie po Bożemu, bo kto by to w ogóle potrafił, a raczej po swojemu. Jeśli jest ci dobrze i ci się szczęści, później musi nadejść czas smutku i porażki. No i nadszedł. Dla niej dość nawet szybko. Początkowo tylko może łatwiej było to znosić. Przekazywała fotografie dokumentów robione regularnie w gabinecie Mariusza, a w zamian dostawała rajskie objęcia Oli. Co ciekawe, długo była tak zadżumiona uczuciem do przyjaciółki i namiętnością, która niosła ją w przestworza, że w ogóle nie przyszło jej do głowy posądzać jej o współudział w tym

ponurym przedsięwzięciu. Myślała, że obie padły jego ofiarą, że to wszystko to przypadek, że jakoś będą się musiały razem z tego wyplątać. Zresztą myślenia w tamtym czasie w ogóle nie było zbyt wiele. Rozmawiały o tym, ale nieczęsto i nieprzesadnie to analizując. Życie szło dalej, a makabra narastała gdzieś w odległym, choć z dnia na dzień coraz bliższym tle.

– Nie zabiliście jej? – Dominika nagle przypomniała sobie coś ważnego z wcześniejszej części rozmowy. – Czyli kto to zrobił?

Klony popatrzyły na siebie.

– Pani niech nam powie – odezwała się wersja żeńska.

– Macie nóż z moimi odciskami palców, nagrania z kamer, ale jej nie zabiliście? – Dominika zaśmiała się krótko.

– Nagrania z tobą mamy z kilku miesięcy, więc i z wtedy, a nóż... Zanim się zjawiał, weszliśmy do jej mieszkania. Już nie żyła. Wzięliśmy kilka noży, umaczaliśmy w jej krwi, w naszym laboratorium wyszło, że na dwóch są twoje odciski, a jeden pasuje nieco lepiej do charakteru zadanych ran. Tyle.

Dominika pokręciła głową.

– Nie wierzę.

– Nie musisz – odpowiedział mężczyzna i się uśmiechnął. – Dla nas to bez znaczenia.

Wróciła do domu. Mariusz już na nią czekał, specjalnie wcześniej przyjechał z pracy. Mieli teraz w biurze koordynatora służb specjalnych dość ważny czas. Na obrzeżach kraju toczyła się wojna, która w każdej chwili mogła przenieść się do Polski. Mariusz był mocno zaabsorbowany, więc wyrwanie się do niej było z jego strony sporym

poświęceniem. Ilu takich dokonał w życiu? Jak dobrze o tym wiedziała? I jak źle jej teraz z tym było?

– Co tam u Wojtka? Trzyma się jakoś? – zapytał.

– Jakoś tak, ale z trudem – odparła.

– Czemu ona właściwie miała to mieszkanie? – zainteresował się, szperając w lodówce i próbując wykoncypować, co mogliby zjeść.

Dominika doskonale wiedziała, że gmeraniem w lodówce jedynie przykrywa wagę pytania, które wcale nie zostało rzucone mimochodem.

– Mieli ciężki czas z Wojtkiem – wyjaśniła, kłamiąc po raz kolejny, ale znów jedynie częściowo.

– Tak, to już mówiłaś. – Wyciągnął łososa z zamrażalnika. – Ale coś konkretniej?

– Konkretniej nie wiem. Kłócili się, on chyba kogoś miał – Dominika odpowiedziała niechętnie.

Mariusz nigdy nie przepadał za Wojciechem Myśliwcem. Byli z tej samej partii, co więcej, całe swoje zawodowe życie związali z bezpieczeństwem państwa. Różnica polegała na tym, że jej mąż był bardziej ceniony, kompetentny, a może też po prostu lubiany. W związku z tym jego kariera rozwijała się od zawsze lepiej. Wojtek ciągle pozostawał co najmniej o jeden szczebel niżej na drabinie politycznej hierarchii. Stąd prawdopodobnie, z tej utajonej i nigdy niewysłowionej rywalizacji, wynikała również nigdy nieujawniona wzajemna niechęć obu panów. Jak miała się do tego przyjaźń ich żon? Mariusz darzył Dominikę bezgranicznym zaufaniem, do tego przede wszystkim zależało mu na tym, żeby była szczęśliwa. Dlatego jej przyjaźń z Olą traktował jak zrządzenie losu, bo Dominika wydawała się szczęśliwa jak nigdy dotąd. Wojtek z kolei tolerował tę relację, choć nie był wobec niej zbyt entuzjastycznie nastawiony.

Mariusz najwyraźniej wyczuł, że Dominika – przynajmniej na razie – nie chce rozmawiać ani o tym, co się wydarzyło, ani o tym, jakie towarzyszyły temu okoliczności, a że nie zamierzał jej teraz naciskać, zmienił temat.

– A jak ty się czujesz? – zapytał, wkładając zamrożonego i zafoliowanego łososa do garnka z ciepłą wodą.

– Nie wiem. – W końcu Dominika nie musiała kłamać.

– Czyli? – Mariusz podszedł do cargo i wyjął ryż.

– Czyli nie wiem. Trochę, jakbym była w jakiejś bańce, oddzielona od rzeczywistości, od własnych emocji, poza sobą i tym, co się dzieje. – Spojrzała na niego.

Czując na sobie jej wzrok, odwrócił się z ciepłym uśmiechem.

– Idziemy na mszę na osiemnastą? Jak zjemy?

– Tak. – Pokiwała głową.

Kościół. Jaką rolę odgrywał w jej życiu? Pomagał czy wręcz przeciwnie, utrzymując ją w stanie duchowego zawieszenia, w dłuższej perspektywie nie pozwalał zająć się prawdziwymi problemami, z którymi się borykała? Jednak czy gorzej żyli ci, którzy zawierzali często ogromne troski i zawikłania Bogu? Pewno nie, ale jej problem polegał na tym, że stała w rozkroku. Była tak naprawdę zawieszona między dwoma światami.

Z jednej strony klinika wsparcia psychologicznego, czyli droga absolutnie dzisiejsza, wybitnie oświeceniowa, a z drugiej spowiedź i pokuta. Od dawna wiedziała, że to się nie klei, że długo nie da się tego łączyć, lecz wciąż łączyła, bo nie miała odwagi podjąć decyzji. Poza tym był Mariusz, który łączył, choć znacznie mniej, były dzieci, a może przede wszystkim był nawyk. Romans z Olą jeszcze pogłębił w niej świadomość tego rozdwojenia. Tak więc nadal spowiadała się



z problemów, ale też próbowała rozłożyć je na części pierwsze wedle prawideł posiadanej wiedzy. Jedyne, co zgadzało się w obu wersjach diagnozy, było to, że religia krzyczała do niej: „Nie grzesz więcej”, a psychologia mówiła: „Nie udźwigniesz tego kłamstwa”. Wreszcie sprawę zakończył za nią wedle jednej interpretacji ktoś trzeci, a wedle drugiej zrządzenie losu, czyli Bóg.

Przez moment pomyślała, że powinna mu powiedzieć teraz i od razu o wszystkim po kolei. Potem będzie zapewne koniec, jednak może przynajmniej uda się jeszcze odrobić straty, które poniósł przez nią do tej pory, nie mając o tym pojęcia. Może uda się dopaść tamtych, oni doprowadzą do kogoś wyżej, coś z tego będzie dla niego i też dla kraju, który zdradziła.

– Mariusz... – zaczęła.

– No? – odparł zaabsorbowany podsmażaniem ryżu na oliwie i zalewaniem wrzątkiem bulionu w stojącym obok kubku.

– Muszę ci coś powiedzieć – kontynuowała.

– Mów... – Nie odwrócił się do niej, bo akurat zalał ryż wrzącym bulionem i na wszystkie strony buchnęła z garnka fontanna wody wymieszanej z parą.

– Coś ważnego – dodała ciszej.

– To zaczekaj sekundę, tylko skończę.

Zerknął na nią z uśmiechem, a ona pokiwała głową. W tym momencie poczuła, że w wewnętrznej kieszeni żakietu telefon zadrżał powiadomieniem o nadejściu SMS-a. Wyciągnęła go odruchowo i spojrzała na ekran. „Córka dojeżdża właśnie pod dom peugeotem, syn też do was jedzie, będzie za jakieś pół godziny. Jeśli powiesz mężowi, któregoś z nich już nie zobaczysz”.

Dominika prawie wypuściła telefon z ręki. Fala bezsilności była tak dojmująca, że aby nie zemdleć, musiała natychmiast usiąść.

Mariusz odwrócił się, usłyszawszy szurnięcie krzesła.

– Co się stało? – zawołał, bo jej wygląd go przeraził.

– Nic, nic, słabiej się poczułam przez moment. – Oddychała ciężko.

Nalał wody do szklanki i podszedł do niej.

– Dawno nie widziałam Rafała – powiedziała nagle, zupełnie go tym zaskakując.

– Matka i jej intuicje. – Uśmiechnął się po chwili zatroskany. – Mam niespodziankę. Syn marnotrawny właśnie do nas jedzie.

Dominika pokiwała głową.

– Powinnaś się położyć, za dużo tego wszystkiego. Może wezwę lekarza?

Pokręciła głową.

– Później, teraz wolę być tu z tobą.

– A co chciałaś mi powiedzieć?

– Nie ma to aż takiego znaczenia, później ci powiem. – Musiała zyskać na czasie.

– Mówiłaś, że to ważne...

– Nie aż tak, trochę za słaba jestem teraz.

– Jasne.

Dzieci przyjechały zgodnie z zapowiedzią z SMS-a od tamtych. Ania weszła do domu po trzech minutach, Rafał dojechał po trzech

kwadransach, więc zanim usiedli do wspólnej kolacji, Dominika przeżyła czterdzieści pięć minut koszmaru.

– Kiedy pogrzeb? – Rafał zaczął rozmowę odrobinę zbyt wprost.

Dominika pokręciła głową.

– Nie wiem na razie...

– Nieprędko, jak znam życie – rzekł Mariusz, po czym dodał ciszej: – To zabójstwo. Najpierw będzie szczegółowa obdukcja, szukanie śladów na ciele i obcego DNA, potem sekcja i badania toksykologiczne. Rozmawiałem z komisarzem Milewskim. On prowadzi śledztwo, zresztą wiesz o tym. – Zwrócił się ku Dominice i dokończył: – Zejdzie to jakiś czas.

Dominika pokiwała głową i uśmiechnęła się.

– Wiem. Miły, kulturalny człowiek.

– I świetny dochodzeniowiec. Mam nadzieję, że szybko to rozwiąże – dodał Mariusz.

– No dobrze, a co u was? – Dominika skierowała wzrok na młodych. – U Ani to z grubsza wiem, chociaż pewno też nie do końca, ale co u ciebie? – Zerknęła na syna. – Dwa miesiące cię nie widziałam.

– Dobrze, mam. Rozstałem się z Agatą, mieszkam teraz sam, pracuję... Chyba tyle. – Rafał uciekł wzrokiem i spojrzał na siostrę.

Tak jakby u niej szukał tego, co mógłby jeszcze powiedzieć. Zawsze tak było, pomyślała Dominika. To znaczy odkąd Ania zaczęła chodzić i gaworzyć. Starszy o trzy lata Rafał już wtedy przylgnął do niej, jakby ta mała, ledwie stojąca istota od początku miała stanowić dla niego oparcie. Oczywiście później w różnych sytuacjach to on był jej opiekunem i obrońcą, ale ten szczególny rodzaj czerpania od niej energii, może treści albo sensu, istniał zawsze. Swoją drogą, czemu sam ich nie

miał? Czy popełnili z Mariuszem jakiś błąd wychowawczy, czy po prostu już musiał taki być, bo tak go Pan Bóg stworzył? To pytanie stawiała sobie od wielu lat, lecz wciąż nie znalazła na nie odpowiedzi.

– Ale ja nie jestem teraz ważny. Co u ciebie? Jak ty się czujesz, mammo? Jak to znosisz? – Rafał w końcu zaczerpnął treść albo może znalazł sens.

– Dobrze, synku, nadspodziewanie dobrze. Mam tylko takie momenty... – Dominika się uśmiechnęła.

– Chcesz wrócić do domu? – dość niespodziewanie zapytał Mariusz.

Rafał błędził wzrokiem po ścianach, a w końcu znowu skierował oczy na Anię. Uśmiechnęła się do niego.

– Nie będziesz musiał chodzić do kościoła – zażartował Mariusz.

– Tak, może tak, może na jakiś czas. – Chłopak pokiwał głową.

– Strasznie się cieszę. – Dominika popatrzyła na niego z ogromnym ciepłem. – Kiedy tu jesteś, wszystkim nam jest lepiej, czujemy się bezpieczniej.

– Akurat – odparł Rafał bez przekonania.

Widać było jednak, że to, co powiedziała, trafiło gdzieś tam, gdzie było brakujące miejsce, bo po chwili uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd wszedł do domu.

– Co chciałaś mi powiedzieć? – Mariusz wrócił do sprawy, kiedy kładli się już do łóżka.

– Pomyślałam wtedy, że chyba będę musiała zawiesić działalność w klinice – odrzekła, mając nadzieję, że uwierzy, iż o to właśnie chodziło.

– Pomyślałaś wtedy...?

– Tak, ale teraz widzę, że nie mogę tego zrobić, muszę działać. Jak przestanę iść do przodu, to się przewrócę – wyjaśniła.

– Zrobisz, jak uznasz za stosowne. Jeśli będziesz chciała, możemy nawet wyjechać na kilka dni. – Uśmiechnął się.

Ona też się uśmiechnęła.

– Mariusz, przecież ty nigdzie nie możesz jechać, szczególnie teraz, kiedy to wszystko tam się dzieje.

– Wiesz, że dla mnie najważniejsze było zawsze to, co dzieje się tu, z tobą, z nami, więc jeśli zajdzie taka potrzeba, to mogę wszystko. – Popatrzył na nią stanowczo.

Przeszło jej przez myśl, że może łatwiej by jej było, gdyby taki nie był, gdyby był chociaż trochę bezradnym Wojtkiem albo jakimś zajęтым wyłącznie sobą gburem. Ale nie był, więc nie miała wyjścia i kochała go za to.

Klinika. W tej akurat sprawie poprzedniego wieczoru nie skłamała, bo klinika rzeczywiście była jedyną bodaj rzeczą mogącą ją w tym koszmarnym czasie utrzymać przy życiu. Praca, którą kochała, współpracownicy dobrani przez lata z wielką starannością, tak by nie byli wyłącznie świetnymi specjalistami, lecz spełniali jeszcze jeden, dla niej kluczowy warunek, czyli byli fajnymi ludźmi. Znała wielu psychologów i choć osobie postronnej mogło się wydawać, że psycholog – podobnie jak lekarz, ale nawet bardziej od niego – powinien być zawsze empatyczny, to jednak nieczęsto tak było. Dlatego dużo czasu zajęło jej kompletowanie zespołu, który spełniałby kryterium profesjonalne, a jednocześnie ludzkie. I w końcu się udało. Była szefową, ale jej szefowanie sprowadzało się głównie do tego, że oprócz

swoich pacjentów, do których zaliczała się również przez pewien czas Ola, pomagała pracownikom, kiedy tylko tego potrzebowali. Oczywiście musiała w tym wszystkim dbać o rachunek ekonomiczny, bo mogła liczyć jedynie na pieniądze, które sama zdołała wygospodarować. Mariusz zarabiał przyzwoicie, lecz na pewno nie tyle, by być sponsorem jakiegoś jej kaprysu. Pensja rządowa, a później poselska była sporo wyższa od średniej krajowej, ale nie były to kokosy, on zaś, w przeciwieństwie do wielu kolegów, nigdy nie wykorzystał swojej pozycji do tego, by zarabiać coś dodatkowo gdzie indziej. Nie chodziło tu zresztą o jakieś sytuacje korupcyjne, bo to tępił z całą bezwzględnością u innych i na pewno nie zaakceptowałby u siebie, jednak nawet objęcie jakiegokolwiek funkcji, która nijak nie wykorzystywałyby jego obecnej pozycji, wydawałoby mu się niegodziwe. Tak więc pieniędzy wystarczało na wikt i opierunek, ale na pewno nie na dodatkowe inwestycje, takie jak na przykład klinika żony. Na początku Dominika wzięła zatem kredyt na siebie, a żyrantem uczyniła ojca, żeby tylko nie wiązać z tym w jakikolwiek sposób Mariusza. Potem spłacała ów kredyt z mozołem i w końcu spłaciła. Mniej więcej od pół roku przedsięwzięcie przynosiło jej już nawet nieznaczące zyski. Nie to jednak było w tym wszystkim najważniejsze. Cieszyło ją, że pomaga chorym i że pracują u niej wspaniali specjaliści i fajni ludzie. Nie tak dawno jeszcze zresztą Ola poprawiła jej znacząco samopoczucie, powiedziawszy, że przychodzi z wielką radością na sesje, ale już sama perspektywa, że znajdzie się w klinice, wśród tych ludzi i ogólnej życzliwości, czyni ją szczęśliwą na długo przed umówioną wizytą. Czy dla człowieka, który stworzył coś z taką pasją, mogła być lepsza wiadomość od tej, że pacjenci czują się u niego dobrze i bezpiecznie?

– Cześć, Dominika. – Młoda i ładna asystentka przywitała szefową miło, lecz bez uśmiechu.

Wszyscy pracownicy od wczorajszego popołudnia z publikatorów, które wprawdzie nie podawały pełnych danych, ale i tak nietrudno było się domyślić, wiedzieli już, co się wydarzyło. Znali Aleksandrę, która była tu regularnym gościem, a większość, choć nie miała pojęcia o prawdziwej naturze ich związku, zdawała sobie sprawę, że panie bardzo się przyjaźniły i że Ola była dla szefowej kimś znacznie ważniejszym niż jedynie pacjentką.

Dominika uśmiechnęła się blado.

– Cześć, Ewa. Jak tam? Zaliczyłaś?

Ewa była na czwartym roku psychologii i poprzedniego dnia miała kolokwium z komunikacji społecznej.

– Jeszcze nie wiem, ale dobrze, że już po. – Dziewczyna zrewanżowała się delikatnym uśmiechem.

Teraz już mogła, skoro Dominika dała na to przyzwolenie. Za to ją lubili. Zawsze pamiętała o ich osobistych sprawach i wyzwaniach, zawsze się uśmiechała. Nawet w sytuacji tak strasznej dla niej jak ta.

– Kogo mam dzisiaj? – zapytała.

Ewa zajrzała do kalendarza.

– Panią Majewską, za godzinę, ale może zadzwonię i odwołam?

– Nie, nie, broń Boże, przyjmę ją. A potem?

Dziewczyna znów pochyliła się nad grafiką.

– Potem już nikogo, ale dzwonił pan... Pokrzycki Waldemar, chciał się umówić. Powiedziałam, żeby zadzwonił później, bo nie byłam pewna, czy pani...

– Jak zadzwoni, to go umów. – Dominika popatrzyła na asystentkę. – Im będzie więcej, tym lepiej.

Ewa pokiwała głową ze zrozumieniem.

Waldemar Pokrzycki zjawił się o czternastej. Był przystojnym, zadbanym mężczyzną w średnim wieku, który na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia kogoś, kto mógłby mieć jakiegokolwiek problemy. Dominika wiedziała jednak, że w psychologii nie ma nic bardziej mylnego od sprawiania wrażenia. Oczywiście miewała różne intuicje, które często nawet okazywały się trafne, lecz intuicje, jak to intuicje, zawsze sięgały głębiej niż pierwsze wrażenie. W przypadku tego mężczyzny intuicja podpowiadała jej, że nie przyszedł tu się leczyć, co wcale zresztą nie oznaczało, że nie powinien. Ale w jakiej sprawie przybył do niej tego popołudnia, nie wiedziała.

– Dzień dobry. Tak naprawdę nie nazywam się Pokrzycki – zaczął. – Jak się nazywam, nie ma większego znaczenia, znaczenie ma to, że współpracuję z Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

– Współpracuje pan? – Dominika zapytała, udając obojętność.

Przez lata kariery Mariusza, która zawsze w mniejszym bądź większym stopniu łączyła się ze służbami wywiadowczymi, poznała bardzo wielu ludzi związanych z instytucją, której nazwę wymienił pan Pokrzycki niebędący panem Pokrzyckim. Niektórzy z nich raczej też nie byli z nazwiska czy funkcji tymi, za których się podawali, nigdy jednak żaden nie zaanonsował się jej jako współpracownik ABW. Wszyscy byli po prostu funkcjonariuszami tej agencji.

– Tak, współpracuję. W agencji mało kto wie o moim istnieniu, a o tym, że współpracuję, wie jeszcze mniej osób. – Pokrzycki uśmiechnął się, ale jego uśmiech był nieszczerzy i wysiłony.

Problemy z poczuciem własnej wartości, prawdopodobnie zdominowany przez ojca, matka nie dość go kochała, nie było troski, do



tego być może pochodzący z prowincji, więc wciąż i już chyba na zawsze szukający przynależności. Interesujący na swój sposób, niewykluczone, że wrażliwy na tyle, by bolały go własne braki, iloraz inteligencji wysoko powyżej mediany krajowej – pomyślała Dominika, po czym też się uśmiechnęła, tyle że bez udawania.

– Może mi pani nie wierzyć i sprawdzić, dla pani to nie powinno być problemem, tylko że wtedy... – Waldemar zawiesił głos, licząc na jej domyślność.

– Dowie się mój mąż? – Dominika nie zawiodła jego oczekiwań.

Pokiwał głową.

– Ale mam wszelkie prerogatywy śledcze i oczywiście obowiązują mnie te same ograniczenia co oficerów agencji. No, może nie wszystkie. – Uśmiechnął się szczerzej, jakby jej domyślność i jakiś szczególny rodzaj otwartości i ciepła zadziałały na niego terapeutycznie.

Czyli choć nie przyszedł tu po to, może wyjdzie też trochę z tym. Dominika uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Rozumiem. I...? – zapytała, żeby uciąć już wreszcie wszystkie te niepotrzebne ozdobniki.

– Chodzi o zabójstwo pani przyjaciółki – oświadczył krótko i zamilkł.

– Jakoś tego akurat się domyśliłam. – Pokiwała głową, po czym po raz pierwszy w tej rozmowie udając mniej inteligentną, niż była, dodała: – Ale co ma ABW do tej sprawy?

– Cóż... – Waldemar nabrał powietrza, jakby szykował się do skoku na głęboką wodę. – To była pani przyjaciółka, a pani mąż... – Znów umilkł.

Dominikę w jakimś sensie to bawiło, bo Pokrzycki z ogromnym trudem wypowiadał teraz zdania, które miały jej wyjaśnić coś, co i tak doskonale wiedziała.

– Ponadto mąż pani Aleksandry, pan Myśliwiec, jest dość wysoko postawionym urzędnikiem departamentu spraw wewnętrznych, więc... sama pani rozumie.

– Chyba z grubsza rozumiem. Nie rozumiem jedynie, dlaczego to jest robione z ramienia ABW, a jednocześnie jakby nie do końca – powiedziała, choć i tutaj domyślała się odpowiedzi.

– No właśnie poniekąd z tego względu. Nie chcemy spłoszyć sprawców, którzy być może wciąż są w pobliżu, to jest w pobliżu pana Myśliwca, pani męża, a także pani – Pokrzycki uciekł się do inteligentnego dość wybiegu.

– Nadal nie w pełni rozumiem, ale być może nie muszę – skłamała Dominika.

Tak naprawdę rozumiała wszystko doskonale. ABW, choć szczególnie ostatnimi czasy nie było zasilane przez tuzów intelektu, miało wciąż kilku przynajmniej funkcjonariuszy z głową na karku. Jeśli doszło do zabójstwa w tak bliskim otoczeniu ludzi związanych z bezpieczeństwem kraju, to trzeba było być jak najbardziej ostrożnym i niczego nie można było wykluczać. W tym również możliwości, że któraś z trzech wymienionych przez Pokrzyckiego osób była zamieszana w jakąś niejasną działalność. Dominika pojmowała to, ale jedna kwestia wydawała jej się mało logiczna.

– Tylko czemu pan z tym przyszedł akurat do mnie? – podzieliła się swoją wątpliwością.

– Cóż, nie chcę... nie chcemy na razie niepokoić pani męża ani pana Wojciecha, a potrzebujemy informacji, żeby móc rozpocząć w ogóle

dochodzenie. Dlatego przyszedłem do pani. – Pokrzycki zerknął na nią czujnie.

Ciekawe, kim był wcześniej – zastanawiała się. Policjantem? Pracował w wywiadzie, ale coś poszło nie tak, więc odstawili go, a teraz używają od czasu do czasu? Był na tyle inteligentny i zdaje się też ambitny, że mógł zajść wysoko. Czemu więc był jakąś boczną odnogą, odłożoną na bok końcówką, po którą sięgali tylko w wyjątkowych sytuacjach?

– Rozumiem. Jak mogę panu... państwu pomóc?

– Interesują nas wszystkie fakty z przeszłości pani Aleksandry, o których pani może wiedzieć, a o których nie było wiadomo szeroko, że tak powiem...

– Nie mam pojęcia, o czym było wiadomo na temat Oli, a o czym nie.

– Pani Dominiko...

– Słucham.

– Wrogowie, jakieś interesy, które pani Aleksandra mogła prowadzić, nielegalne substancje, organizacje przestępcze, długi, konflikty... Przecież pani wie, o co pytam.

Dominika zamilkła na moment. Uznała, że powinna tak zrobić, by chociaż spróbować wyrzeć wrażenie, iż zastanawia się, czy nie wie czegoś o którymś z wymienionych przez Pokrzyckiego aspektów. Jednak by nie tracić czasu, rozważała to, co było dla niej w tej chwili najważniejsze, czyli co tak naprawdę ten dziwny mężczyzna mógł wiedzieć o niej i o jej relacji z Olą.

– Nie, chyba nic takiego nie było, w każdym razie mnie o czymś takim nie wspominała. – Pokręciła głową.

Może gdyby miała wcześniej trochę więcej czasu, mogłaby teraz podsunąć temu pseudo-Waldemarowi jakąś lewą sugestię albo jeszcze sprytniej popchnąć go w jedyną właściwą stronę, to jest ku wiszącym na niej od miesiący ludziom. Coś

takiego wymagałoby jednak doskonale przemyślanej strategii, która nigdy nie pozwoliłaby tamtym skojarzyć ewentualnych działań ABW z nią, bo to byłby koniec wszystkiego, nie tylko jej, ale też Mariusza, a może i dzieci, i to koniec ostateczny. Lód, po którym stąpała, był zdecydowanie zbyt cienki, by zacząć teraz po nim biec.

– Kto wie o tym, że pan się do mnie zwrócił? – zapytała więc tylko, a może aż.

– Bardzo wąskie grono funkcjonariuszy ABW, trzy, cztery osoby z mojego otoczenia, poza tym nikt. – Popatrzył na nią. – A czemu pani pyta?

– Czy ja wiem...? – Udała zaskoczoną jego pytaniem, ale też przy okazji swoim. – Tak mi przyszło do głowy. Może to skrzywienie zawodowe, bo oprócz tego, że jestem psychologiem, jestem również żoną szefa Komisji do spraw Służb Specjalnych.

– Oczywiście, rozumiem. Przy okazji, jeśli to tylko możliwe, proszę nie niepokoić męża informacjami o tym, że rozmawialiśmy. Myślę, że i bez tego ma dość zmartwień i trudnych spraw.

Pokiwiała głową.

– Zobaczę, co się da zrobić.

– Tak... Jestem pewien, że postara się nam pani pomóc. – Uśmiechnął się trochę dziwnie.

Czyli jednak coś wie, pomyślała.

– A gdyby coś pani przyszło do głowy, to proszę od razu dać znać. Moje dane ma pani na mailu.

– Wysłał go pan tu, do kliniki?

– Nie, na pani prywatnego, tego na Yahoo! Mówię na wypadek, gdyby miała pani kilka. – Waldemar uśmiechnął się, po czym wstał, żeby się pożegnać.

Mail na Yahoo! był nie tylko jej prywatnym mailem, ale też przy okazji najbardziej tajnym. To za jego pośrednictwem kontaktowała się między innymi z Olą. Od razu po powrocie do domu usiadła na kanapie z laptopem na kolanach i zalogowała się na konto. Na szczęście była wcześniej na tyle zapobiegliwa, że ustawiła dwustopniową weryfikację hasła – w razie wejścia z innego komputera albo z telefonu dostawała zawsze na swój numer kod do potwierdzenia. Co jednak, jeśli zdążyli jej już założyć na przykład Pegasusa? Tego, że wmontują go teraz, była niemal pewna. Po wejściu na skrzynkę natychmiast wyrzuciła całą korespondencję z Olą, która – gdyby ktoś do niej zajrzał – nie pozostawiała cienia wątpliwości co do natury ich związku. „Chcę Cię dotykać wszędzie, a tam najbardziej”. „Kiedy wreszcie znów pójdziemy razem do nieba?” „Czuję wciąż Twoje ugryzienia na sutkach”. Wszystkie te zdania i wiele innych, miejscami bardziej zresztą dosadnych, nie mogły pochodzić z rozmów dwóch przyjaciółek. Nawet jeśli była to przyjaźń bardzo bliska. Dominika zastanowiła się przez moment, skąd Pokrzycki, współpracownik ABW, jak sam się określił, mógł zdobyć jej tajny adres. Przemknęło jej przez myśl, że spenetrowali po prostu drugi koniec tej linii, czyli komputer i komórkę Oli, ale to już po chwili wydało jej się mało prawdopodobne. Aleksandra miała wyłącznie urządzenia macowe, czyli laptopa Apple i iPhone’a, a do tego totalnego hopla na punkcie bezpieczeństwa i prywatności. To ona

doradziła Dominice dwustopniową weryfikację hasła do konta, jej zabezpieczenia były zaś jeszcze bardziej zaawansowane. Czyli skąd?

– Mamo – rozległ się za nią nagle głos Rafała i aż podskoczyła.

– Tak?

Obszedł kanapę i stanął naprzeciw niej.

– Chciałbym pogadać.

– Jasne. Kiedy? – Uśmiechnęła się z nadzieją, że sprawa oddali się w czasie.

– Teraz – odparł, a sprawa nie oddaliła się w czasie.

– Dobrze, tylko coś tu skończę. – Dominika wskazała laptop, na którym udało jej się stronę Yahoo! zastąpić prezentacją w PowerPoincie.

– Co robisz? – Popatrzył na ekran.

– Nową prezentację kliniki. Doszło nam kilku specjalistów, zmieniamy trochę profil, poszerzamy zakres – odpowiedziała zdaniem żywcem zaczerpniętymi z prezentacji.

Rafał pokiwał głową i się uśmiechnął. Ten uśmiech był komentarzem do języka, którego użyła, a jej zrobiło się głupio.

\*

Po pięciu minutach weszła do jego pokoju.

– Co tam?

– Chcę wrócić – powiedział bez ogródek.

– Mówiłeś przy obiedzie, ale myślałam, że to tak sobie. Czyli naprawdę, na dłużej? – zapytała trochę zdezorientowana.

– Niekoniecznie do was, do siebie. – Uśmiechnął się.

– Trochę jaśniej?

– Pogubiłem się. Relacja z Agatą była wymyślona głównie po to, żeby się urwać właśnie od was, a okazało się, że przy okazji urwałem się też od siebie.

Dominika pokiwała głową. Mogła to skomentować, dopytać, ale wolała, przynajmniej na razie, go nie spłoszyć. Zależało jej, by trochę bardziej rozwinął myśl. Ot, zawodowy nawyk, który nie był w sumie taki zły, bo powodował przy okazji, że w rozmowie słuchało się bardziej drugiej strony niż siebie.

– Wydawało mi się, że tu jest cholernie sztywno, nadal mi się chwilami wydaje, chciałem od tego uciec, wyzwolić się, wiesz, wolność, liberalizm w myśleniu i w zachowaniach, i nieźle nawet szło, tylko że w pewnym momencie zauważyłem, że robię to już dla samego robienia raczej, niż żeby cokolwiek zrobić. Rozumiesz mnie?

– Tak mi się zdaje. To się chyba nazywa przerost formy nad treścią. – Teraz ona się uśmiechnęła.

– Jakoś tak. No i z czasem przyszła pustka. Zorientowałem się, że Agata ma trochę podobny problem, w sumie powinno być okej, razem różnie, ale... – Rafał zamilkł.

– Ale nie łączyło was nic oprócz chęci ucieczki – dokończyła Dominika.

– Mniej więcej. Chyba dobrze też wiedzieć, dokąd się ucieka i co dalej. W sensie uciekanie nie może być sposobem na życie, nic nie da się na tym zbudować.

– A co chciałbyś zbudować?

– Nie wiem. Właśnie o to chodzi, że nie mam pojęcia, ale widzę w każdym razie, że wy z tatą jesteście jednak bardziej szczęśliwi, bo całe życie budujecie, zamiast burzyć. No i ta szczerść, uczciwość i bliskość, tego wam najbardziej zazdroścę.

Przez chwilę Dominika nie wiedziała, co powiedzieć, może nawet przemknęło jej przez głowę, żeby po prostu wyznać prawdę, właśnie jemu, właśnie teraz, lecz szybko się zmiarkowała.

– W samym buncie nie ma nic złego. Ja go akurat nigdy nie przeżyłam, od początku czerpię z tego, co zbudowali ci przede mną, moi rodzice, może ich rodzice. To ma zalety, na przykład takie, o których mówisz, ale rozbicie wszystkiego i budowanie od nowa wyłącznie na własnych warunkach to też jest dobra droga, może nawet lepsza – spróbowała go pocieszyć, znów kłamiąc przy okazji na swój temat.

– Pod warunkiem, że po zburzeniu świata, z którego się wyszło, ma się pomysł na to, co zbudować. Wygląda na to, że ja po zburzeniu chcę po prostu odbudować to, co zburzyłem.

– Nie do końca, Rafał. Nawet jeśli zbudujesz coś podobnego, nigdy nie będzie to już takie jak to, co zburzyłeś, nie będzie dobudówką do czyjegoś, przedłużeniem. Zawsze będzie miało silniejszy fundament, bo zbudujesz to od podstaw, skoro już tak w tę budowlankę poszliśmy. – Znów się uśmiechnęła. – Pomyśl o tym. I pamiętaj, że w trakcie budowania możesz tu być, jak długo tylko będziesz potrzebował.

– To też taka wygoda. Inni często nie mają gdzie być, kiedy budują swój świat od nowa.

– Wszyscy coś mają: przyjaciół, dom rodzinny, przeszłość. Jakieś miejsce, w którym mogą odpocząć. A jak nie mają, albo wydaje im się, że nie mają, albo za bardzo nie lubią tego, co mają, to uciekają w inne chwilowe schronienia, często w używki, w nałogi, a to jednak znacznie gorsze niż dom rodzinny.

Dominika zakończyła zdanie uśmiechem pełnym ciepłej wyrozumiałości. Ale jak bardzo się za ów uśmiech nie znosiła w tej chwili, wiedziała tylko ona.



Po tej rozmowie, która być może trochę pomogła Rafałowi, ona czuła się dla odmiany fatalnie. Chodziło nie tylko o to, że znów nakłamała najbliższej osobie, ale i o to, że wróciła do niej jej przeszłość.

Dzieciństwo w profesorskim domu, w którym ojciec był krynicą mądrości, a mama kobietą stworzoną do owej mądrości spijania. Potem młodość w szkole u sióstr i uczelnia, która wprowadziła nie zrobiła z niej siostry miłosierdzia, tylko psycholożkę, lecz na pewno nie uwolniła jej umysłu, nie mówiąc już o emocjach.

W końcu, bez przerywania choćby na moment ciągu moralnej poprawności, przyszedł czas na związek z Mariuszem. Tak, ona niczego nigdy nie zburzyła i przez to też, wbrew temu, co mówił i uważał Rafał, niczego nie zbudowała. Wprowadziła się po prostu do gotowego od pokoleń gmachu własnego życia. Później, po latach wreszcie to musiało zacząć jej zawadzać. Coś było zatkane. I konstrukcja istnienia – używana bez jakiegokolwiek odświeżania, czy choćby przewietrzenia, którego nie dokonała dlatego, że nie powstała w efekcie jej świadomego wyboru, nie była jej, bo została dana – ostatecznie zaczęła grzybieć i ropieć. Przez lata udawało jej się wprowadzić otorbiać pojawiające się potrzeby i pragnienia, ale ostatecznie musiała się gdzieś w tym wszystkim zrobić przetoka, szydło musiało wyjść z worka i wyszło bokiem, zabijając jej miłość i w bliskiej perspektywie grożąc zniszczeniem tego, co jak uważał jej syn, tak pięknie zbudowali z Mariuszem.

Historia Mariusza była inna. Pochodził z wiejskiej rodziny, dzieciństwo spędził przeważnie w biedzie. Po upadku PRL-u ojciec, pracownik PGR-u, upadł w pewnym sensie razem z nim. Brak pracy, brak pomysłu na przearanżowanie życia po tym, jak państwo przestało żywić, spowodowały, że poszedł najkrótszą drogą, czyli przez alkohol do kompletnej degrengolady. Mariusz zasadniczo więc uciekał od swoich korzeni, ale w jego przypadku też trudno byłoby powiedzieć, że cokolwiek zburzył. Raczej oddalił się od domu rodzinnego na

bezpieczną odległość kariery, wykształcenia i w miarę przyzwoitych pieniędzy, lecz w najmniejszym stopniu nie przestał tam być w sensie mentalnym, psychicznym, przede wszystkim zaś kulturowym. Cała jego światopoglądowa baza ukonstytuowała się tam, a życie poddało ją tylko pewnej rafinacji.

Jeśli chodzi o światopogląd, był klasycznym wzorcem Polaka katolika, może z tą jedynie różnicą, że typowy Polak katolik jest w głównej mierze zbudowany z hipokryzji, a Mariusz cały bagaż wiary i obyczaju zabrany z postpegeerowskiej przeszłości traktował z wielkim namaszczeniem i był tym wyjątkowym przykładem drogowskazu, który nie tylko kierował na Częstochowę, ale też sam do niej codziennie z mozołem się przybliżał.

Był człowiekiem uczciwym, a ponadto miał ambicje prozelickie i ową uczciwość próbował rozpowszechniać, wszelkie od niej odstępstwa natomiast traktował z wielką surowością. To właśnie tej surowości i bezkompromisowości, także w sprawach dotyczących moralności, najbardziej obawiała się nie tylko Dominika, ale również Ania i w jakimś stopniu Rafał, choć on jeden miał dość odwagi, by przynajmniej na pewien czas stać się synem marnotrawnym. Na pewien czas, lecz jak się właśnie okazało, nie na zawsze. Jego też w końcu musiał złamać ojcowski kręgosłup. Czy inaczej zresztą było z tym prawdziwym synem marnotrawnym? Dla dopełnienia przypowieści Mariusz także stanął na wysokości zadania i kiedy Rafał po dwóch latach buntu powrócił do domu, przyjął go z otwartymi ramionami.

\*

Ogromnie ją to zaskoczyło, ale telefon od komisarza Milewskiego i jego prośbę o ponowne spotkanie, miast z przerażeniem, przyjęła z pewną ulgą. Może chodziło o to, że wyczuwała w tym mężczyźnie swoistego sprzymierzeńca, kogoś, kto rozumiał, kto wiedział lepiej od niej samej,

czego tak naprawdę teraz potrzebuje, a może podświadomie chciała już po prostu, żeby to wszystko się skończyło. Sama nie miała odwagi stanąć z tym twarzą w twarz, więc liczyła po cichu, że to stanie twarzą w twarz z nią. Wtedy nie będzie już wyboru i będzie musiała skoczyć w dół, w tę przepaść bez dna.

Czy wcześniej miała wybór? Czy rzeczywiście jest tak, że go mamy, czy raczej tak zwana wolna wola jest jedynie mrzonką, którą Bóg nas mami albo – paradoksalnie – pęta? A może pętamy się sami?

I co by było, gdybyśmy się nie pętali? Czy aby na pewno, jak uważa wielu, a mniemanie to jest szczególnie rozpowszechnione wśród jej kolegów po fachu, bylibyśmy wtedy wyłącznie szczęśliwi? Czy gdyby nie id i superego, gdyby nie dziecięce fascynacje matkami i ojcami, gdyby nie religia z jej nakazami i zakazami, ludzkość byłaby w permanentnym siódmym niebie? Może nie byłoby jej już w ogóle, bo niczym nieskrępowane zaspokajanie wszelkich potrzeb wykończyłoby nie tylko ludzkość jako społeczność, ale też poszczególne jednostki w niej samej? Może tak, a może nie. Czy jednak istniały wyłącznie stany skrajne? Czy mogły być jedynie albo grzeczna żona, albo pełne rozpasanie? Oczywiście, że nie, i właśnie tak myślała przez te wszystkie miesiące szczęścia z Olą. Myślała, że oto realizuje stan idealnie pośredni, że odnalazła perfekcyjny balans, kamień filozoficzny swojego życia.

Niestety ta pośredniość zaniósła ją i tak na skraj i teraz stała przed perspektywą utraty rodziny, wolności, dobrego imienia, a może nawet, jako zdrajczyni narodowa, mogła skończyć jeszcze gorzej. Czyli jednak wybór zawsze musiał powodować lawinę konsekwencji. Albo nie było jednego wyboru, było ich całe mnóstwo, a ona wciąż od miesięcy spośród dwóch, które otrzymała, wybierała ten gorszy.

Wyborem pierwszym był niewątpliwie ów pierwszy raz. Choć przecież, jeśli miała stanąć ze sobą w pełnej szczerości, a nie było już teraz innego wyjścia, to jadąc z Olą do spa na Warmii, marzyła tylko o tym, by pobyt przyniósł takie właśnie rozwiązanie, jakie przyniósł.

Wybór niejako został więc dokonany, zanim dane jej było przed nim stanąć.

Ale później nadchodziły wybory kolejne.

– Co teraz? – Dominika zapytała siedzącą obok niej na ławce przyjaciółkę, kiedy spotkały się owe dwa dni po tym, jak pojawił się pierwszy link z filmikiem.

– Nie wiem. – Aleksandra patrzyła na łabędzie odganiające od parkowej sadzawki szczekającego na nie psa. – Powinnyśmy to przerwać. Jeden raz, po alkoholu, każdemu może się zdarzyć. To się jeszcze da wytłumaczyć.

– Mariuszowi? Na pewno nie. – Dominika pokręciła głową i tym samym dokonała kolejnego wyboru.

– Czyli?

– Czyli chodźmy do hotelu. – Popatrzyła w oczy przyjaciółce. – Tylko może wybierzmy coś kompletnie przypadkowego. Żeby tam nie było kamer. Czy kamery są już w tym dziwnym świecie wszędzie?

– Nie wiem, ale może wyjściem jest wynajęcie czegoś własnego. Tam na pewno nie będzie kamer – zasugerowała Aleksandra, gdy jeden z łabędzi wyskoczył ze swojej strefy bezpieczeństwa i ruszył niezdarnie za wciąż ujadającym na niego szczeniakiem labradora.

– Chyba że same sobie jakąś zainstalujemy. – Dominika uśmiechnęła się filuternie.

Tak, to był moment kolejnego wyboru, ale teraz opcja pójścia bezpieczniejszą drogą była jeszcze mniej prawdopodobna niż za pierwszym razem. Generalnie każda następna sytuacja, w której mogła o czymś zdecydować, tak naprawdę coraz bardziej oddalała ją od możliwości wybrania czegoś innego.

Namiętność czy może po prostu radość życia, której nigdy wcześniej w tym stopniu i w takiej formie nie zaznała, uzależniała ją i przywiązywała zbyt mocno.

Wychodziło więc na to, że wybór był jedynie pozorny.

\*

Tym razem komisarz Milewski nie ściągnął jej nawet na komendę. Spotkali się w miłym lokalu z wegańskim sushi nieopodal pałacu Mostowskich, na ulicy Nowolipki. Miejsce było mało kawiarniane, raczej była to restauracja, więc oboje – bardziej dla uzasadnienia pobytu w nim niż z głodu – zamówili coś do jedzenia.

– Mam już wstępne wyniki sekcji zwłok. – Milewski spojrzał na nią znad miso.

– Rozumiem... Ale w jakim sensie mnie to dotyczy? – Dominikę zdziwiło to, co powiedział, lecz bardziej może nawet to, że powiedział to znad miski z zupą.

– Z post mortem wynika, że pani przyjaciółka otrzymała bardzo wiele ciosów narzędziem o długim ostrzu, w domyśle prawdopodobnie nożem, ale co ciekawe, tylko jeden z tych ciosów był śmiertelny – rzekł komisarz i wziął do ust maki.

– Czyli? – zapytała.

Przed nią też stała miska zupy i leżały na talerzyku równo przycięte czarne krążki wypełnione ryżem i różnymi warzywami, które w tym akurat przypadku pełniły funkcję ryb i owoców morza. Ona jednak,

rozmawiając o zwłokach i ciosach zadanych nożem, nie była w stanie jeść, więc zupa stygła, a krążki sushi z wolna obsychały.

– Czyli wygląda na to, że zabójca był amatorem – wyjaśnił Milewski, przełykając – a morderstwo zostało prawdopodobnie popełnione w afekcie.

Dominika nie znała się zbyt dobrze na rodzajach zabójstw, ale przynajmniej z grubsza rozumiała, co powiedział. Gdyby, o czym była na razie przekonana, zabili ją tamci, ludzkie klony, z którymi rozmawiała nie tak dawno i które prześladowały ją od miesięcy, to zapewne nie byłoby mowy o afekcie, a ciosy zadane nożem byłyby konkretne i celne.

– Może ktoś upozorował afekt – zasugerowała i od razu ugryzła się w język.

Przy zerowym stanie wiedzy na temat motywów i sprawców zbrodni, który starała się odgrywać przed komisarzem, to, czy zabito Olę w afekcie i krwawo czy z premedytacją i w sposób wyrachowany, nie powinno mieć dla niej większego znaczenia.

– Może zamówię jeszcze tę jaśminową herbatę? – zaproponował Milewski. – Nic pani nie je, chociaż na rozgrzewkę?

– Nie, dziękuję, zaraz zjem... – Uśmiechnęła się blado.

– Ma pani rację, mogło być i tak, ale wtedy musielibyśmy założyć, że zabójca jest w dwójnasób przebiegły i niezwykle sprawny – powiedział, po czym objaśnił: – Pozorowanie afektu to już naprawdę wyższa szkoła jazdy. Trudno udąć człowiekowi, który świetnie jeździ samochodem, że nie potrafi tego robić. To trochę podobna historia.

Dominika uciekła wzrokiem i w końcu z braku innego wyjścia zaczęła jeść zupę. Czy wiedział, że ona wie albo że przynajmniej ma swoją koncepcję? Co w ogóle wiedział ten inteligentny i szarmancki

mężczyzna, któremu nie przeszkadzało mówienie w czasie posiłku o ciosach nożem i badaniu post mortem?

– Różni są zabójcy, może ten akurat był w dwójnasób przebiegły i niezwykle sprawny – odparła filozoficznie, próbując wyratować się z tej mocno już dwuznacznej sytuacji.

– Może? – docisnął tym razem bardziej bezpośrednio.

Dominika wzruszyła ramionami i w pełni skupiła się na miso.

– Pani Dominiko – zaczął komisarz, a nagła oficjalność jego głosu sprawiła, że po plecach przebiegł jej zimny dreszcz – oboje wiemy, że pani wie znacznie więcej, niż mi mówi. Nie mam o to żalu, to pani wybór, zdaję sobie sprawę, że sprawa dotyczy pani w bardzo osobisty sposób.

Dominika nic nie powiedziała. Jadła łąpczywie, wiedząc równie dobrze jak on, że do puenty jest jeszcze kawałek.

– Odwiedził mnie wczoraj wieczorem pan Pokrzycki i zażądał informacji na temat śledztwa. Nie udzieliłem mu ich, bo nie miał żadnych prerogatyw, poza tym mi się nie podobał, ale on wcześniej czy później wróci z odpowiednimi kwitami. Wydaje mi się, że szuka czegoś innego, zabójca pani Aleksandry to dla niego tylko element układanki. Pani też to wie, u pani też był i pani też nie odpuści.

Dominika podniosła wzrok znad miski.

– Mnie nie odpuści pewno nawet bardziej.

Milewski pokiwał głową i zamilkł na chwilę.

– Dobrze, jak będę wiedział coś więcej, to się do pani odezwę – tymczasowo zamknął w końcu dyskusję.

– Proszę sprawdzić właścicieli spa w Dorotowie, to na Warmii. Z tego, co pamiętam, hotel nazywa się Juvenalia. – Dominika ponownie

skoczyła na głęboką wodę.

– Dobrze, sprawdzę. A dlaczego, jeśli mogę spytać? – Znow łagodnie spojrzał jej w oczy.

– Bo to byli znajomi Oli i to ona zaproponowała ten wyjazd. Tam się to wszystko zaczęło, nasza relacja i... te różne problemy. I proszę na razie o więcej mnie nie pytać.

Co to wszystko oznacza? – zastanawiała się Dominika, jadąc do kliniki. Godzina była późna. Aby spotkać się z Milewskim, musiała za pośrednictwem asystentki odwołać kilka wizyt. Raz taka sytuacja była do przeżycia, ale gdyby zaczęła się powtarzać, mogłaby doprowadzić do utraty klientów. Na to nie mogła sobie pozwolić. Było wprawdzie coś wyjątkowo przewrotnego w tym, że osoba w tak fatalnym stanie psychicznym jak ona pomaga innym wydobyć się z kłopotów tej samej natury, ale nie miała wyjścia. Gdyby praca znikła z horyzontu jej codzienności, zostałaby już tylko z samą sobą i z rodziną, którą tak bardzo okłamywała i przed którą tak strasznie było jej wstyd.

Co to wszystko oznacza? Dominika przypomniała sobie klona w garniturze, który zapewnił ją, że oni nie mieli z zabójstwem nic wspólnego. Wtedy mu nie uwierzyła, co więcej, jego słowa wydały jej się tak absurdalnie cyniczne i nieprawdziwe, że właściwie puściła je mimo uszu. Teraz jednak, kiedy Milewski powiedział jej o zabójstwie w afekcie, tamto zapewnienie zyskiwało nowy wymiar. Wprawdzie nadal nie wierzyła, że oni tego nie zrobili, ale w jej głowie pojawił się cień wątpliwości i po raz pierwszy zadała sobie pytanie: Jeśli nie oni, to kto?

Przemknęło jej przez myśl, że może ona sama w jakimś somnambulicznym widzie dokonała tego wyzwajającego aktu zniszczenia, lecz odrzuciła tę koncepcję równie szybko, jak nadeszła.



Nigdy nie skrzywdziłaby osoby, którą tak bardzo kochała. Do tego nie byłaby zdolna z całą pewnością.

Po krótkim zmaganiu się z wątpliwościami wróciła do pierwotnego przekonania, że zrobili to oni, ci, którzy prześladowali ją od kilku miesięcy. Ale jeśli tak, to czy nie powinna po prostu naprowadzić na ich ślad Milewskiego lub może wręcz od razu tego cynicznie uśmiechniętego współpracownika ABW, jak sam się określił Pokrzycki? W końcu rzeczy związane ze szpiegostwem leżały bardziej w gestii agencji niż policji. Tak, powinna podać im ich na talerzu, tyle że wtedy podałyby im też siebie, a co najgorsze, swoją Bogu ducha winną rodzinę.

Z zamyślenia wyrwało ją drzenie w wewnętrznej kieszeni kurtki. To telefon zwiastował nadejście SMS-a. Dobrze się stało, że nadszedł, bo jechała na mentalnym autopilocie i właśnie zamierzała przeciąć plac Inwalidów, więc zamiast skręcić do pracy, pojechałaby dalej w stronę domu. Treść SMS-a, którego odczytała pod willą mieszczącą klinikę, nie była już jednak zbyt dobra. Cegła za ławką przy cytadeli znów czekała na nią z konkretnym przekazem. Najwyraźniej po tym, jak postanowili zwiększyć siłę nacisku i spotkać się z nią osobiście, uznali, że wszystko wróciło do normy, więc wróciła również forma kontaktu zdalnego.

Miała dziś jeszcze tylko jednego pacjenta, który przyjeżdżał do niej od roku w ten sam dzień, o tej samej porze i opowiadał z grubsza te same rzeczy. Przez jakiś czas próbowała to zmienić, ale wiele wskazywało na to, że pan Witold, zadbany szpakowaty menedżer wysokiego szczebla w korporacji, zmienić nic nie chciał. Bezspornie zbliżał się do kryzysu wieku średniego i cały jego wysiłek polegał na tym, by do owego trudnego etapu w życiu zbliżyć się z prędkością jak najbardziej średnią i po drodze jak najmniej wyboistej. I by generalnie zmieniać coś, starając się nic nie zmienić.

– Mam dosyć tego, jak oni mnie traktują – powiedział Witold nieco dobitniej, a to wyrwało Dominikę na moment z mroków jej myśli.

– Jak? – zapytała, uznawszy, że właśnie nadszedł jeden z tych czterech momentów w trakcie całej sesji, w którym powinna się odezwać. – Jak pana traktują?

– Z góry, z lekceważeniem, bez szacunku. Wszystko tam tak wygląda. Ci z góry traktują tych niżej jak szmaty, a tamci to odreagowują na tych jeszcze niżej.

Dominika miała ochotę zapytać, jak on traktuje tych niżej, ale nie zrobiła tego. Już to przerabiali, zdanie o tych niżej i wyżej słyszała od niego dziesiątki razy. Nie chodziło o to, że była jakoś szczególnie oportunistyczna czy potulna wobec pacjentów, żeby ich nie stracić. Wręcz przeciwnie, z wieloma zdarzało jej się dość poważnie spierać na ich temat, wykazywała im ich zakłamanie, tkwienie w schematach i tym podobne grzeszki. Witoldowi też zresztą próbowała, tyle że absolutnie nic to nie dawało, bo i tak przychodził tydzień później i opowiadał to samo w tym samym tonie. Czy go w związku z tym naciągała, wciąż przytrzymując na terapii, która nic nie przynosiła? Też nie – już parokrotnie proponowała mu, by ją zakończyć. Witold wpadał jednak wtedy w panikę i obiecywał poprawę. Uznała więc, że być może samo to, iż może tu przychodzić i w kółko powtarzać z grubsza te same rzeczy, pomaga mu jakoś funkcjonować. Dlatego teraz pokiwała tylko głową i weszła z powrotem w strumień własnych myśli.

Jeśli istniał choćby cień podejrzenia, że Oli nie zabili tamci, to kto mógł to zrobić w takim razie i przede wszystkim po co? Choć jeśli rzeczywiście przyjąć, że afekt i nieudolność zabójstwa nie zostały upozorowane, to pytanie powinno brzmieć inaczej. Ludzie w afekcie nie zabijają po coś, a w każdym razie nie jest to po coś racjonalne, lecz raczej emocjonalne czy instynktowne. Tak więc nie po co, ale dlaczego.

Czy znała kogoś, kto mógłby zabić Olę w tego typu porywie? Kogoś, kto miał po temu przesłanki? Pytał ją o to Milewski. Odpowiedziała mu, że nie, acz nie do końca było to zgodne z prawdą. Co, jeśli Mariusz wiedział o ich romansie?

Pytanie to uderzyło ją tak mocno, że z jej piersi wydobyło się głośne westchnienie.

– Czy ja panią męczę, pani doktor? – zapytał Witold.

– Nie, Witku, nic podobnego. – Pokręciła głową.

– To dziwne, bo sam siebie męczę potwornie – pożałił się.

– Niedobrze. Naprawdę już czas najwyższy, żebyś się wreszcie zaakceptował, i to takiego, jaki jesteś, z całą swoją niedoskonałością. Kiedy to zrobisz, te rzeczy, cechy, które najbardziej ci doskwierają, po prostu odejdą, bo nie będą już miały pożywki w twoim przygnębieniu – powiedziała z uśmiechem.

Gdy Witold po namyśle pokiwał głową i nawet, co było u niego absolutnie wyjątkowe, na moment odwzajemnił uśmiech, pomyślała, że ona – w przeciwieństwie do swojego męża, którego dopiero co przez mgnienie tylko, ale jednak podejrzewała o zabójstwo – jest klasycznym drogowskazem, który wprowadzie wskazuje drogę, lecz sam nigdy nią nie podąży.

– Może i racja, tylko że to nie jest kwestia decyzji do podjęcia z poziomu intelektualnego. Taka zmiana musi wynikać z jakiegoś głębszego impulsu – Witold, jak zawsze zresztą, rozpoczął po chwili sabotowanie możliwości jakiegokolwiek zmiany.

– Tak, ale impulsami sterować się nie da. Wszystko, co mamy do dyspozycji, to myśl, nią można pokierować, a ona z czasem wpłynie też na impuls – skomentowała.

Jakiś czas milczeli. Witold pracował nad wyjaśnieniem, dlaczego nie może mieć również wpływu na swoje myśli, ona zaś myślała o tym, co zastanie tym razem za cegłą na cytadeli.

I przy okazji uporczywie próbowała nie myśleć o tym, czy Mariusz byłby zdolny do zabójstwa, czy też nie.

Za cegłą była oczywiście karteczka, na niej jak zawsze jedna za drugą kilkadziesiąt liczb. Każdą z tych liczb z osobna należało podzielić na składowe. Jeśli były dwie cyfry, pierwsza oznaczała stronę, a druga kolejną literę na niej. Jeśli cyfry były trzy, to pierwsze dwie określały stronę, a ostatnia wskazywała kolejną literę. Słowem, jeśli ktoś znał system i wiedział do tego, do jakiej książki go przyłożyć, sprawa była prosta. Jeśli jednak nie znał któregośkolwiek z elementów, to karteczka z grubsza była mu na plaster. Po pierwszej i ostatniej zarazem na żywo rozmowie z nimi, kiedy okazało się, że wiedzą, iż Dominika złamała procedurę i odczytała szyfr w samochodzie, kazali jej zmienić książkę. Zapytana wtedy, co wybiera, wskazała *W stronę Swanna*, czyli pierwszą i jedyną do tej pory część Proustowskiej sagi o szukaniu straconego czasu, którą przeczytała. Miała stare beżowe wydanie, jeszcze z PRL-owskiego Państwowego Instytutu Wydawniczego. Dało jej to minimalną satysfakcję, bo wiedziała, że przydaje im roboty przy szukaniu takiego egzemplarza. Ktoś musiał iść do antykwariatu albo poszukać go gdzieś w internecie. Liczyła przy okazji, że potrwa to też chwilę.

Niestety poradzili sobie z tym nader szybko.

Tym razem, z różnych zresztą względów – trochę ze strachu przed nimi, trochę zaś z obawy, że może być już obserwowana także przez Pokrzyckiego albo innych „współpracowników” ABW – nie odczytała zaszyfrowanej wiadomości w samochodzie. Zrobiła to w domu, a nawet na wszelki wypadek w toalecie.

„Plany rozlokowania systemów przeciwrakietowych w Polsce. Przyniesie dziś lub jutro i schowa do sejfu”.

Czyli co? Ma sobie kupić spawarkę i wypruć nią sejf w gabinecie męża? Raz jeszcze odczytała wiadomość. Sama w sobie nie była przesadnie skomplikowana, tyle że zlecenie było właściwie niewykonalne. Po chwili wyrwała kawałek kartki z notatnika i zapisała na nim wiadomość zwrotną. Jej treść była nawet bardziej lapidarna. „Nie mam jak tego zrobić”.

Po półgodzinie znów była ze swoją wyżłowatą kundelką Lolą na spacerze pod cytadelą. Już samo to komuś, kto by ją obserwował wnikliwie, mogło wydać się nieco dziwne. Może pies ma rozstrój żołądka? – pomyślała i uśmiechnęła się, siadając po raz drugi w ciągu godziny na tej samej ławce. A ja mam problemy z kręgosłupem, więc wciąż muszę siadać?

Rozejrzała się. Nieopodal dwójka dzieci bawiła się wokół huśtawek ustawionych po drugiej stronie minikanału. Jakaś starsza kobieta schylała się z wysiłkiem, żeby zebrać kupę równie wiekowego jak ona psa.

W oddali biegły dwie kobiety ubrane w stroje tak profesjonalne i kolorowe, jakby uczestniczyły w walce o olimpijskie złoto. Przeszło jej przez myśl, że może to one właśnie są wysłanniczkami Pokrzyckiego. Myśl była raczej niedorzeczna, bo biegnąc, za wiele nie da się dostrzec, poza tym obiekt obserwacji znika wtedy szybko z pola widzenia. Mimo to odczekała, aż kobiety przepadły gdzieś za kępą krzewów na skarpie powyżej. Dopiero wtedy, zachowując czujność, wyciągnęła rękę za siebie i wyjęła cegłę. Za nią włożyła karteczkę, a cegłę wetknęła w to samo miejsce. Następnie wydobyła telefon i spinacz, wyjęła kartę SIM, w jej miejsce włożyła drugą, wyłamaną chwilę wcześniej z nowego opakowania, z książki wybrała numer spod hasła „Grażyna W.” i wysłała

na niego pustego SMS-a. W końcu wsunęła z powrotem swoją kartę, wstała, poprawiła dzinsową kurtkę, której poła zawinęła jej się pod plecy, zawołała psa próbującego właśnie tyleż usilnie, co bezskutecznie namówić do zabawy leciwego jamnika starszej pani i ruszyła do domu. Przechodząc obok studzienki kanalizacyjnej, cisnęła do niej przełamaną w palcach kartę SIM, z której wysłała SMS-a.

Kiedy wróciła, w domu była tylko Ania. Kręciła się po salonie i kuchni jakby bez celu.

– Może ugotujemy coś razem? – zaproponowała Dominika, żeby wyrwać córkę z nerwowej pętli.

– Nie jestem głodna – odpowiedziała dziewczyna i dalej kręciła się po salonie, na zmianę włączając i wyłączając telewizor oraz podpięty do komórki subwoofer.

– Co ci jest?

– Nic.

Rozmowa nie kleiła się, ale Dominika, choć zajęta już wyciąganiem produktów z lodówki, nie odpuszczała.

– Coś się stało?

Ania usiadła wreszcie na kanapie, co stanowiło pewien progres, bo wcześniejsza kompulsywna nerwowość ograniczyła się do kręcenia się w kółko po salonie i rytmicznego przeczesywania długich, ciemnych loków.

– Ty mi powiedz – odezwała się nagle, zaskakując Dominikę bezpośrednio i lekko nawet agresywnym tonem.

– Co mam ci powiedzieć?

– Co się dzieje?

– Nic się nie dzieje. Obiad robię, żeby był, jak ojciec przyjdzie.

– Śmierć Aleksandry to coś więcej... – Ania po raz pierwszy spojrzała na nią.

– Coś więcej?

Dominika znów ukryła się za czymś dość ryzykownym, za czym ukrywanie się było w jej przypadku niezbyt przekonujące i miało skutek przeciwny do zamierzonego, czyli wzbudzało nieufność rozmówcy. Tym czymś był brak błyskotliwości.

– Mamo! – Ania zareagowała bez ogródek.

– Co mam? – Dominika broniła straconej pozycji. – Zabójstwo Aleksandry to na pewno coś więcej, w sensie trzeba znaleźć motyw i sprawcę. Z tego, co wiem, tam nawet nic nie zginęło. Ale ja nie mam pojęcia, co to wszystko może w ogóle znaczyć.

– Coś więcej, bo coś więcej was łączyło – wyjaśniła dziewczyna z lekkim zniecierpliwieniem.

Dominika odniosła nagle wrażenie, że jej kłamstwa totalnie rozmijają się z okolicznościami. Czyżby cały świat wszystko wiedział, a ona grała z nim w jakąś grę przy założeniu zupełnie już nieaktualnych realiów? Przerwała skrobanie marchwi na zupę i wyszła do salonu. Za najlepszą formę obrony uznała atak, innego wyjścia zresztą nie miała.

– Co więcej nas łączyło? – Stanęła przed córką, udając absolutne zaskoczenie.

– Nie wiem, ale znam cię za dobrze, żeby nie czuć, że było coś więcej – Ania zaczęła się bronić.

– Przyjaźniłyśmy się, była mi emocjonalnie bardzo bliska, to prawda. – Dominika odetchnęła z ulgą. Intuicja to jednak nie wiedza, można ją łatwo zdyskredytować, szczególnie u własnej córki. – Coś sobie dołożyłaś do tego w głowie. To niefajne, bo jest mi smutno i źle,

a od ciebie zamiast wsparcia dostaję jakieś podejrzenia oparte na przeczuciach.

Zagrała mocno nie fair, lecz uznała, że tylko tak może opanować sytuację, która w innym wypadku przekształciłaby się prawdopodobnie w coś znacznie gorszego. Mariusz niezwykle twardo stąpał po ziemi, ale Anię kochał nad życie i często przejmował od niej różne poglądy. Ufał jej przy tym bezgranicznie, także w obszarze normalnie dla niego obcym, czyli w sprawach ocierających się o magię, intuicję czy – ogólnie rzecz ujmując – inny wymiar. Łatwo więc mogła zarazić go również tym przemyśleniem. Trzeba było to niebezpieczeństwo zdusić w zarodku.

Ania pokiwała głową, nie patrząc na matkę.

– Przepraszam. Wiem, że ci ciężko, ale nam, mnie, w jakimś sensie też.

Dominika po raz drugi poczuła ulgę. Teraz już bez wątpienia udało jej się zasiać w Ani wątpliwości co do jej, skądinąd trafnych, przeczuć. Pozostawało tylko pytanie, jak długo podziała to zawstydzenie zarzutem braku empatii. Przeczucia, szczególnie te trafne, mają tendencję do powracania. Jeśli Ania utwierdzi się w swoich odczuciach, to wcześniej czy później przekaże je ojcu. Czasu zatem, by stanąć w prawdzie na własnych, a nie narzuconych warunkach, Dominika miała coraz mniej.

W tym momencie zadzwonił domofon przy furtce. Spojrzały na siebie pytająco. Ani Mariusz, ani Rafał domofonu nie używali. Znali kod wejściowy, a Mariusz wjeżdżał od razu do garażu i wchodził do domu wewnętrzną klatką schodową. Nie wyglądało też na to, by Ania spodziewała się kogoś.

Dominika ruszyła do wideofonu.



– Dzień dobry, przesyłka dla pani Staweckiej – odezwał się mężczyzna w ciemnej bejsbolówce.

– Od kogo? – zapytała.

Mężczyzna zerknął na naklejkę na kopercie, którą trzymał w ręku.

– Proust spółka z o.o., ulica... – zaczął odczytywać.

– Dobrze, proszę. – Dominika, której ułamek sekundy wcześniej po plecach przebiegł zimny dreszcz, nacisnęła guzik zwalniający blokadę zamka w furtce.

Po chwili była już na dole, otworzyła drzwi i wyszła naprzeciw kurierowi, który – co wiedziała teraz z całą pewnością – nie był żadnym kurierem, bo przez firmę kurierską nie udałoby im się odpowiedzieć na jej wiadomość tak szybko, a czas najwyraźniej odgrywał w tym wszystkim najważniejszą rolę. W innym wypadku nie zaryzykowałiby gry w otwarte karty.

– Dziękuję. – Prawie wyrwała przesyłkę z rąk mężczyzny.

Uśmiechnął się cynicznie.

– Nie ma sprawy.

Kolejny z bandy klonów, pomyślała, idąc z kopertą w stronę wejścia.

– Co to? – zapytała Ania, wciąż na szczęście siedząc na kanapie w salonie i nie mogąc zobaczyć bladozielonej twarzy matki.

– Nic, nic, to w sprawie kliniki! – odkrzyknęła Dominika i poszła prosto na górę.

Tam otworzyła nerwowo kopertę, wyjęła białą kartkę z kilkoma tym razem wydrukowanymi liczbami, wzięła książkę ze stolika nocnego w sypialni i weszła z nią do toalety.

„Masz czas do rana albo szykuj się do aresztu”. Lapidarnie, a skutecznie – pomyślała, nerwowo drąc kartkę i jej kawałki zawijając w papier toaletowy. Następnie uformowaną z nich kulkę namoczyła lekko, wrzuciła do muszli i spuściła wodę. Kulka wraz z liczbami, które dla niej oznaczały nieomal wyrok śmierci, popłynęła do Czajki.

Dominika wyszła z łazienki, odłożyła książkę na miejsce i weszła do gabinetu Mariusza. Całe pomieszczenie zabudowane było półkami na książki. Sejf znajdował się na lewej ścianie, w specjalnie przygotowanym wykuszu powstałym w gładkiej nieomal płaszczyźnie wypełnionej szczelnie grzbietami woluminów. Jak mogę ustalić kod, nie będąc w pokoju, gdy Mariusz będzie otwierał sejf? – zadała sobie pytanie. Jej myśli biegły szybko. Za pół godziny, góra za godzinę mąż wróci z pracy, potem nie bardzo będzie miała już jak wyjść. Po co zresztą wychodzić? Podeszła do sejfu, potem oddaliła się ku bocznej ścianie i spojrzała znów na sejf. Był tylko jeden sposób, ale musiała działać szybko.

\*

Sklep z gadżetami, będący też przy okazji serwisem telefonów i komputerów, znajdował się w kompleksie pawilonów na Bemowie, który okres świetności i prosperity miał już dawno za sobą. Kiedyś mieściły się w nim popularne knajpy, butiki i sklepy z wyszukаныmi artykułami wnętrzarskimi, teraz były tu głównie magazyny oraz bary szybkiej – przeważnie azjatyckiej – obsługi. Do tego sklepy z rzeczami tak tandetnymi i brzydkimi, że naprawdę trudno było sobie wyobrazić, że ktokolwiek je kupuje. Zresztą chyba nie kupował, bo ilekroć tu była, wystawy owych sklepów różniły się tylko coraz grubszą warstwą kurzu. Niezmiennie zastanawiała się, z czego żyją ich właściciele, którzy całymi dniami siedzieli w głębi swoich mrocznych przybytków coraz mniej widoczni za brudem pokrywającym szyby.

– Kamera łatwa do schowania? – upewnił się sprzedawca. Patrzył na nią lekko zdziwiony, bo choć znali się od lat, do tej pory przychodziła tu naprawiać telefony i laptopa, a nie kupować sprzęt do inwigilacji.

– No tak, koledze w pracy chcemy kawał zrobić – odpowiedziała.

Z jej strony najważniejsze było w tej chwili to, żeby ten młody chłopak z twarzą podziobaną jeszcze śladami po trądziku nie skojarzył jej z Mariuszem. Nie celebrowali nigdy za bardzo jego kolejnych, coraz ważniejszych stanowisk, bo po pierwsze, nie leżało to w ich naturze, a po drugie, nie leżało też na szczęście w naturze owych stanowisk, ale w kilku gazetach ukazały się wywiady ze zdjęciami, na których pojawiała się również ona. Zresztą i jej zdarzyło się raz czy drugi opowiedzieć jakiejś redakcji o tym, jak to jest być żoną szpiega, a przy okazji szefową świetnie prosperującej kliniki.

– Mam tutaj takie maleństwo. Ma własne zasilanie, komunikuje się bezpośrednio z telefonem komórkowym, trzeba tylko zainstalować apkę. – Chłopak wyjął kolorowe pudełko oznaczone chińskimi krzaczkami.

Na jego ściankach Dominika zobaczyła szereg zdjęć ukazujących sytuacje, w których kamera mogła stać się użyteczna. Był tam złodziej w kominiarce, dziecko w pokoju z jakąś kobietą, kelner przy kasie w barze, alejka sklepowa, a nawet pies zjadający buty w korytarzu, czyli zbieranina opowiastek o tym, jak to we współczesnym świecie nikomu nie można ufać, nawet zwierzętom.

Dominika nie miała czasu do namysłu.

– Biorę.

– Zaraz, a cena, wady, zalety? – zdziwił się chłopak.

– Cena jest na pewno przystępna, a wady i zalety ocenię sama w trakcie użytkowania. – Uśmiechnęła się. – Tylko proszę mi

powiedzieć, jak to się włącza, i zainstalować tę apkę do obsługi.

Cała operacja trwała trochę ponad godzinę, na tyle długo, że kiedy Dominika wróciła, Mariusz był już w domu. Wiedziała, że tak będzie, bo choćby się waliło i paliło, przyjeżdżał z pracy o tej samej porze. Dlatego zapobiegawczo zatrzymała się jeszcze po drodze w spożywczym i kupiła kilka rzeczy. W ten sposób jej wyjście od razu wydało się bardziej uzasadnione, choć nie w pełni, ponieważ ogórki i śmietanę mogła kupić w sklepiku przy Czarnieckiego, co normalnie zajęłoby jej nie więcej niż kwadrans.

– Musiałam zajrzeć do kliniki – uprzedziła jego pytanie.

Jej nadgorliwość w udzielaniu wyjaśnień trochę go zdziwiła, ale nie na tyle, by to zapamiętał, tym bardziej że mizeria z ogórków i śmietany, które przywiozła, była najsmaczniejszym elementem posiłku.

– Co tam? – zapytała, zbierając naczynia ze stołu.

– Tam?

– No, w pracy, w życiu, w ogóle. – Uśmiechnęła się, kiedy na nią spojrział.

– Dobrze raczej. Sytuację mamy dość napiętą, ale ogarniamy. – Pokiwał głową zadowolony. – Przyniosłem trochę papierów, będę musiał jeszcze nad tym posiedzieć. Nie wiem, czy obejrzę dziś z tobą serial.

– Poczekam, poczytam – odparła, dochodząc już z talerzami do części kuchennej salonu. – Bylebyś się tylko wyspał.

– Bez przesady, nie zabrałem tego aż tyle. W końcu higiena psychiczna najważniejsza.

– A kościół? Idziemy na osiemnastą?

– A pójdziesz sama?

– Krzywdy mi nie zrobią, daleko nie jest.

\*

Rzeczywiście, daleko nie było. Kościół, mieszczący się w jednym z domów przy Czarnieckiego, znajdował się góra pięć minut pieszo od nich. Cała rzecz polegała teraz na tym, by Dominika, nim wyruszy do kościoła, zdążyła zainstalować kamerę kupioną przed godziną w sklepiku dziobatego na Bemowie. Prawdopodobnie właśnie w czasie, gdy ona będzie teoretycznie na mszy, on wyjmie dokumenty z sejfu. Wtedy, tylko przez moment, kamera będzie mogła zarejestrować szyfr. Mariusz wyszedł do ogródka zapalić. Papierosy stanowiły jedyny wyłom w jego zdroworozsądkowo etycznym podejściu do życia. Każdy musi mieć choć tę jedną rzecz.

Niektórzy, jak na przykład ona, mają ich więcej.

Co ja robię? – przebiegło jej przez głowę.

Weszła do gabinetu męża, trzymając kurczowo kamerkę w zaciśniętej dłoni schowanej w kieszeni spodni od dresu. Rozejrzała się, choć decyzję, gdzie umieścić urządzenie, podjęła już wcześniej. Znała każdy kąt tego pomieszczenia, sprzątała tu, ścierała kurze. Mogła wyrecytować wszystkie tytuły książek stojących na półkach. Po chwili nasłuchiwania, czy przypadkiem Mariusz już nie wrócił, podeszła do półki, wyciągnęła gadżet z kieszeni, wcisnęła małe jak dziurka po gwoździu guzik i kiedy na moment zabłysła zielona dioda na tylnej obudowie, wsunęła kamerkę pomiędzy angielskie wydanie *Archiwum Mitrochina* a polskie tłumaczenie *Akwarium Suworowa*. Czy w świecie i w życiu wszystko musi coś znaczyć? – pomyślała, odsuwając się od półki, a następnie ruszyła do sejfu i upewniła się, że urządzenie jest prawie niewidoczne. Owo „prawie” przez kolejne dwie godziny parokrotnie nieomal doprowadziło ją do zawału. Zanim opuściła gabinet, włączyła jeszcze zainstalowaną już na Bemowie aplikację w telefonie

i patrząc na ekran, doszła do wniosku, że obraz z tego miejsca, choć niewielkich rozmiarów, jest najlepszym, co da się tu w ogóle uzyskać. Sejf był widoczny trochę z boku, na tyle jednak też z przodu, że przy dobrych wiatrach powinna dojrzeć, jakie cyferki Mariusz wciska na elektronicznym panelu.

Oczywiście nie poszła do kościoła, tylko zatrzymała się dwie uliczki dalej i włączyła podgląd. Po mniej więcej kwadransie Mariusz wszedł do gabinetu, chwilę się pokręcił, gdzieś zadzwonił, ale gdzie, tego nie wiedziała, bo kamera nie rejestrowała dźwięku, w końcu stanął przed sejfem i po chwili namysłu wprowadził kod. Grube stalowe drzwiczki otworzyły się, a on wyciągnął teczkę z dokumentami i usiadł przy biurku. Kiedy gmerał przy panelu, stojącej między drzewem a śmietnikiem Dominice nie udało się dostrzec właściwie nic, lecz na szczęście materiał w jakości HD zapisywał się w pamięci telefonu, więc później można go było odtworzyć, powiększyć, a co najważniejsze, spowolnić.

Dominika zrobiła to w łazience, szykując się do snu. Nikogo nie zdziwiło, że zabrała tam telefon, bo zabierała go często, żeby zamiast książki czytać w wannie zaprenumerowany „Przekrój” i inne rzeczy, których nie miała czasu przejrzeć w ciągu dnia. Na zwolnionym i powiększonym materiale dość szybko udało jej się odczytać pierwsze trzy cyfry. Z ostatnią był problem, bo Mariusz przysłonił panel dłonią. Musiało to być jednak dziewięć albo sześć, ewentualnie zero. Sześć dwa cztery...

Nagle ją olśniło. Sześć dwa cztery zero to była odwrócona data ich ślubu, który wzięli dwudziestego szóstego kwietnia dziewięćdziesiątego siódmego roku. Co ja robię? – pomyślała znowu, a pytanie uderzyło ją ze zdwojoną siłą. Zdradzam człowieka, który jako szyfru do najbardziej tajnych dokumentów używa daty naszego ślubu.

Wyszła z łazienki mocno przybita. Wszystko, co zrobiła do tej pory, zmierzało nieuchronnie ku złu, ale zawsze w końcu przychodzi moment, który uświadamia to człowiekowi w szczególny sposób. Dla niej, zdaje się, właśnie to było owym momentem.

Pół godziny później położyła się do łóżka. Sięgnęła po leżącego na stoliku Prousta i poczytała chwilę. Nie rozumiała jednak, co czyta, za bardzo bowiem męczyły ją potworne wyrzuty sumienia.

– Coś się stało? – Mariusz przyglądał jej się z boku.

Jeśli jest się z kimś tak długo, jak on był z nią, to naprawdę wiele czuje się już przez skórę.

– Nie, nic, zmęczona jestem. Za dużo tego wszystkiego, bólu, nerwów, wyrzutów sumienia... – Dominika zdała sobie sprawę, że powiedziała za wiele.

– Wyrzutów sumienia? – Mariuszowi nie umykały takie poślizgnięcia.

– No w sensie... – Gorączkowo szukała zastępczego powodu. – Spóźniłam się wtedy na spotkanie do Oli. Może gdybym przyszła na czas...

– To nie żyłybyście obie? – Mariusz złapał ją za rękę.

– Nie wiem. Może bym ich spłoszyła? Poza tym może ona wiedziała, spodziewała się tego? Może nie dość ją wyczułam?

– Może, może... Duoma, „może” to zdecydowanie za mało na wyrzuty sumienia.

Duoma. Uśmiechnęła się, bo bardzo dawno tak do niej nie mówił. Ta ksywka była miło brzmiącym połączeniem skróconej formy jej imienia, Doma, z włoskim słowem oznaczającym katedrę i ich sekretem zarezerwowanym na specjalne okazje. Kiedyś takich okazji było w ich

życiu więcej niż obecnie. Cóż, taka jest natura rzeczy. Skoro dziś okazja nadeszła, Mariusz całą tę sytuację i jej stan musiał traktować naprawdę poważnie.

- Rozmawiałem z Milewskim – zaczął, a ona zamarła.
- Z Milewskim? – Udała, że nie wie, o kim mowa.
- To ten komisarz, który prowadzi sprawę zabójstwa Oli – wyjaśnił.
- A tak, teraz już pamiętam. – Dalej grała.

W gruncie rzeczy zaś czekała na najgorsze. Jeśli Mariusz, który stał na samym szczycie hierarchii, pofatygował się do zwykłego komisarza z rejonówki, to ten powinien był zwąchać w tym życiową szansę na rozwój kariery i...

– Podobno nic nie wiedzą. Na razie wygląda na to, że to zbrodnia w afekcie, czyli że nie zawodowiec – Mariusz zreferował to, co już wiedziała, więc znów odetchnęła z ulgą.

Ile razy jeszcze się uda? Za którym okaże się, że litość losu się wyczerpała? Co ma zrobić? Jak to zatrzymać? Gdzie jest ten punkt? Może powinna po prostu zniknąć, ale tak definitywnie, bezpowrotnie, bo gdyby zachodziło podejrzenie, że gdzieś czmychnęła, że się ukryła, to i tak zemściliby się na Mariuszu, na Rafale, na Ani. Gdzieś kiedyś, zresztą chyba właśnie u Mitrochina albo Suworowa, czytała, że oni unikają irracjonalnych działań. Dlatego, choć w razie czego są niepohamowani w swoim okrucieństwie, zabijają jedynie wtedy, gdy ma to jakiś sens, gdy może coś wniesić do sprawy czy raczej coś z niej wynieść.

A gdyby tak jej nie było? Gdyby umarła? Wtedy może daliby spokój jej rodzinie, bo nękanie jej nie miałyby sensu, a mogłoby niepotrzebnie narobić im problemów.



Gdyby umarła? Tyle że ona nie miała siły odebrać sobie życia. Podobno ci, którzy to potrafią, są tak naprawdę małą i elitarną częścią społeczeństwa, bo większość ludzi ma wbudowany w pień mózgu rodzaj blokady, która to uniemożliwia. Ona chyba należała do tej większości. Zresztą kochała życie i – co najbardziej paradoksalne w tej sytuacji – Ola i te kilka miesięcy z nią uświadomiło jej to jeszcze bardziej.

W tym momencie poczuła dłonie Mariusza na swoich udach. Nie, nie mogła tego teraz przeżyć, nie była też w stanie udawać, że to przeżywa. Nie teraz, jeszcze nie, może potem, kiedyś.

– Ale jak będą wiedzieli coś więcej, to dadzą ci znać? – Odsunęła się nieznacznie, trochę przesadnie podkreślając zadane pytanie.

– Jasne. Umówiłem się z Milewskim, że będzie mi codziennie składał ustne raporty. – Mariusz wyjął ręce spod kołdry i pogładził ją po włosach. – Obiecuję ci, że to rozwiążą i że winny zostanie ukarany.

Dominika uśmiechnęła się delikatnie i z czułością złapała jego drugą rękę. Z tym nie miała problemu – darzyła go ogromem czułości. Dla nikogo, nie wyłączając dzieci, nie miała jej tak wiele jak dla niego.

Po chwili Mariusz przestał głaskać ją po głowie i wyłączył lampkę nocną. Normalnie to ona zasypiała szybciej, by rano budzić się wcześniej niż on. Teraz nie było normalnie, ale skoro kłamała w każdej właściwie sprawie, to mogła i w tej. Przekręciła się na bok i powoli uspokoiła oddech.

Jak zachowuje się człowiek, który śpi? Nieraz już zastanawiała się nad tym, choć do tej pory interesowało ją to z czystej ciekawości. Może kilkakrotnie próbowała też w różnych sytuacjach udawać, że zasnęła, ale nigdy nie była pewna, czy to udawanie jest przekonujące. Wiemy, jak wyglądają inni, gdy śpią, lecz nigdy się nie dowiemy, jak wyglądamy sami. Spoczywając na boku, miała na szczęście przed oczami budzik

z podświetlanym kwarcowym zegarkiem, dzięki czemu wiedziała przynajmniej, jak długo już leży.

Po godzinie delikatnie uniosła kołdrę. Nie chciała jednak w żadnym wypadku sprawiać wrażenia, że próbuje się wymknąć. Gdyby się obudził, powiedziałaaby, że idzie do łazienki. Tylko czy rzeczywiście już spał? Może jedynie udawał, jak ona przez ostatnią godzinę? Może wiedział więcej, może przeczuwał, może Ania podzieliła się z nim już swoimi intuicjami?

Wstała i bardzo cicho ruszyła do drzwi. Poszła do łazienki i włączyła światło, żeby opowieść o wyjściu do toalety miała w razie czego jakiegokolwiek podstawy. Przez chwilę nasłuchiwała, czy Mariusz przypadkiem się nie obudził. Nic na to nie wskazywało, więc powoli, na miękkich nogach przeszła do gabinetu. Tam nie zapaliła już światła, tylko oświetlając sobie drogę komórką, dotarła do sejfu. Odwrócona data ślubu. Sześć dwa cztery zero. Wstuknęła cyfry na panelu i wcisnęła zielony klawisz. Po chwili cyfrowego namysłu drzwiczki puknęły cicho, po czym uchyliły się samoczynnie. Zaświeciła do środka. Na górze stosu dokumentów leżała teczka. Ta sama, którą widziała na podglądzie z kamery. Wyjęła ją z walącym ze stresu sercem, trzęsącymi się rękami odciągnęła gumkę i otworzyła. „Zalecenia strategiczne dla rozmieszczenia wyrzutni przeciwrakietowych Patriot”. Niżej widniała jeszcze pieczętka „ściśle tajne”. Zastygła. Do tej pory fotografowała rzeczy, na których były inne pieczętki. Czasem dokumenty były „zastrzeżone”, rzadziej „poufne”, może raz zdarzyło jej się uwiecznić coś, co miało oznaczenie „tajne”. Na tyle długo była żoną człowieka, który zajmował się bezpieczeństwem i wszelkiego rodzaju tajnymi agendami państwa, by wiedzieć, że pieczętki „ściśle tajne” używano ze ściśle określonych powodów.

Ale jeśli na szali są dzieci, mąż i katastrofa rodzinna, to wszystkie pieczętki tracą znaczenie.

Wyjęła pierwszą kartkę i zrobiła zdjęcie telefonem. Była tak zdenerwowana, że fotografowania kolejnych nawet nie pamiętała. Nagle poczuła czyjąś obecność za plecami. Na moment stężała, bo Ania i Rafał spali na dole, więc jedyną osobą, która mogła znaleźć się w gabinecie, był Mariusz.

Po chwili dłuższej niż wieczność odwróciła się bardzo powoli, jednocześnie próbując ułożyć w głowie choćby pierwsze zdanie, które będzie musiała wypowiedzieć. W wąskiej smudze światła dochodzącego z łazienki zobaczyła kontur psa. Lola stała i wpatrywała się w nią pytająco. Miała delikatną formę psiego aspergera, więc najbardziej ceniła sobie niezmiennosc sytuacji i rytuałów. Nocna obecność Dominiki w gabinecie Mariusza nie była czymś, do czego przywykła, a każdą tego typu zmianę najczęściej komentowała z dezaprobatą serią głośnych szczenięć.

– Lola, chodź tu szybciotko, masz, masz. – Dominika schyliła się lekko, jakby trzymała coś, co mogła zaoferować suni, coś, co choć na moment każe jej zapomnieć o tym, że ktoś poprzestawiał jej klocki.

Sunia podbiegła do niej, merdając ogonem. Kłopot polegał na tym, że Dominika nie miała nic w ręku, dlatego rozejrzała się nerwowo. Na biurku Mariusza dostrzegła talerzyk z niedojedzonymi herbatnikami. Żaden to przysmak dla psa, ale chociaż tyle. Złapała szybko kilka ciastek i podstawiła Loli pod nos. Ta powąchała, po czym bez przesadnego entuzjazmu wzięła jedno i zaczęła się zastanawiać, czy je zjeść, czy nie, a Dominika zyskała czas, by dokończyć to, co dokończyć musiała.

Kiedy sfotografowała już wszystko, przetała kartki dolną częścią koszuli nocnej, usuwając z nich swoje odciski, ale zrobiła to raczej pro forma i bez przekonania. Następnie ułożyła teczkę w sejfie dokładnie tak, jak leżała wcześniej, zamknęła drzwiczki i wyszła z pokoju. Była tak zdenerwowana, że świadomość w pełni odzyskała dopiero w łazience,

gdy spojrzała na swoją twarz w lustrze. Błyskawicznie dotarło do niej, że patrzenie sobie w oczy po czymś takim nie jest dobrym pomysłem.

Nie było chyba w tym momencie na świecie człowieka, który gardziłby kimś tak bardzo, jak ona gardziła sobą.

Po chwili przyszło opamiętanie. Utworzyła nowe konto mailowe, obawiała się bowiem, że to, którego używała do tej pory, zostało odkryte przez Pokrzyckiego, podobnie jak konto, z którego komunikowała się z Olą. Wprawdzie na tym, z którego wysyłała rzeczy do nich, w folderze „wiadomości wysłane” było pusto, bo zgodnie z ich poleceniem nigdy niczego tam nie zostawiała, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Następnie wkleiła zdjęcia dokumentów do maila, który miał trafić na idiotyczny adres przekazany na karteczce włożonej za cegłę. Maila jednak nie wysłała.

Jeszcze nie, pomyślała. Jeszcze do końca nie zdradzę męża, dzieci ani nawet psa, o ojczyźnie nie wspominając.

Przyszło jej do głowy, że może spróbować zrobić coś innego.

Kolejny dzień zaczęła od spaceru z Lolą połączonego z całym obrzędem – znów usiadła na swojej ulubionej ławce, wepchnęła karteczkę za cegłę i dopiero wtedy ruszyła do domu, żeby zrobić wszystkim śniadanie. Kiedy przechodziła obok małego pomieszczenia z pojemnikami na śmieci, wrzuciła do jednego z nich kilka wydobytych z kieszeni kartek i przy okazji przekręciła go o jakieś sześćdziesiąt stopni, co w języku sygnałów, które z nią ustalili, oznaczało pilną wiadomość do odebrania w wiadomym miejscu. Od początku wiedziała, że „kodu pojemnika” może używać jedynie w wyjątkowych sytuacjach. Nie był to normalny tryb porozumiewania się, bo jego zbyt częste wykorzystywanie w końcu wzbudziłoby czyjeś podejrzenia. Ale tę sytuację uznała za wyjątkową.

– Strasznie wcześnie wstałaś... – Mariusz powitał ją w kuchni.

– Chrapałeś, była pełnia, źle spałam, o siódmej przestałam się zmuszać – wyjaśniła z udawaną swobodą.

Spodziewała się, że po powrocie zostanie go już na nogach, spodziewała się też jego zdziwienia, więc z góry się na nie przygotowała.

Po śniadaniu wszyscy ruszyli do swoich codziennych zajęć. Mariusz pojechał chronić ojczyznę, Ania uczyć się polityki, żeby kiedyś zostać kimś takim jak jej ojciec, a Rafał do swojej firmy, w której wciąż jeszcze zastanawiał się, czy zająć się bardziej grami komputerowymi czy odnawialnymi źródłami energii. Dominika wreszcie miała chwilę dla siebie.

Najpierw weszła do gabinetu Mariusza, żeby sprawdzić, czy wszystko jest tak, jak być powinno, i czy w nocy, chodząc tu w ciemnościach, nie zostawiła jakichś śladów. Z pozoru wydawało się, że jest w porządku, coś jednak nie do końca grało, coś zaburzało obraz na obrzeżu pola widzenia.

W końcu to dostrzegła.

Na podłodze pod biurkiem leżały resztki rozgniecionego ciastka. Gdyby leżało całe, byłoby pół biedy, ale jego część spoczywała na talerzyku na biurku. Czyli ktoś musiał je dostrzec i podnieść. Najpewniej Mariusz, bo młodzi, szczególnie rano, się tu raczej nie zapędzali. Zatem kiedy wszedł tu, by zabrać dokumenty z sejfu, musiał albo sam nadepnąć leżący na podłodze herbatnik, albo – co gorsza – zastał go już rozdeptanego. A wtedy pojawiało się pytanie, kto i dlaczego zrzucił, a następnie nadepnął, prawdopodobnie w nocy, ciastko w jego gabinecie.

Dominika zdała sobie nagle sprawę, że oprócz tego, jak bardzo wszystko jest przerażające, w całej sytuacji pojawił się dodatkowo

jeszcze jakiś element absurdu. Stała tu teraz, wpatrując się na przemian w okruszki u swoich stóp i w kawałek herbatnika na talerzyku, i zastanawiała się nad tym, co myślał jej mąż, kiedy pół godziny wcześniej podnosił go z podłogi. Ale czy mogło być inaczej? Czy mogła podchodzić do tego wszystkiego na spokojnie, bez paranoi i poczucia absurdu? Prawdopodobnie mogłaby, gdyby tylko była psychopatką, bo oni – bez względu na to, jak złe rzeczy robią – zawsze zachowują wewnętrzny spokój. Ona jednak psychopatką nie była.

Po chwili roztrząsania, czy lepiej udać, że w ogóle tego nie dostrzegła, i zostawić wszystko tak, jak jest, czy może posprzątać, zdecydowała się na to drugie. Zabrała talerzyk do kuchni, po chwili wróciła z odkurzaczem i ściągnęła nim okruchy z podłogi. Wyszła z założenia, że przecież jest panią domu, dogląda wszystkiego i sprząta, więc mogła zauważyć także to

i choć nie miała pojęcia, skąd się wzięło, uprzątnąć. Taka była oficjalna wykładnia na popołudnie, na wypadek gdyby Mariusz zapytał. Później umyła włosy, umalowała się delikatnie, włożyła strój służbowy, czyli dżinsy, golf i żakiet, i wyszła do kliniki. Pośpiech nie był wprawdzie konieczny, pierwszy pacjent miał się zjawić dopiero za godzinę, a z domu do pracy miała samochodem trzy minuty, ale i tak lepiej być tam.

Właściwie mogła do kliniki pójść pieszo, robiła tak bardzo często, lecz tym razem wolała mieć ze sobą samochód na wypadek czegoś nieprzewidzianego. Co by to miało być? Tego nie wiedziała dokładnie, ale gdzieś w środku drążył ją lęk, a co za tym idzie poczucie, że w każdej chwili powinna być gotowa do ucieczki. Oczywiście była świadoma, że w razie czego daleko nie ucieknie, jednak samochód dawał jej przynajmniej złudne poczucie kontroli, gdyby sytuacja nagle się skomplikowała.

Nie ujechała daleko, bo już przed skrzyżowaniem z Czarnieckiego, kilkaset metrów od domu, był korek. Przed nią stał duży czarny SUV na tyle zasłaniający dalszą część ulicy, że nie wiedziała nawet, czy to on ją zaczopował, czy coś, co stało dalej. Po chwili zaczęła trąbić, po kolejnej zaś z SUV-a wysiadł mężczyzna w przyciemnianych okularach i ruszył prosto ku niej. Wyglądał na zdenerwowanego jej trąbieniem, więc od razu przestała naciskać na klakson. Podszedł do miniaka, a ona uchyliła okno.

– Jak nie przekażesz tych zdjęć za dziesięć minut, to będzie problem – powiedział, po czym odwrócił się i ruszył do swojego auta.

Dominika zdrętwiała, więcej nawet – na moment kompletnie wypięło ją z rzeczywistości. Z tego stanu wyrwał ją dźwięk klaksonu. Tym razem to na nią trąbił ktoś z tyłu. Spojrzała przed siebie. Po czarnym SUV-ie nie było śladu.

Pod kliniką wyłączyła silnik i próbowała dojść do siebie. Wyglądało na to, że jej odważna poranna operacja, szantaż, którym chciała sobie zapewnić to, że po otrzymaniu maila ze zdjęciami ściśle tajnych dokumentów oni wreszcie dadzą spokój jej i jej rodzinie, się nie powiodła. Oparła ręce i głowę na kierownicy. Była zrozpaczona.

– Dominiko? – rozległ się po chwili głos jej asystentki. – Coś się stało?!

Podniosła głowę i spojrzała na młodą buzię za szybą.

– Nie, nic, zmęczona jestem tylko trochę – powiedziała, otworzywszy drzwi, po czym z wysiłkiem się uśmiechnęła.

– To może odwołamy dzisiejsze spotkania? Powiem, że jesteś chora, pojedziesz się położyć. – Asystentka wyglądała na naprawdę przejętą.

– Nie, nie, Ewa, dam radę. To nie jest ten rodzaj zmęczenia, który można wyleżeć. – Dominika zamknęła samochód i wzięła ją pod rękę.

– Nie ten? – Dziewczyna próbowała jakoś podtrzymać rozmowę.

– Nie... – Dominika pokręciła głową, ale nie chciała wchodzić w szczegóły. I tak już w przypiływie nadmiernej szczerości niepotrzebnie wrzuciła Ewie temat do rozmyślań.

\*

Pacjenci nie byli na szczęście tego dnia zbyt wymagający. Młoda dziewczyna, która pojawiła się o trzynastej, od miesiąca była na przepisanych jej przez psychiatrę antydepresantach, więc akurat weszła w fazę dużej zmiany in plus i o ile wcześniej wszystko ją dołowało, o tyle teraz każde zrządzenie losu okazywało się przyczynkiem do radości.

Mówiła bardzo dużo, ale Dominika miała wrażenie, że na tym etapie nie jest jej potrzebna żadna forma interakcji. Wszystko to, co wcześniej zbierało się w niej w postaci mrocznych przemyśleń i emocji, zmieniło całkowicie zabarwienie i eksplodowało teraz treścią jak wulkan, który długo drzemał, lecz w końcu trysnął lawą gdzieś pośrodku oceanu jej życia.

Mózg to jednak chemia, pomyślała Dominika. Oczywiście zdrowiej jest, jeśli uda nam się tę chemię przerobić we własnym zakresie, ale współczesność, wraz z promocją absolutnego indywidualizmu, nieco paradoksalnie realizowała program totalnego odejścia od prób radzenia sobie we własnym zakresie. Nastąpiły czasy zachcianek połączonych z niecierpliwą roszczeniowością. Wielu z tych, którzy przewinęli się przez jej gabinet, a których starała się namówić do jakiegokolwiek zmiany w postrzeganiu siebie albo otaczającego świata, nie potrafiło tego zrealizować.

Niemniej czasem, jak ta młoda dziewczyna, wracali do niej nagle odmienieni, tyle że nie przez samych siebie, ale przez Pfizera, Glaxo czy innego Sandoza. Korzyść ogólna dla niej w tej chwili była wszakże taka,



że choć na kilka godzin musiała przenieść się do innych światów, wsłuchać się w problemy innych ludzi i ewentualnie postarać się te nie swoje problemy jakoś rozwiązać. Co było problemem tej dziewczyny? Tak samo jak wcześniejszy totalny smutek nie miał obiektywnej przyczyny, tak nie miała jej też obecna absolutna radość. Dominika to wiedziała, acz próby zaradzenia czyjejś absolutnej radości byłyby w tym momencie niedorzecznością. Pewnie za jakiś czas się unormuje, wyrówna – pomyślała.

– A czy doktor Waltz nie zalecił pani przypadkiem też Depakine Chrono? – zapytała jednak w końcu, przerywając jej logoreę.

– Zalecił.

– Bierze pani? – upewniła się Dominika.

Przez głowę przemknęło jej w tym momencie, że może to wszystko niepotrzebne, że może po prostu zazdrości dziewczynie tej niczym nieuzasadnionej radości życia. Tej, którą sama miała jeszcze kilka miesięcy temu. Jej wprawdzie udało się ją osiągnąć bez leków, ale za to zdradziła męża. Może wariant z Asentrą był jednak z dwojga złego mniej dolegliwy.

– Nie biorę. Po co? Świetnie się czuję – odpowiedziała dziewczyna nieco nawet buńczucznie.

– Problem w tym, że za świetnie to też niedobrze. – Dominika uśmiechnęła się blado.

– Czemu?

– Bo po drugiej stronie depresji jest mania – wyjaśniła.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Nigdy nie miałam manii. Znam tylko tamtą stronę.

– I może ma pani szczęście, bo mania potrafi w kilka chwil na zawsze zrujnować człowiekowi życie.

Choć mówiła do dziewczyny, Dominika miała nieodparte wrażenie, że odnosi się to też idealnie do jej doświadczenia.

Czyżby Aleksandra była jej manią?

Kiedy wróciła do domu, Mariusz już w nim był. Wyjątkowo, jak na niego, wcześniej. Sytuacja wydawała się nietypowa pod jednym jeszcze względem. Jej mąż był odmieniony, zamknięty w sobie do tego stopnia, że nawet się z nią nie przywitał. Siedział przy stole i wpatrywał się w okno, a przed nim stała szklanka szkockiej.

– Co się dzieje? – zagadnęła, gdy już odwiesiła kurtkę i odstawiła siatki z zakupami na blat w kuchni.

– Nic. – Pokręcił głową.

– Czyli? – docisnęła mimo świadomości ryzyka, jakie podejmuje.

Była niemal pewna, że jego przygnębienie związane jest z nią. Może Pokrzycki już coś ustalił i mu doniósł?

– Mam problemy – odezwał się po chwili.

– Problemy?

– Czuję, że coś nie gra. Tak jakby ktoś kopał pode mną dołki i jakbym łąził po bardzo cienkim lodzie. – Wypił łyk bursztynowego eliksiru chwilowego szczęścia i popatrzył na nią.

Dominika uśmiechnęła się z ulgą.

– Normalne.

Ulga dotyczyła nie tylko tego, że jednak znów się pomyliła, ale też tego, że Mariusz najwyraźniej miał cięższy okres i prawdopodobnie

wyolbrzymiał problem.

– Siedzisz w tym tyle lat i martwi cię, że ktoś kopie pod tobą dołki? – zdumiała się nieco teatralnie. – Przecież to wszystko to jedno wielkie kopanie dołków. Czasem się dziwię, że to się jeszcze nie zawaliło, tak jest podkopane ze wszystkich stron.

– Ja nie kopię pod nikim.

– Dlatego często się zastanawiam, co tam w ogóle jeszcze robisz. – Usiadła obok niego i sobie też naląła z karafki stojącej na srebrnej paterze.

– Teraz jest inaczej – wyjaśnił, ale już bez przesadnego przekonania.

– Zawsze coś wygląda inaczej. – Zaśmiała się szczerze, choć z pewnym wysiłkiem.

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedział.

Dominika popatrzyła na niego pytająco. Nie bała się już bardzo, ale znów trochę ją tknęło.

– To znaczy... nawet głupio mi o tym mówić – zaczął. – Trochę to obciach, trochę śmiech.

– Wał, śmiech się przyda.

– Zadzwoił do mnie jakiś dziennikarzyna. – Popatrzył na nią. – Tabloidowiec... z „Super Expressu”. Zapytał, czy mógłbym mu udzielić wywiadu.

– Może mógłbyś? Tabloidy, jeśli dobrze z nimi żyjesz, mogą być pomocne.

– Chyba bym nie mógł jednak. Mógłbym mu zrobić krzywdę ewentualnie. – Pokręcił głową.

– O, robi się ciekawie.

– Facet chciał porozmawiać o tobie i Aleksandrze.

– Fantastyczny temat. Na pierwszą stronę moim zdaniem – próbowała wyśmiać sprawę.

Przypomniała sobie jednak od razu poranne spotkanie z kierowcą SUV-a. Czyżby tamci od słów postanowili przejść do czynów?

– Między wierszami wyczułem niespecjalnie zawołowaną sugestię, że łączyło was coś więcej... – Mariusz zawiesił głos i spojrział w okno.

– Totalna bzdura. Znasz mnie i wiesz, że mam dużą odporność na to wszystko, ale tu już przegięli.

Była przekonująca, bo właściwie mówiła prawdę. Dłubanie w czyichś prywatnych relacjach, w czyjejs intymności zawsze uważała za wyjątkową niegodziwość.

– Co odpowiedziałeś? – zapytała po chwili milczenia.

– Że jak zadzwoni do mnie jeszcze raz, to go zniszczę – odparł lapidarnie.

On też był przekonujący, bo mówił prawdę.

Dominika uśmiechnęła się nieznacznie. Kochała go za tę cichą stanowczość, którą nigdy nie kupczył, ani w życiu zawodowym, ani w prywatnym. Mariusz był absolutnym przeciwieństwem przeciętnego współczesnego obywatela, ponieważ pokazywał o wiele mniej, niż w rzeczywistości miał, potrafił i mógł.

Większość jej pacjentów na przykład cały czas eksplodowała różnego rodzaju płomiennymi deklaracjami, manifestami wręcz. Tyle że wszystko to było zagrane i najczęściej nie kryło się za tym nic prócz głębokiej frustracji wynikającej z przepaści między tym, co ludzie owi myśleli na swój temat, a tym, co tak naprawdę sobą reprezentowali. Nie chodziło zresztą wcale o to, że reprezentowali coś gorszego od tego, co

deklarowali. Nie, byli po prostu inni i tylko niepotrzebnie szukali się nie w tych miejscach, w których mogliby się znaleźć.

Mariusz tymczasem deklarował bardzo mało, ale zawsze wiadomo było, że to, co obiecał, a nigdy nie obiecywał na wyrost, zrobi rzetelnie. Jeśli już coś mówił, można było mieć pewność, że gdyby tylko zechciał, mógłby zrobić dziesięć razy więcej. Pokazywał jedynie czubek swojej góry lodowej, cała reszta zaś kryła się pod powierzchnią oceanu jego możliwości. W przeciwieństwie do innych jego było znacznie więcej, niż mogło się z pozoru wydawać.

– Robię obiad. Jakies życzenia? – Uśmiechnęła się.

– Leniwe? – zapytał nieśmiało.

Dominika pokiwała głową, wstała od stołu i ruszyła do kuchni. Zanim jednak do niej dotarła, skręciła na chwilę do łazienki, po drodze zabierając torebkę. Tam drżącymi dłońmi wyciągnęła telefon, otworzyła pocztę, stuknęła „wersje

robocze”, znalazła mail przygotowany do wysłania na adres marlenka872@yahoo.com i dotknęła zielonego pola z napisem „wyślij”.

Po obiedzie, który zjedli we dwoje, w domu zjawiała się Ania. Dominika bała się jej kontaktów z Mariuszem, ale teraz nie wyglądało na to, by miało się pojawić zagrożenie, bo Ania przyszła z przyjaciółką i była w zupełnie innym nastroju niż poprzedniego dnia. Roześmiane dziewczyny poszły na górę, a Dominika i Mariusz popatrzyli na siebie zdziwieni. Takiej Ani żadne z nich nie widziało od dawna.

Waldemar Pokrzycki zadzwonił pół godziny później, dokładnie w momencie, kiedy wyszła z domu, żeby wrócić jeszcze na jedną sesję do kliniki. Dominika uznała to za dość fortunny zbieg okoliczności. Przy

Mariuszu rozmowa ze współpracownikiem ABW, którego intencje wciąż pozostawały dla niej niejasne, byłaby trudna. W normalnych okolicznościach od razu powiedziała by mężowi o dziwnych podchodach, które agencja, choć może zresztą wcale nie ona, robiła wokół niej, a przy okazji też prawdopodobnie wokół niego. W normalnych tak by właśnie zrobiła, ale obecne nawet nie stały w pobliżu normalnych. Gdyby powiedziała Mariuszowi o Pokrzyckim, uruchomiłoby to cały łańcuch zdarzeń, których zdecydowanie wolą teraz unikać.

– Pojawiły się nowe okoliczności – Pokrzycki szybko przeszedł do konkretów.

– Dotyczące? – zapytała nie bardzo nawet ciekawa, co ma jej do powiedzenia.

Denerwował ją ten facet, zwłaszcza jego szczególny rodzaj protekcjonalności, gdyż tak naprawdę nie miał ani pozycji, ani intelektu, ani w ogóle niczego, co by go uzasadniało.

– Pani – odpowiedział i teatralnie zawiesił głos.

– Tak? – Dominika starała się nie ulec panice. – Jakie?

– Mamy podstawy sądzić, że spotykała się pani z osobami o, powiedzmy oględnie, nie do końca transparentnej tożsamości.

Po plecach przeszedł jej zimny dreszcz. Czyżby wiedzieli aż tak dużo?

– Z jakimi osobami? Kiedy?

– W ostatnich dniach. Więcej nie ujawnię. Proszę po prostu wsiąść do samochodu, przy którym pani stoi, i podjechać do nas, na adres, który zaraz podeślę.

Dominika rozejrzała się odruchowo. Zrozumiała, że była i jest obserwowana.

- Teraz nie mogę, mam umówionego pacjenta.
- Proszę go odwołać. Myślę, że im szybciej to wyjaśnimy, tym lepiej będzie i dla pani, i dla męża.
- Straszy mnie pan?
- Nie, mówię, jak jest.
- Proszę wysłać ten adres, przyjadę najszybciej, jak mi się uda.
- Słuszna decyzja.

Dominika rozłączyła się.

Było jej niedobrze, głównie ze zdenerwowania, ale też mdliło ją od samego słuchania tego wyjątkowo śliskiego faceta.

SMS z miejscem gdzieś na Górnym Mokotowie przyszedł kilkanaście sekund później. Stawecka siedziała chwilę w aucie, zastanawiając się, co zrobić. Mogła grzecznie pojechać pod wskazany adres i kto wie, może zostać już u nich, czyli w Sztumie, Rawiczu, we Wronkach albo w jakimś innym z wielu więzień na terenie kraju, na kolejne ileś lat.

Nie, to nie była opcja. Jeszcze nie. Na razie musiała zrobić coś innego. Tylko co?

Obserwowali ją, więc przede wszystkim na początek musiała ich zgubić. Może w trakcie wymyśli, co dalej, innymi słowy, dojdzie do tego, po co ich w ogóle gubiła. Jak to zrobić? Najlepiej uciekając do metra, bo każdy inny środek komunikacji nie zdałby się na nic. Jechaliby za nią.

Ruszyła, przemierzyła kilka ulic, kręcąc się po tak zwanym Żoliborzu oficerskim, w końcu wyjechała na Krasińskiego, dotarła na plac Wilsona, zawinęła na Mickiewicza i skręciła w Kątową. Teraz najważniejsze było znalezienie miejsca do zaparkowania gdzieś

w pobliżu końca tej wąskiej, ślepej uliczki, czyli przy samym zejściu do metra. Samochód, który widziała już wyraźnie w lusterku, został kawałek za nią, prowadzący go mężczyzna w przyciemnianych okularach czekał, aż przejedzie tramwaj.

Miała szczęście. W tym momencie na końcu Kątowej wyparkowywało duże kombi i przy okazji zablokowało ulicę, manewrując na wstecznym. Minęła go i zajęła miejsce po nim, następnie wyskoczyła z miniaaka i zbiegła po schodach na peron metra. Czy poszczęści jej się jeszcze raz? Miała chwilę, bo nim tamten minie kombi i dojedzie do końca uliczki, upłynie co najmniej kilkadziesiąt sekund. Zanim potem wpadnie na to, że zbiegła do metra, a nie poszła na przykład do sklepu, upłynie może nawet kolejna minuta. Metro miało dojechać za dwie.

Schowała się za filarem i czekała, a karzący miecz sprawiedliwości wisiał nad nią na cienkiej jak włos nitce. Kiedy w tunelu pojawiły się światła, zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu zobaczyła nazwisko „Milewski” i choć nie odebrała, wiedziała już, co ma dalej zrobić.

Wysiadła na stacji Politechnika i w kiosku, jeszcze na dole, kupiła kartę startową Playa. Musiała oczywiście okazać dowód i doskonale wiedziała, że jej nazwisko za jakiś czas wyskoczy przy tym numerze i Pokrzycki dowie się, że jest jego posiadaczką. Ale to będzie za jakiś czas, a teraz – dzięki temu, że wyłączyła telefon i wyjęła z niego baterię i że w sklepiku na Polnej kupiła inny i włożyła do niego nową kartę – współpracownik ABW przez kilka najbliższych godzin nie zobaczy jej na swoich monitorach.

– Komisarz Milewski?

Odebrał dopiero przy trzeciej próbie połączenia. Nie znał numeru, z którego dzwoniła, ale ona przepisała sobie wcześniej do notesu jego numer.



- Tak, to ja. Kto mówi?
- Stawecka... Dominika Stawecka.
- A tak, oczywiście. Głos był znajomy, ale nie byłem pewien.
- Nie pyta mnie pan, dlaczego dzwonię z takiego numeru?
- Nie.
- Mam problem.
- Wiem.

Z Milewskim spotkała się w kawiarni w pobliżu wejścia do stacji metra Politechnika. Po godzinie krążenia po pobliskich uliczkach była zmęczona i zdezorientowana. Być może mogła tak nie marnować cennego czasu, ale paraliżowały ją strach i wynikający w znacznym stopniu z niego właśnie brak pomysłu na to, co w ogóle mogłaby jeszcze zrobić.

– Skąd pan wie? – Po sekwencji formalności powitalnych wróciła wprost do zakończonej przed godziną rozmowy telefonicznej.

– Skąd wiem...? – Komisarz nie bardzo rozumiał, o co jej chodzi.

Pomyślała, że on, w przeciwieństwie do niej, załatwił pewno po drodze wiele ważnych i sensownych spraw, nie żył tylko jej problemem, nie kręcił się bez ładu i składu po okolicy z poczuciem, że godziny jego wolności są policzone.

– Skąd wiem, że ma pani problem? – Milewski przypomniał sobie jednak, nim zdążyła mu odpowiedzieć. – Powiedzmy, że my w policji też mamy różne swoje dojścia do ABW, tak jak oni mają dojścia do nas – wyjaśnił.

– Nie wiem, co robić. Boję się, że ten cały Pokrzycki ma jakieś sfingowane dowody na mnie i gotów jest mnie zatrzymać albo coś. Może to jest w ogóle plan wymierzony w mojego męża. Nie mam pojęcia.

Mówiła dużo, bo z reguły, gdy się kłamie, mówi się dużo, choćby po to, żeby zagłuszyć fałsz.

– A powiedziała pani o tym wszystkim mężowi? – zapytał komisarz, chociaż po jego minie widać było, że zna odpowiedź.

Dominika nabrała nagle wody w usta, a on pokiwał głową.

– Przypuszczam, że rozpracowują panią od niedawna – odezwał się po chwili, po czym popatrzył na nią i dokończył: – W związku z tym wiedzą pewnie tylko o jakichś pani ostatnich kontaktach.

– Nie rozumiem... – Rozumiała, ale szok, który wywołała u niej świadomość, że on wie o jej kontaktach, akurat doskonale pasował do „nie rozumiem”.

– Proszę do nich nie jechać. Ja skontaktuję się z Pokrzyckim i powiem mu, że realizowała pani prowokację policyjną na naszą... na moją prośbę.

Dominika nie udawała już, że nie rozumie. Dotarło do niej, że choć zupełnie nie wie, o co chodzi, to dociekanie tego w tym momencie i tak mijałoby się z celem.

– To dość naciągane – kontynuował Milewski. – On oczywiście nie uwierzy, ale na chwilę zwiążemy mu ręce. Będzie musiał znaleźć coś innego i pewnie wkrótce niestety mu się to uda. No ale może tyle czasu pani wystarczy...

Z intonacji nie wynikało wprawdzie, że zadał pytanie, lecz spojrzał na nią i w wyrazie jego twarzy było coś między sugestią a ciekawością.

– Tak, może wystarczy – odparła, nie wiedząc za bardzo, co ta odpowiedź mogła oznaczać.

Wystarczy? Czyli ile miałyby czasu i co właściwie miałyby w tym czasie zrobić? Na co go wykorzystać? Na załatwienie spraw, zanim pójdzie siedzieć na piętnaście lat? A przede wszystkim skąd i co dokładnie wiedział ten życzliwy jej z jakiegoś niewyjaśnionego powodu mężczyzna?

– Czyli co mam teraz zrobić? – spytała bezradnie.

Poczuła się nagle absolutnie bezwolna. Całe życie, mimo okowów religii i związanych z nią obyczajów, niosła w sobie zew wolności, zawsze chciała decydować, a bywało nawet tak, że choć ktoś proponował optymalne rozwiązanie jakiejś sprawy, ona wybierała inne, bo było jej własne. Całe życie, aż do tego momentu. Teraz czuła się tak zagoniona w kozi róg przez okoliczności, tamtych ludzi, Pokrzyckiego, wyrzuty sumienia i tragedię, która spotkała Olę i jej męża, że zależało jej już wyłącznie na tym, by ktoś zawiązał jej opaskę na oczach, wziął za rękę i ją z tego wszystkiego wyprowadził.

– Proszę jechać do domu i zachowywać się normalnie. Ja się z nimi skontaktuję, a oni odpuszczą. Tak jak mówiłem, na jakiś czas, bo oni, my zresztą też w razie czego, nie odpuszczają, a Pokrzycki, jak poczuje krew, to już w ogóle jest nie do zatrzymania.

– To skąd pan wie, że odpuszczą, w sensie chociaż na chwilę?

– Bez wchodzenia w szczegóły, mam coś, co go do tego zmusi. Ale to coś nie ma niestety nieskończonej daty przydatności do użycia.

– Rozumiem. Czyli na jak długo odpuści?

– To już trudno mi precyzyjnie określić, ale pewnie kupimy pani tydzień, może trochę dłużej.

– Czemu pan to dla mnie robi? – Dominika zapytała o to tak nagle i tak otwarcie, że komisarz przez moment nie tylko nie wiedział, co odpowiedzieć, ale nawet, jak się zachować.

– W skrócie?

– Jeśli nie mamy czasu na pełną wersję...

– Może kiedy indziej.

– Więc w skrócie.

– Z sympatii...

– Do mnie?

– Tak, do pani też... I na razie tak to zostawmy.

Niebezpieczeństwo zostało chwilowo zażegnane, ale Dominika zdawała sobie sprawę, że Milewski nie straszył jej dla samego straszenia i doskonale wiedział, co mówi. Nie znała Pokrzyckiego ani przebiegu jego kariery, lecz już po kilku rozmowach telefonicznych i jednym spotkaniu w cztery oczy widziała w nim człowieka, który do celu zmierza konsekwentnie i po trupach. Być może chodziło o to, że z czymś nawalił i usunięto go, przynajmniej czasowo, z agencji, a on postawił sobie za punkt honoru, by wrócić. A może wręcz przeciwnie – usunięto go z ABW właśnie za to, że nigdy nie nawalał i był w tym zbyt mendowaty nawet jak na ich, prawdopodobnie niespecjalnie wyśrubowane, standardy.

Zastanawiała się, jak się dalej zachować, jaką przyjąć strategię. Co chwilę stawała jej przed oczami Ola, która przez ostatnie miesiące była nie tylko jej kochanką, ale też powierniczką w sprawach, o których nie mogła porozmawiać z nikim innym. Może zbyt jej ufała, jednak tego nie

dało się już teraz cofnąć ani naprawić, a Dominika wolała mieć dobre wspomnienia niż złe.

Tym bardziej że wspomnienia były wszystkim, co jej po Oli zostało.

Kończył jej się czas, tyle wiedziała na pewno. Więzienie stawało się tak nieuchronne, że myślała już nie o tym, czy tam trafi, ale o tym, jak tam będzie. Jedna sprawa pozostawała dla niej absolutnie kluczowa. Zanim to się wyda, zanim ją zatrzymają, to od niej, a nie na przykład z telewizji, muszą dowiedzieć się o wszystkim jej bliscy. Mariusz i dzieci, może zresztą przede wszystkim one. Tylko kiedy to zrobić? W jakich okolicznościach? Na pewno w domu. Powinni być wtedy wszyscy, a to zdarzało się dość rzadko, i to wyłącznie wieczorami. Może przy kolacji? Może dziś? Ta ostatnia myśl przeraziła ją tak bardzo, że wracając już samochodem do domu, musiała nagle zjechać na pas dla rowerów i stanąć na chwilę. Tak, musi to zrobić dziś. Może tylko przygotuje jakąś specjalną, może ostatnią, rodzinną kolację. Musi podjechać po drodze do sklepu.

To lekko ją ożywiło. Bardzo lubiła gotować, więc perspektywa wybierania produktów i obmyślenia potraw pozwoliła jej oderwać się od przytłaczających ją myśli. Nie na długo jednak, bo lęk wrócił od razu, gdy zobaczyła w lusterku jadącą na sygnale policję. Natychmiast przyszło jej do głowy, że gonią ją, ponieważ już uzyskali dowody, których nawet Milewski nie podważy. Zresztą gdyby komisarz znał całą prawdę, zapewne sam posłałby za nią mundurowych na sygnale. Co powie Mariusz? Jak zareaguje? Czy niezwłocznie każe jej opuścić mieszkanie? Nie zdziwiłaby się, nie miałyby mu tego za złe, więcej nawet – przyjęłaby to z ulgą, bo pozostanie wśród bliskich, których się zdradzało i którzy w końcu już to wiedzą, przerastało jej wyobrażenie. Sekundy później policyjny samochód minął ją i popędził dalej przed siebie.

W sklepie przy gospodarstwie Mielżyńskich kupiła kwiaty cukinii, jarmuż i zielone szparagi. Tak naprawdę nie wiedziała jeszcze nawet, co z nimi zrobi, ale warzywa wyglądały tak świeżo, że samo patrzenie na nie ją uspokajało, choć teraz już doskonale widziała śledzącego ją ciągle faceta od Pokrzyckiego, a może od tamtych.

Swoją drogą byłoby interesująco, gdyby za którymś razem spotkali się ze sobą mroczni panowie posłani za nią przez obie strony. Może to pomogłoby Pokrzykiemu znaleźć ów niezbity dowód na to, że ona współpracuje z tamtymi. Samo bycie obserwowaną to jeszcze może nie grzech, ale kiedy już dowiedziałby się, z czyjego polecenia jest śledzona, wyciągnięcie z tego reszty nie byłoby dla niego problemem.

\*

W domu zjawiała się godzinę później. Obserwujący ją człowiek był przynajmniej na tyle profesjonalny albo wielkoduszny, że dwie ulice wcześniej zniknął z jej lusterka. Może zresztą dalej jechać nie musiał, bo przejmował ją jakiś stały punkt obserwacyjny w pobliżu domu.

Kiedy weszła do kuchni z torbami pełnymi warzyw, okazało się, że odwiedził ich stary znajomy, ksiądz Kazimierz, były proboszcz parafii na Czarnieckiego, który z nieznanego im powodu podpadł hierarchom i trafił do Mariańskiego Porzecza pod Warszawą.

Dominika zostawiła torby pod drzwiami i wkroczyła do salonu.

– Pochwalony!

– Na wieki wieków! – odpowiedział Kazimierz z uśmiechem. – Co tam u naszej pięknej przewodniczącej koła świeckich?

– Stare dzieje – odparła Dominika i pozwoliła mu pocałować się w dłoń. Zwyczaj był staroświecki i normalnie unikała takich zachowań, ale proboszcz miał u niej specjalne względy.

Z funkcji przewodniczącej zrezygnowała kilka miesięcy wcześniej. Mariuszowi powiedziała, że nie ma już siły na godzenie nieustannie skłóconych ze sobą sąsiadek, im oświadczyła, że poszerzył jej się zakres obowiązków w pracy, a prawda była taka, że po prostu nie potrafiła dłużej zarządzać kościelnym kółkiem, jednocześnie pozostając w relacji pozamałżeńskiej, i to do tego z kobietą.

– Co u ciebie, Dominiko? – Ksiądz uśmiechnął się z rozbrajającym wdziękiem mężczyzny, którym był i którym do końca być nie mógł.

– Dobrze, Kaziu, dobrze raczej... – Uciekła wzrokiem.

Jakiś czas siedzieli w ciszy przerywanej jedynie dochodzącymi zza okna odgłosami ptasich przekomarzań. Mariusz zniknął gdzieś z dzwoniącym telefonem.

– Raczej...? – proboszcz odezwał się po chwili.

Dominika pokiwała głową na boki, co w mowie ciała podkreśliło tylko niepewność owego „raczej”.

Kazimierz przyglądał jej się przenikliwie.

– Spowiedź?

– Nie, aż tak jeszcze nie nabroiłam – skłamała bez przekonania.

– Aż tak? To dość względne. Może niech Pan Bóg osądzi – zasugerował.

– A jeśli zdecyduje, że aż tak, i nie wybaczy? – W końcu spojrzała mu w oczy.

– Wiesz, że wybaczy. Wszystko wybacza, ale musisz mu kiedyś wreszcie powiedzieć. – Uśmiechnął się ciepło.

O czym, a właściwie o kim teraz rozmawiali? Dominika przez moment nie była tego pewna.

– Jest bezgranicznie miłosierny. Zabiliśmy go, a on nam wybaczył, więc wybaczy i tobie – uściślił ksiądz, próbując ją, zdaje się, w ten sposób uspokoić.

Dominika pokiwała głową. Wiedziała oczywiście, że Bóg jej wybaczy, jeśli tylko zdoła zdobyć się na odwagę i o wszystkim mu opowiedzieć. Co do Mariusza takiej pewności nie miała, więcej nawet – była przekonana, że na jego wybaczenie liczyć nie będzie mogła.

Kazimierz dotknął jej dłoni.

– Masz mój telefon. Jak uznasz, że już nabroiłaś wystarczająco, po prostu zadzwoń.

– Spowiedź zdalna? – Uśmiechnęła się blado.

– Tak też możemy zrobić, choć coś takiego to pewno lepiej osobiście.

– Pewno tak – przytaknęła i zmieniła temat: – Zostaniesz z nami na kolacji?

– Mogę.

Ksiądz Kazimierz został, a ona skwapliwie wykorzystała to do tego, by dzisiejszego wieczoru nie musieć jeszcze wypowiadać się przed rodziną.

Potem sprawa na jakiś czas się rozmyła. Kolejne dni mijały, jakby ktoś wypuszczał je spod jednej sztancy. Budziła się rano, szła do pracy, wracała, jedli wspólnie kolację. Czas upływał, koniec zbliżał się nieuchronnie, a ona nie chciała i nie mogła tego zaakceptować. Pograżyła się w codzienności i w pozorach, że wszystko jest normalnie, jak dawniej. Nic nie zakłócało prozy życia, oprócz może wciąż powracających wspomnień o Oli.



Pierwsze intymne spotkania w praskim mieszkaniu, które wynajmowały na spółkę, choć podnajemcy płaciła Ola. Noce były rzadkością, dlatego – jak wszystko, co sporadyczne i najtrudniejsze do osiągnięcia – miały wartość najwyższą. Ola miała swoją nową pracę, która łączyła się z częstymi podróżami, więc dla niej noce nie stanowiły problemu. Dominika mogła spać na Stalowej tylko wtedy, gdy Mariusz wyjeżdżał w delegację. Nie ukrywała wówczas przed Anią, że będzie nocować u przyjaciółki. Kwestią niedoprecyzowaną pozostawało tylko to, gdzie owe noce z przyjaciółką spędzała. Dla Ani „u przyjaciółki” oznaczało dom Wojtka i Oli, dla Dominiki były to upojne godziny w praskiej garsonierze.

Dotyk i zapach skóry. Te dwie rzeczy pamiętała najlepiej i to ich brak ciążył jej teraz najbardziej. Zmysłowość była tym, czego nigdy tak naprawdę nie doświadczyła w relacji z Mariuszem, a innych relacji w życiu nie miała. Dla niej więc zmysłowość była właśnie dotykiem i zapachem skóry kochanki.

Sielankę darowanego czasu przerwał w końcu ten, który ów czas jej podarował. Komisarz Milewski zadzwonił mniej więcej po tygodniu. Dominika odebrała, chociaż nie bez wahania. Przeczuwała, że ta rozmowa zakończy bezpowrotnie udawanie normalności. Z drugiej strony może przedłuży jeszcze choć trochę wolność.

– Pokrzycki się nie naprzykrza? – zaczął z wyczuwalnym niemal uśmiechem.

– Na razie nie. Jeżdżą za mną, ale tak, żeby mąż nie wiedział – odparła.

– Nic dziwnego, w końcu robią to za jego plecami – powiedział, acz w jego tonie wyczuła niepewność.

– Może śledzą w gruncie rzeczy bardziej jego niż mnie?

– Kto wie.

Przez chwilę Dominika słyszała tylko szum cyfrowej ciszy.

– Sprawdziłem to spa na Warmii, które mi pani podała – odezwał się w końcu Milewski.

– I?

– I to rzeczywiście są jacyś mocno podejrzani ludzie. Rosyjskie kontakty, rosyjskie pieniądze, rosyjscy goście – wymienił. – Ciekawe, czemu akurat tam panią zabrała.

– Nie rozumiem. – Dominika po raz kolejny (który to już?) udała, że nie pojmuje, choć było inaczej.

Sama zastanawiała się nad tym wielokrotnie. Może tylko ostatnio próbowała wyprzeć tę refleksję. Tego rodzaju rozmyślania nie pasowały do prozy życia, którą starała się ostatkiem sił podtrzymywać.

– Mówiła pani, że to Aleksandra zaproponowała to miejsce, że to byli jacyś jej znajomi – wyjaśnił zdziwiony.

– Tak, oczywiście, ale może to przypadek.

– Pani Dominiko, nie chcę oczywiście narzucać pani swoich hipotez, ale obawiam się, że w takich okolicznościach przypadki są mało prawdopodobne.

– Wiem, ma pan rację.

– Uznajmy zatem, że to byli jej znajomi i że były tam panie nie przez przypadek. Pikanterii sprawie dodaje jeszcze jedno moje odkrycie... – Milewski zawiesił głos, najwyraźniej szykując się do przekazania tyleż ważnej, co zaskakującej informacji. – Obserwowałem jakiś czas to spa, spędziłem tam nawet dwie noce, pod zmienioną tożsamością rzecz jasna.

To niewątpliwie nie był nadal punkt kulminacyjny przygotowanej pieczołowicie dramaturgii. Stawecka czekała, nic nie mówiąc.

– Właściciele mają kilka samochodów, ale jeden z nich zwrócił moją uwagę. To toyota land cruiser. Taka sama jak ta, którą zauważyliśmy na monitoringu z banku znajdującego się naprzeciw domu na Stalowej.

Dominika była trochę zawiedziona.

– Toyota land cruiser to nie jest chyba jakiś szczególnie rzadki samochód.

– Oczywiście, że nie jest – komisarz zgodził się skwapliwie. – Tyle że ta ma taki sam kolor jak tamta, takie same relingi i naklejki na szybach w tych samych miejscach.

– A rejestracja? – ożywiła się.

– Rejestracja na samochodzie pod domem, w którym zamordowano panią Myśliwiec, była kradziona i nie należała do tego auta – Milewski w końcu postawił kropkę nad i.

– Czyli to oni... – Dominika była w szoku.

– Nie wiem, czy oni, ale ze sporym prawdopodobieństwem mogę założyć, że w zajściu uczestniczył ich samochód.

Dominika wahała się przez moment, czy zagrać z Milewskim w otwarte karty, lecz po chwili uznała, że on wie na tyle dużo, iż nie ma co się zastanawiać.

– A za nimi stali ci, którzy zmuszali mnie do kontaktów?

– Nie wykluczam, ale może też ktoś inny.

W gruncie rzeczy ta informacja nie wniosła zbyt wiele do jej wiedzy. Przecież i tak była raczej przekonana, że zabójstwa dokonali właśnie „ci”.

Dodatkowo przygnębiła ją świadomość, że przyłożyli do tego rękę ludzie, których Ola uważała za przyjaciół. Takie w każdym razie odniosła wrażenie, kiedy były tam razem. Państwo Morawscy traktowali

Aleksandrę jak kogoś bliskiego. Pytanie znów powróciło. Czy w takim razie jej przyjaciółka była świadoma, że pakuje ją i przy okazji siebie w paszczę lwa, czy o niczym nie miała pojęcia? Może Morawscy po prostu mieli zwyczaj nagrywać wszystkich i wszystko do późniejszego wykorzystania? Tylko jak w takim razie zdobyli te nagrania tamci?

Jaką rolę w całej tej operacji odgrywała Ola i – co jeszcze ważniejsze – na ile to, co je łączyło, było prawdziwe, a na ile Ola robiła to na czyjeś zlecenie? A może zdarza się i tak, że początkowo robimy coś na zlecenie, lecz z czasem staje się to dla nas ważne? Ta myśl, czy raczej myślowy wybieg, dopadła Dominikę nie pierwszy raz.

Coś w niej walczyło usilnie o zachowanie czci Oli i przy okazji uratowanie tego, co było między nimi.

Tym razem Pokrzycki już jej nie wzywał. Zjawił się osobiście, wraz z dwoma facetami podobnymi nieco do dwójki klonów, która zaskoczyła ją jakiś czas temu i dla której, wedle swojego rozumienia, obecnie pracowała. Towarzyszący współpracownikowi ABW mężczyźni też byli dość klonowaci i zapamiętanie ich twarzy, podobnych do wszystkich i do żadnej jednocześnie, graniczyło z cudem.

Dominika czekała właśnie na kolejnego pacjenta, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i cała trójka weszła bez pytania o zgodę. Tamci dwaj, którzy jej zdaniem – w przeciwieństwie do Pokrzyckiego – byli etatowymi pracownikami służb, przez całe spotkanie nie odezwali się słowem. Później przyszło jej do głowy, że Pokrzycki zabrał ich ze sobą, by przy okazji pokazać im, jak wielkich dokonał odkryć i jak ważne są jego ustalenia. Poza tym oczywiście oni mieli prerogatywy, których on nie posiadał, a które, jak wkrótce miało się okazać, były w tej sytuacji niezbędne.

– Nie będę chodził naokoło, tylko powiem wprost, bo chyba szkoda czasu, tak naszego, jak i pani – oświadczył Pokrzycki.

– Oczywiście, czas jest najważniejszy, tym bardziej że byli panowie łaskawi zająć gabinet, a ja czekam właśnie na pacjenta. – Dominika próbowała jeszcze robić dobrą minę do złej gry.

– Nie będzie już pacjentów, pani Stawecka. – Komisarz in spe Pokrzycki zrobił się nagle mocno oficjalny.

– A to dlaczego? – zapytała, choć znała odpowiedź.

– Pani asystentka na naszą prośbę odwołała wszystkich.

– Jak śmieliście?! – rzuciła Dominika oburzona.

Waldemar Pokrzycki milczał chwilę, a ona zastanawiała się, po co ci wszyscy faceci dorabiają dramaturgię do rzeczy, które i tak są dramatyczne same w sobie.

– Wiemy z potwierdzonych źródeł, że Rosjanie posiadają informacje, których posiadać nie powinni – przeszedł wreszcie do konkretów.

Dominice przebiegł po plecach lodowaty dreszcz.

– To fatalnie – skomentowała, usiłując zagrać ironią, doskonale jednak zdawała sobie sprawę, że za moment komisarz wyciągnie asa z rękawa i wskaże ją jako źródło.

– Część tych informacji jest, czy raczej była, znana bardzo wąskiemu gronu osób.

– Rozumiem. Ale co to ma wspólnego ze mną? Dlaczego przychodzą panowie z tym do mnie?

– Jednym z owego wąskiego grona osób jest pani mąż. – Pokrzycki spojrzął za siebie na dwóch eleganckich mężczyzn.

Tak jakby się upewniał, czy do tej pory wszystko jest dla nich jasne – pomyślała. Wiele wskazywało na to, że zbliżali się do sedna.

– Czy uważa pani, że to on może być źródłem przecieku? – zapytał Pokrzycki i umilkł.

Dominika zrozumiała teraz perfidię jego taktyki. Ale czy nie takiej kary się spodziewała? Od dawna przecież z pełną świadomością zmierzała nieuchronnie do punktu, w którym stawką musiała się stać kariera i w ogóle życie Mariusza.

– Ręczę głową, że nie. – Spojrzała na niego odważnie.

Tak, dokładnie tak musiało się w końcu stać. Musiała położyć głowę pod topór i właśnie to zrobiła.

Pokrzycki uśmiechnął się blado.

– Głową...?

Nie odwzajemniła uśmiechu.

– Tak, głową.

– Będziemy zmuszeni panią zatrzymać, wie pani o tym? – spytał nagle bez ogródek.

– Na jakiej podstawie? – Dominika broniła się do końca.

– Na podstawie podejrzenia o szpiegostwo na rzecz innego... wrogiego państwa. – Pokrzycki znów spojrzał na tamtych, ale tym razem bardziej chyba po to, by upewnić się, czy dobrze mówi.

Jeden z mężczyzn pokiwał głową.

– Dowody? – zapytała.

– Dość mocne. Nie spodziewam się, żeby sąd nie przychylił się do wniosku o areszt.

– Z tego, co wiem, komisarz Milewski wyjaśnił panu, że... – Dominika jeszcze próbowała.

– Tak, tak, Milewski bardzo pani sprzyja. Nie mam pojęcia dlaczego, ale także ten wątek będziemy sprawdzać. Niestety, w świetle naszych najnowszych ustaleń jego wcześniejsze wyjaśnienia nie zdają się na nic. – Tym razem Pokrzycki uśmiechnął się sarkastycznie.

– Rozumiem. To się oczywiście okaże, ale w tej sytuacji chciałabym, jeśli można, zahaczyć o dom. Wiecie, szczoteczka do zębów, bielizna, tampony. – Dominika również popatrzyła na tamtych. Wiedziała już, że to oni, nie Pokrzycki, będą decydować w tej sprawie.

Teraz dla odmiany pokiwał głową ten drugi.

– Jasna sprawa – Pokrzycki zwerbalizował jego gest. – Podjedziemy najpierw do pani. Oczywiście nikt nie zostanie na razie powiadomiony o zaistniałej sytuacji.

Uwagę Dominiki zwróciły słowa „na razie”. Jeśli na razie nie, to potem tak, czyli jeżeli to wycieknie do mediów, będzie to oznaczało, że panowie mają najwyraźniej chęć uderzyć także w Mariusza.

– A moi pracownicy? – Chciała jednak skorzystać przynajmniej z owego „na razie”.

– Oni nic nie wiedzą. – Pokrzycki był łaskawy. – Pożegna się pani teraz, wyjdzie normalnie z pracy i wsiądzie do swojego samochodu. Pojedziemy za panią i z domu zabierzemy już do naszego. Czy tak może być?

Stawecka pokiwała głową i bez słowa zaczęła pakować rzeczy do torby.

Kiedy podjechali pod dom, był kwadrans po dwunastej. Dominika wiedziała, że nikogo o tej porze tam nie zastanie. Mariusz i Rafał byli w pracy, a Ania na uczelni. Na podjeździe nie było jeepa Rafała, toyoty Mariusza ani peugeota Ani.

Pomyślała odruchowo, że nie zdążyła zrobić tego, na czym tak bardzo jej zależało. Nie wystarczyło jej odwagi, żeby ten czas, który w jakimś sensie dostała w prezencie od Milewskiego, wykorzystać na wyznanie im prawdy. Przypomniało jej się nawet, jak komisarz zapytał ją, czy tyle czasu jej wystarczy, a ona nie wiedziała, albo raczej udawała przed sobą, że nie wie, o co mu chodzi. Co mogła teraz zrobić? Napisać na kolanie list, w którym streści im w trzech zdaniach to, co powinna im powiedzieć w twarz? Wrzuci informację, jakiś headline czy lead tylko po to, by dowiedzieli się od niej, a nie z wieczornych newsów?

Wstuknęła kod przy drzwiach i weszła do środka. Pokrzycki z dwoma umyślnymi z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego siedzieli w samochodzie na ulicy i przyglądali się jej tak, jakby wchodziła do domu naga. W jakimś sensie zresztą tak właśnie się czuła, może nawet jeszcze gorzej. Była naga, a cały świat zaczął na nią patrzeć i będzie tak patrzył prawdopodobnie długie miesiące czy lata.

Wewnątrz musiała jeszcze przystanąć przed kolejnym panelem z cyferkami. Tamten służył do otwierania domu, ten do rozbrajania alarmu. Tyle że alarm był rozbrojony. Czyżby Ania zapomniała go włączyć?

– Cześć – rozległ się za nią cichy głos Mariusza.

Omam nie zemdlam. Z jednej strony poczuła wielką ulgę, że jednak jest i że jeszcze raz go zobaczy, z drugiej mowę odbierał jej lęk, że będzie musiała mu powiedzieć i że on widzi ją z bliska, a ona jest przecież... naga.

– Cześć... – Uśmiechnęła się niepewnie. – Co tu robisz o tej porze?



Świdrował ją wzrokiem.

– Czekam na ciebie. Musisz się pospieszyć, nie mamy wiele czasu – odparł i znacząco spojrział w stronę okna, za którym widać było rozmiękczone przez firanę samochód, a w nim trzech smutnych facetów.

– Ale ja... Ja muszę ci coś powiedzieć i... – Nie wiedziała, jak zacząć.

Jeśli wiedział o samochodzie i o tamtych, to wiedział też, dlaczego tam stali, lecz co dokładnie wiedział, nie miała pojęcia.

– Mnie nie musisz, ja wszystko wiem, ale im powinnaś. – Mariusz spokojnie wskazał głową salon.

Teraz dopiero Dominika spostrzegła, że przy stole, ubrani tak, jakby przed chwilą tu weszli albo zaraz mieli wychodzić, siedzieli Ania i Rafał. Pokiwała głową. Nic nie rozumiała, ale zarazem rozumiała już wszystko. Mariusz wiedział, oni nie wiedzieli, a jej pierwsza – i kto wie, czy nie najgorsza – kara polegała na tym, że teraz musiała wszystko powiedzieć swoim dzieciom.

– Tylko zwięźle. Rzeczy masz już spakowane, ale oni i tak zaraz się zaniepokoją i tu wejdą – dodał Mariusz.

Rzeczy mam już spakowane? Ale jakie rzeczy? Sweter, bieliznę i szczoteczkę do zębów do aresztu? A mimo to mam się spieszyć, bo oni zaraz przyjdą? Dominika jednak nie wszystko rozumiała, ale też w tej sytuacji nie miało to dla niej większego znaczenia.

Teraz ważne było tylko jedno.

Musiała wejść tam i powiedzieć dzieciom, które okłamywała od miesięcy, że zdradziła ojca, je i kraj. I miała to jeszcze zrobić zwięźle. Przygotowywała się do tego od kilku dni. Najpierw zamierzała to wyznać w czasie specjalnie z myślą o tym zorganizowanej kolacji. Wtedy pojawił się ksiądz Kazimierz, co zresztą powitała z ulgą. Później

zbierała się jeszcze parę razy, ale wciąż nie starczało jej odwagi. Teraz sytuacja była zdecydowanie gorsza, bo co innego, gdy wyjawia się coś komuś z własnej woli, a co innego, gdy robi się to pod presją. Czego? Sytuacji? Mariusza, który już o wszystkim wiedział? Jak ma to zrobić, od czego zacząć, co w tym wszystkim jest najważniejsze, a co najtrudniej ujawnić?

Wszystko.

Dominika weszła powoli do salonu, delikatnie, jakby nie chcąc zakłócić panującej w nim ciszy, odsunęła krzesło i usiadła. Ania i Rafał wprawdzie nie wiedzieli wciąż, co zaraz usłyszą, ale domyślali się już, zdaje się, że nie będzie to nic miłego. Siedzieli naprzeciwko w milczeniu. Ania nie patrzyła na nią, Rafał wręcz przeciwnie – świdrował ją wzrokiem.

– Przez pół roku miałam romans z kobietą, z Olą... – zaczęła i umilkła, bo odniosła wrażenie, że to, co powiedziała, przekraczało już możliwości percepcyjne jej dzieci, a przecież był to zaledwie początek.

Ania pokiwała głową, przeczuwała to już przecież od dawna. Jednak przeczuwać coś, a wiedzieć to zasadnicza różnica. Dodatkowo pytała kiedyś matkę o to właśnie i została perfidnie okłamana.

– Co ty w ogóle mówisz, mamó? – Rafał nie miał wcześniej takiego przeczucia jak jego siostra.

– Ten romans był chyba ustawiony, nie wiem tylko, na ile Ola brała w tej ustawce udział z własnej woli, a na ile nie miała wyjścia. To zresztą dla was bez znaczenia – kontynuowała Dominika.

– W jakiej ustawce? – zapytała Ania, ponieważ pojawił się wątek, którego nawet ona nie przeczuwała.

Dominika odwróciła się odruchowo. Mariusz stał przy drzwiach z dużą sportową torbą na ramieniu.

– W ustawce ze służbami obcego państwa – wyjaśniła. – Zaczęli mnie szantażować zdjęciami, filmami, podsłuchami, screenami wiadomości z telefonu. Mieli wszystko.

Nikt nic nie mówił, panowała taka cisza, że Dominika słyszała bicie własnego serca. Poczekwała chwilę, bo zawsze w takich sytuacjach łatwiej jest odpowiadać na pytania, niż mówić. Niestety nikt o nic nie zapytał.

– Bałam się, że was stracę, że odwrócicie się ode mnie, potem też, że tata będzie miał przez to problemy, i... zapadłam się w to kompletnie.

Była bliska łez, ale wiedziała, że nie ma najmniejszego prawa się teraz rozplakać. Była tą złą, tą, która sprowadziła na nich nieszczęście, a ludzie źli nie mają prawa do łez.

– Co to znaczy? – w końcu odezwał się Rafał.

– To znaczy, że przekazywałam im dokumenty taty, zdjęcia dokumentów – odpowiedziała Dominika i utkwiała wzrok w podłodze.

– Szpiegowałeś ojca? – Rafał najwyraźniej nie był przygotowany na coś takiego.

Pokiwała głową.

– Tak.

– I dalej spotykałaś się z Olą? – Dla Ani najwyraźniej ten wątek był najbardziej niezrozumiały.

Problem polegał na tym, że ten wątek był też niezrozumiały dla Dominiki i nawet sama sobie nie była w stanie do tej pory odpowiedzieć na pytanie, które tyle już razy do niej wracało.

– Na początku myślałam, że to przypadek, że obie padłyśmy ofiarą tych samych ludzi, tylko ja może byłam dla nich bardziej łakomym

kąskiem. Z czasem pojęłam, że Ola także musiała być w to w jakiś sposób zaangażowana. Tego dnia, kiedy znalazłam ją martwą w mieszkaniu na Pradze, szłam tam, żeby to zakończyć. – Powiedziała tak dużo być może dlatego, że tłumaczyła to nie tylko im, ale też sobie.

Rafał zaśmiał się sarkastycznie.

– Brawo ty!

Przez moment znów panowała trudna do udźwignięcia dla nich wszystkich cisza.

– Dobra, idę stąd, to nie jest mój dom. – Rafał wstał z krzesła i ruszył do drzwi.

– Poczekaj. Wyjdiesz za parę minut – rzekł Mariusz, a gdy Dominika się obejrzała, dodał: – A ty chodź, nie ma już czasu.

Ale dokąd ma właściwie iść? Do tamtych, do więzienia? Spróbowała jeszcze na pożegnanie dotknąć leżącej na stole dłoni Ani, lecz ta szybkim ruchem cofnęła rękę. Wtedy Dominika zrozumiała, że nie ma dla niej i pewno już nigdy nie będzie miejsca w tym domu, wśród tych najbliższych jej dotąd ludzi. Właśnie stało się to, czego spodziewała się od ponad pół roku. W tej sytuacji więzienie byłoby optymalną opcją, bo ani tu, ani nigdzie na ulicach tego miasta i tak nie miałyby co robić.

Podeszła do męża, chcąc wziąć od niego torbę, ale jej na to nie pozwolił, ruszyła więc w stronę drzwi. Mariusz pociągnął ją jednak za rękę i skierował ku zejściu do piwnicy. Przemknęła jej nawet przez głowę nedorzeczna myśl, że może tam po prostu ją zastrzeli. To też byłoby jakieś wyjście z sytuacji, może nawet najlepsze z możliwych. Choć nie, bo to uczyniłoby zeń zabójcę, a takiego losu na pewno dla niego nie chciała.

Na dole Mariusz odłożył torbę na podłogę i podszedł do regału z narzędziami stolarskimi. Zaparł się o boczną ścianę i pchnął regał,

a ten odsunął się o jakiś metr. To wystarczyło, żeby ujawnić wąskie i niskie wejście do jakiegoś mrocznego korytarza.

Dominika stała przed czarną czeluścią, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

– Nie wiedziałam, że... – zaczęła.

– Nie miałaś wiedzieć. Wystarczy, że ja wiedziałem. – Mówiąc to, Mariusz nie patrzył na nią. Sięgnął po torbę i podał jej. – W środku masz wszystkie niezbędne rzeczy. Dokumenty są legalne i na prawdziwą osobę. Jest do ciebie podobna, ale będziesz musiała co nieco zmienić. Masz tam też pięćdziesiąt tysięcy euro. Na jakiś czas wystarczy, tym bardziej że tam, gdzie trafisz, wikt i opierunek dostaniesz za darmo. Potem pomogą ci jeszcze wyjechać z Europy. Dalej będziesz musiała radzić sobie sama.

– Ale gdzie? Jak? Kto mi pomoże? – Dominika czuła się tak, jakby nagle wrzucili ją w środek jakiegoś filmu, którego fabuły kompletnie nie знаła i nie rozumiała.

– Ten korytarz prowadzi na niezamieszkaną działkę obok nas. Wyjdiesz w domku ogrodnika. Tam będzie czekał na ciebie człowiek. Wsiądź z nim do samochodu i o nic nie pytaj, po prostu jedź. – Mariusz spojrzał jej w oczy po raz pierwszy, odkąd weszła do domu.

Ktoś wcisnął pauzę i na moment zatrzymał ten film, którego fabuły nie znała. Dominika bardzo chciała powiedzieć coś ważnego, ale nie mogła wydusić z siebie słowa.

– Co im powiesz? – zadała w końcu absolutnie błahe pytanie.

– Idź – odparł.

– Przepraszam...

Mariusz pokiwał głową, a ona weszła w czarną otchłań drugiej części swojego życia. Części, która miała się okazać tak diametralnie różna od pierwszej, że właściwie mogłaby – albo wręcz powinna – stanowić życie zupełnie innej osoby.

Znikając w wilgotnym mroku, usłyszała jeszcze za sobą odgłos zasuwanej śluzy.

## II

W domku ogrodnika czekał na nią mężczyzna z siwym wąsem, który wyglądał trochę jak zagubiony w Warszawie niemiecki turysta. Jego narodowość sugerowało dodatkowo to, że kamper, do którego wsiedli, miał niemieckie tablice. Kierowca znał jednak polski i wbrew pozorom był, zdaje się, Polakiem, choć trudno to było stwierdzić z całą pewnością, gdyż mówił bardzo niewiele. Przez kolejne dwa dni wspólnej podróży na południe Europy wypowiedział ledwie kilkadziesiąt słów.

– Proszę usiąść z tyłu i zapiąć pas – polecił zaraz po tym, gdy wsiedli.

Na kolejne zdanie pozwolił sobie po mniej więcej pięciu godzinach jazdy, kiedy zatrzymali się po raz pierwszy, już w Czechach. Toaleta była w kamperze, Dominika sama to odkryła. Na minikanapie z tyłu leżała też zgrzewka wody. Przez te kilka godzin nie potrzebowała niczego więcej, a to, że nieznany facet z wąsem nic nie mówił, było jej właściwie na rękę, bo i tak nie miała siły na rozmowę. Nawet wyjaśnienie tego wszystkiego, co się wydarzyło, po tym jak Mariusz sprowadził ją do piwnicy, a co wciąż pozostawało dla niej absolutnie niezrozumiałe, w świetle psychicznego koszmaru, który przechodziła, nie było w tym momencie szczególnie palącą kwestią.

– Jest pani głodna? – zapytał mężczyzna, gdy zaparkował kamper przy stacji benzynowej.

Dominika pokręciła głową. Ze swego miejsca nieco z boku dostrzegła, że się uśmiechnął. Prawdopodobnie rzadko spotykał ludzi jeszcze bardziej małomównych niż on.

– Mogę coś przynieść, ale lepiej, żeby pani nie wysiadała ani nie pokazywała się na przednim siedzeniu – wyjaśnił, nie zwracając nawet głowy w jej stronę.

Nie była głodna, a może była, ale tego nie odczuwała. Odkąd wydarzyło się to wszystko, straciła całkowicie kontakt ze swoim ciałem. Nie czuła głodu, temperatury ani zapachów, nawet wzrok i słuch były w jakimś stopniu przytępione. Wydawało jej się, że tak musi czuć się ślimak, który zagrożony schował się tak głęboko do skorupy, że gdyby ktoś znalazł ją na plaży, uznałby zapewne, iż go tam nie ma. Jej też właściwie nie było. Gdzieś tylko, bardzo głęboko w środku czuła miarowe pulsowanie bólu, ale nie fizycznego. Bolała ją dusza, świadomość, że jest sobą.

– Nie, dziękuję. I oczywiście nie będę wysiadała ani pokazywała się na przednim siedzeniu – powiedziała cicho.

Mężczyzna wrócił po chwili z torbą jakichś przekąsek i podał jej do tyłu. Prawdopodobnie uznał, że w pewnym momencie jednak zgłodnieje. Każdy, nawet ślimak tkwiący głęboko w swojej skorupie, w końcu musi coś zjeść.

Potem pokonali bez zatrzymywania całe Czechy, Austrię i kawałek Włoch. Kolejny postój był dopiero o drugiej w nocy. Zjechali z autostrady do Tolmezzo – tyle Dominice udało się zobaczyć przez szparę między zasłonkami w oknie kampera. Po kilku minutach stanęli na parkingu pod dziewiętnastowieczną neoklasycystyczną kamienicą, na której migał częściowo przepalony diodowy niby-neon „Albergo Roma”.

– Mam tu pokój – mężczyzna odezwał się po raz trzeci w ciągu całej podróży. – Pani musi się przespać w kamperze. Włączę ogrzewanie, ale



jak pójde, proszę już nie zapalać światła.

Dominika znów jedynie pokiwała głową.

Kierowca sięgnął tymczasem do plecaka, który miał obok, wyjął z niego komórkę i podał jej.

– To bezpieczny telefon, ale proszę nie dzwonić do nikogo bliskiego, nawet do znajomych, i nie wchodzić broń Boże na żadne swoje maile, Facebooka czy coś takiego. Niczego osobistego nie może pani i nigdy już nie będzie mogła dotknąć – nagle sformułował niezwykle długą jak na swoje możliwości wypowiedź.

Przyjęła telefon i pokiwała głową.

– Dziękuję.

Wąsacz przez moment wydawał się zaskoczony. Może do tej pory nie spotkał nikogo, kto tak często by mu dziękował, jednocześnie tak mało mówiąc.

– Mogę się przejść po mieście? – Dominika zapytała, żeby jakoś mu zadośćuczynić i nie odbierać palmy pierwszeństwa w małomówności. – Chciałabym zaczerpnąć powietrza, rozprostować nogi.

– Jeśli nikogo nie będzie na ulicy. Ale nie za daleko i proszę unikać kamer monitoringu – odparł po chwili namysłu. – Dokumenty, które ma pani w torbie, w razie czego nie bardzo się sprawdzą. Musi pani najpierw dostosować wygląd.

Dominika uśmiechnęła się delikatnie i z wdzięcznością. Nie miała przecież pojęcia, kim jest ten człowiek ani dlaczego właściwie wiezie ją przez pół Europy, a pewno będzie jeszcze wiózł dalej. Dokąd? Nie wiedziała, ale też nie była tym teraz szczególnie zainteresowana.

Poszedł, zostawiwszy jej kluczyki. Czekając, aż ulice kompletnie opustoszeją, Dominika po raz pierwszy zajrzała do torby, którą jeszcze w domu wręczył jej Mariusz. W środku, oprócz dowodu, paszportu i prawa jazdy na niejaką Irenę Misiak, od której wyglądu rzeczywiście dzieliło ją na razie sporo, znalazła pięć spiętych banderolami paczek po dziesięć tysięcy euro każda. Do tego było tam kilkanaście par bielizny, trochę skarpetek i koszulek, swetry, bluza z kapturem, kurtka i spodnie, czyli coś w rodzaju ekwipażu na wyprawę w góry.

Ponadto w torbie znajdowały się kosmetyczka i niewielka saszetka zamykana na krótki suwak. Tę saszetkę dostała od niego przed dwudziestu kilku laty, kiedy mieli po raz pierwszy wyjechać na wspólną wycieczkę zagraniczną do Taorminy na Sycylii.

Czyli jadę na Sycylię, pomyślała, po czym złapała suwak i zamarła. Już to, że ta właśnie saszetka była w jej bagażu, znaczyło sporo. Pytanie o to, co w niej znajdzie, przejmowało ją lękiem. Przez moment próbowała sobie przypomnieć, czy kiedy widzieli się po raz ostatni, Mariusz miał na palcu obrączkę. Nie zdejmował jej nigdy, więc tak przyzwyczaiła się do niej, że teraz za nic nie potrafiła rozgraniczyć rzeczywistości ich wspólnego życia na części z obrączką i bez niej. Zerknęła na swoją dłoń. Do własnej przywykła tak bardzo, że gdyby ktoś zapytał nagle, na którym palcu ją nosi, prawdopodobnie nie byłaby sobie w stanie tego przypomnieć.

Element, który zlał się z tłem. Podobnie było z ich małżeństwem i z obecnością Mariusza w jej życiu – obie te rzeczy były tak bardzo jej, że aż wyszły poza świadomość.

Teraz jednak, kiedy zniknęły, wyrwa, którą po sobie zostawiły, była jak czarna czeluść totalnej niewiadomej. Poczwała w palcach maleńki brelok suwaka i otworzyła saszetkę. Wewnątrz leżała biżuteria – jej pierścionki, bransoletki, naszyjniki – większość dostała od Mariusza

w różnych momentach ich wieloletniego pożycia. Między pierścionkami dostrzegła po chwili ten najważniejszy, choć wcale nie najcenniejszy w sensie materialnym, bo kupiony wtedy, gdy na mało co było ich jeszcze stać. Pierścionek zaręczynowy. Uśmiechnęła się blado i nagle ogarnął ją taki smutek, że w końcu łzy popłynęły, żłobiąc, a może splukując jej umęczone sumienie. Kiedy je powstrzymała, przejrzała saszetkę raz jeszcze.

Nie, obrączki Mariusza szczęśliwie nie znalazła.

Gdy chodniki już opustoszały i nie jeździły żadne samochody, Dominika wysiadła i wciągnęła w nozdrza ostre, rześkie górskie powietrze. Potem cały spacer po Tolmezzo był trochę jak metafora jej obecnej sytuacji. Mroczne, ciasne uliczki, po których chodziła, nie widząc nikogo i nie mając pojęcia, dokąd ją zaprowadzą.

Właśnie tak to wygląda, pomyślała. Była totalnie sama na tym etapie życia i nie miała pojęcia, co ją czeka.

W końcu dotarła na most przerzucony nad urwistymi brzegami górskiej rzeki. W dole kipiała woda, a ona, wpatrując się w nią, zastanawiała się tylko nad tym, co musiałaby zrobić, żeby stanąć na krawędzi po drugiej stronie barierki i zapomnieć, że kiedyś żyła. Ostatecznie doszła jednak do racjonalnej konkluzji, że most jest zbyt niski, a woda za płytka, więc prawdopodobnie nic by to nie dało. Najwyżej z symptomami hipotermii wylądowałyby w szpitalu, tam zainteresowałiby się nią karabinierzy i w rezultacie kilka dni później byłaby w areszcie, do którego chciał ją wpakować Pokrzycki. Była na to gotowa, na tyle oczywiście, na ile kobieta w jej wieku, żyjąca do tej pory raczej na wysokiej stopie i spędzająca wakacje w eleganckich nadmorskich hotelach południowej Europy, mogła być gotowa na zimną kilkusobową celę ze wspólną toaletą albo dziurą zastępującą muszlę

klozetową za plastikową zasłonką. Czy była jednak, czy nie była gotowa, nie miało w tej chwili zbyt dużego znaczenia, bo to Mariusz chciał, żeby stało się inaczej, a ona po tym wszystkim z całą pewnością nie była gotowa mu się przeciwstawić.

Po godzinie wróciła do kampera i zgodnie z zaleceniem faceta z wąsem, nie włączając już oświetlenia, położyła się spać. Górskie powietrze, zmęczenie podróży, a przede wszystkim bezustanny stres ostatniego czasu nadspodziewanie szybko zesłały na nią sen. Śniła o Oli, o ich spotkaniu, do którego nie doszło, o tej ostatniej rozmowie, która się nie odbyła, a potem śniła pocałunki i całą resztę.

Kiedy się obudziła nad ranem, mimo panującego w kamperze chłodu mokra od potu tak, jakby skoczyła w nocy do rzeki, dotarło do niej, że tak zapewne by to wyglądało. Relacji, którą była zdeterminowana zakończyć tamtego dnia, i tak nie dałoby się zakończyć i prawdopodobnie byłoby z grubsza jak w tym śnie. Trudno go było nazwać proroczym, ale jak każdy sen, także ten niósł prawdę znaną śniącemu, choć nieświadomioną.

Mężczyzna z wąsem pojawił się przy samochodzie równo o ósmej. Przyniósł jej dwa croissanty zawinięte w serwetki i wodę mineralną w butelce.

– Jak pani spała? – spytał, siadając za kierownicą.

– Intensywnie – odparła z delikatnym uśmiechem.

– Mają tu trochę parkingów bez monitoringu, więc za jakiś czas staniemy gdzieś, żeby mogła pani pójść do łazienki – powiedział, patrząc w lusterko i powoli wyjeżdżając spod hotelu. – To znaczy może pani też umyć się w tej w kamperze, ale nie jest zbyt obszerna.

– Nie jest – zgodziła się Dominika, kiwając głową, a następnie zapytała o to, o co musiała w końcu zapytać: – Dokąd jedziemy?

– Agrigento – rzekł nieco tajemniczo, po czym zabrał się do wyjaśniania: – To miasto...

Skinęła głową.

– Wiem, gdzie jest to miasto. Byliśmy tam z mężem przejazdem chyba z dziesięć lat temu. A czemu tam?

– Tego nie wiem. Mam panią zawieźć w konkretne miejsce, ale co to jest i dlaczego akurat tam, nie mam pojęcia – wyjaśnił, a potem dodał: – U nas lepiej wiedzieć jak najmniej.

Dominika przez moment chciała zapytać, co znaczy to „u nas”, lecz zrezygnowała. I tak by jej nie powiedział, a może tylko niepotrzebnie byłoby mu głupio. Po co utrudniać życie człowiekowi, który jej pomagał, narażając się prawdopodobnie na jakieś konsekwencje?

– A jak pan ma w ogóle na imię? To znaczy przynajmniej na użytek tej podróży? – zapytała jeszcze.

– Bogdan, i to nie tylko na użytek, ale po prostu, pani Dominiko – odparł i mrugnął do niej w lusterku.

\*

Później jechali znów mniej więcej godzinę bez słowa. Wreszcie Bogdan zjechał na parking z małym, obskurnym barem i wielkim, oszałamiającym widokiem na góry.

Byli już blisko Udine, tak się przynajmniej wydawało Dominice, która tę trasę z Mariuszem i dziećmi przejechała wcześniej wiele razy. Jechali tamtędy na narty w Dolomity, kiedy indziej na parę dni do Wenecji, innym razem dalej w dół, na Wybrzeże Amalfitańskie albo na Sycylię właśnie. Lubili jeździć samochodem. Od jakiegoś czasu więcej było już latania, ale to nie dla wygody, lecz paradoksalnie za sprawą mniejszych kosztów. Paliwo drożało sukcesywnie, bilety lotnicze natomiast, nie wiedzieć czemu, wciąż taniały, przynajmniej do niedawna.

Teraz sytuacja ogólnie zaczęła się zmieniać, najpierw przez pandemię, potem przez wydarzenia na wschodzie.

Po co w ogóle o tym wszystkim w tej chwili myślała? O czymś musiała, a dodatkowo to nierozzerwalnie wiązało się z nim. Klasyczna banalna prawda, szkoda tylko, że choć zna się ją od zawsze, to dopiero gdy naprawdę się ją odczuje, przychodzi ból. Docenisz, gdy utracisz. Kiedy zaczęła tracić? No właśnie, kiedy i od czego to wszystko się zaczęło?

Następnego dnia, na promie z Villa San Giovanni do Mesyny, znów musiała zostać w kamperze, dodatkowo najlepiej nie ruszać się w nim za bardzo, żeby nie dostrzegł tego któryś z marynarzy nadzorujących pokład samochodowy. W czasie rejsu nikomu nie wolno było przebywać w pojeździe. Z dwojga złego jednak lepiej było podjąć to ryzyko, niż wystawić się w jakimś miejscu – na pokładzie pasażerskim lub samochodowym – na wszechobecne kamery monitoringu.

– Mam nie oddychać? – spytała, kiedy Bogdan miał już zamknąć za sobą drzwi kampera.

– To tylko pół godziny, wytrzyma pani. Nie mamy jak inaczej zapewnić pani bezpieczeństwa – odpowiedział, udając, że szuka jeszcze czegoś pod siedzeniem.

Trudno do końca życia unikać we współczesnym świecie kamer monitoringu. Są wszędzie – kamery miejskie, bankowe, parkingowe, w domach prywatnych, we wszystkich właściwie instytucjach – i ciągle cię widzą. Taka jest cena za to, że poza tym żyje się raczej wygodniej i może bezpieczniej niż czterdzieści lat temu.

Wszystko ma swoją cenę.

Kolejny banał, którego prostą mądrość zrozumiała dopiero wtedy, kiedy stała się jej udziałem. Usiłując ruszać się jak najmniej, sięgnęła do torby po dokumenty na nazwisko owej biednej kobiety, która może nawet nigdy nie była za granicą, a z całą pewnością nie miała pojęcia, że właśnie przepływa między Scyllą a Charybdą, by zacząć życie numer dwa w kompletnie innym świecie i z kompletnie inną historią.

A jaka była historia Ireny Misiak, kobiety o krótkich, ciemnych włosach i miłym, delikatnym uśmiechu? Ów uśmiech pojawiał się na fotografiach we wszystkich trzech dokumentach. Wstukała imię i nazwisko w wyszukiwarce. Pomyślała, że lepiej byłoby od razu w Facebooka, ale przecież nigdy już nie mogła skorzystać ze swojego konta, podobnie jak nigdy już nie będzie mogła skorzystać z tamtego życia.

Irena Misiak – nauczycielka w Rawie Mazowieckiej i członkini Rady Miejskiej w Grudziądzu, więc raczej to nie jedna osoba. Dominika włączyła grafikę, lecz żadne ze zdjęć powiązanych z wyszukiwaniem tego nazwiska nie przypominało kobiety z dokumentów. Prawdopodobnie jej Irena była osobą wyjątkowo mało publiczną, może zresztą było to kryterium, podług którego została wybrana. Kryteria, sporządzenie dokumentów, dokładne przemyślenie wszystkiego... Od jak dawna Mariusz to przygotowywał? Od kiedy wiedział, co się dzieje i do czego to doprowadzi? To pytanie nie opuszczało jej od momentu, gdy sprowadził ją do piwnicy, wręczył torbę i pokazał tunel za regałem. Zorientował się, kiedy zaczął się z nią dzielić niepokojem o to, co działo się wokół niego w pracy? Nie, to musiało nastąpić wcześniej, bo nie zdążyłby przygotować tego wszystkiego. Nie znała się na tym przesadnie, ale samo zorganizowanie dowodu, paszportu i prawa jazdy, które nie byłyby rozpoznawalnymi na pierwszy rzut oka fałszywkami, musiało potrwać minimum miesiąc. Ola nie żyła zaś ledwie od trzech tygodni.

Na moment Dominika przestała się zastanawiać, bo przez bulaj w burcie dostrzegła niewielki fragment górzystego krajobrazu. Wyspa, która od tysięcy lat gościła bodaj wszystkie cywilizacje i kultury, jakie pojawiły się w tej części świata. Kreteńczycy, Fenicjanie, Grecy, Kartagińczycy, Rzymianie, Normanowie, Arabowie i Hiszpanie przybywali tu i zostawali czasem na wieki. A teraz ta wyspa ma przyjąć ją, Polkę, która była tu parę razy na krótkich wakacjach i która zdradziła swoją ojczyznę. Nie miała jednak pojęcia, czy przeznaczone jej będzie zostać tu kilka dni czy kilka lat.

Pół godziny później byli już na lądzie i Dominika mogła się poruszać w kamperze. Po kolejnej godzinie i minięciu Katanii rozlanej u podnóży Etny, tego największego czynnego wulkanu w Europie, Bogdan zjechał na parking, a ona po raz pierwszy od dobrych kilku godzin wysiadła z samochodu.

W jeździe autem najbardziej cenili z Mariuszem to, że wszystko działo się stopniowo. W przeciwieństwie do samolotu, do którego wsiadało się czasem na mrozie, a wysiadało w upale, podróż samochodem przynosiła ciału i umysłowi zmianę w sposób mniej brutalny, w nowe wchodziło się niespiesznie i łagodnie.

Tym razem jednak reguła ta nie zadziałała. Dzień wcześniej pod Udine było rano trzy stopnie, a nad głową nisko wisiały chmury, tutaj było stopni dwadzieścia pięć i nad głową nie wisiało nic oprócz słońca i błękitu. Tam była wilgoć pachnąca mchem i pleśnią, tu suche jak wiór powietrze nie pamiętało ostatniego deszczu.

– Zostało z półtorej godziny drogi – Bogdan odezwał się po raz czwarty bodaj od dwóch dni.

– Wiem, byłam tu. I tam też. – Dominika się uśmiechnęła. – Zaraz odbijemy z autostrady łączącej Katanię z Palermo. Jeśli wybudowali już



tunel pod Caltanissettą, może nawet mniej niż półtorej.

– Czyli będzie pani trochę jak u siebie – Bogdan jakby się nawet ucieszył.

– Powiedzmy. U siebie spędziłam czterdzieści kilka lat, tam dwie godziny – odparła zamyślona, po czym żeby nie wyjść na malkontentkę, dodała: – Ale to były bardzo fajne dwie godziny.

– To już coś.

Na pusty parking wtoczyła się jakaś ciężarówka.

– No dobrze, jedźmy – Bogdan ją ponaglił.

– Myśli pan, że ten TIR też ma kamery? – zapytała z delikatną ironią.

– Powiedzieli, że mam panią tam dowieźć tak, żeby nikt o tym nie miał pojęcia. Nie wnikam dlaczego, po prostu wykonuję rozkaz. – Uśmiechnął się, nie zważając za bardzo na jej ironię.

– Jest pan żołnierzem?

Bogdan pokręcił głową.

– Pani Dominiko...

Naprawdę nie powinna mu zadawać tego typu pytań. Wiedziała o tym, ale była bardzo zmęczona, miała dość podróży, niewygody i różnicy temperatur, najbardziej zaś miała dość samej siebie, a gdy ktoś nie lubi siebie, bywa też nieprzyjemny dla innych.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi, ale proszę już wsiąść.

Wsiadła. Po chwili ruszyli dalej, a ona znów zaczęła wspominać, bo kiedy nadchodzi trwoga i dół, mózg chowa się we wspomnieniach.

Z Olą były na jeszcze jednym wspólnym wyjeździe, tym razem w górach.

Mariusza nie było wówczas w Warszawie, poleciał do Brukseli na spotkanie ministrów spraw wewnętrznych. Nie był wprawdzie wtedy szefem resortu, ale z racji swojej funkcji ściśle z nim współpracował.

Wyjazd był kilkudniowy. One pojechały na trzy, a konkretnie – w tym innym, ważniejszym dla nich systemie obliczeniowym – na dwie noce. Pamiętając o nagraniach z Warmii, Ola zaproponowała, żeby hotel wybrały już na miejscu. Wtedy, nawet jeśli ktoś wciąż się za nimi kręcił, nie byłby w stanie zainstalować aparatury, nie wiedząc w porę, gdzie to zrobić. Pomysł był niezły i spowodował, że Dominika odzyskała nadszarpnięte trochę wcześniejszymi wydarzeniami absolutne zaufanie do przyjaciółki. Po Warmii jakiś czas towarzyszyła jej myśl, czy bardziej rodzaj nieprzyjemnego wrażenia, że to Ola zaproponowała tamto spa, że znała właścicieli, że bywała tam już. Myśl ta stopniowo odchodziła – Ola była oburzona na tyle szczerze, że pozostawała wiarygodna i przekonująca – poza tym Dominika nie chciała już tej świadomości w swojej głowie i wspomnienie zostało zagłuszone przez namietność. Myśl odchodziła, ale drobny fuzel niepokoju wciąż tkwił gdzieś na spodzie ich relacji.

Zakopane. W końcu stanęło na hotelu Kasprowy. Nie było to miejsce szczególnie zaskakujące dla kogoś, kto próbowałby przewidzieć, gdzie zanocują, ale takich mało zaskakujących miejsc, a w nich pokoi, istniało na tyle dużo, że uzbrojenie ich wszystkich w aparaturę było rzecz jasna niemożliwe. Mimo że temat Warmii już nie istniał, Ola, której najwyraźniej ta sprawa jednak ciążyła, poprosiła Dominikę, żeby to ona wybrała na miejscu hotel. W Zakopanem, w którym była może dwa razy w życiu, Dominika nie znała żadnych miejsc, a hotel Kasprowy kojarzyła z jakichś opowieści, może Mariusza, może...

– Może z telewizji albo z gazet. Tu, na podjeździe pod hotelem zastrzelili Pershinga – powiedziała Ola, po czym, jakby wystraszyła się własnych słów, dodała: – Ale to było ponad dwadzieścia lat temu.

– Mariusz pracował wtedy w stołecznej, pamiętam tę sprawę – Dominika odezwała się uspokajająco. – Może to stąd rzeczywiście. Myślisz, że skojarzyłam zło ze złem?

– Nasze chyba nie jest aż tak złe? – upewniła się Ola.

– Powiedzmy, że jest złe inaczej. – Dominika uśmiechnęła się blado.

Potem były basen, sauna i wspólna kolacja. Na wypadek, gdyby ktoś kiedyś chciał to sprawdzić, wynajęły osobne pokoje, każda swój na siebie, ale noc spędziły oczywiście w jednym. Ach, te noce. Słynne pytanie o to, co by zrobiła, gdyby mogła cofnąć czas, przy każdej próbie rozpatrywania kończyło się tą samą odpowiedzią. Nic by nie zrobiła.

\*

Tunelu pod Caltanissettą wciąż nie ukończyli, choć już przed wielu laty zaczęli go kończyć, ale i tak było dużo krócej, gdyż autostrada nazwana na cześć pisarzy, którymi akurat natura obdarzyła wyspę wyjątkowo hojnie, zaczynała się tuż za miastem i ciągnęła prawie do samego Agrigento. Dominika nie była pewna, ile kilometrów przybyło przez te dziesięć lat, lecz dojechali o wiele szybciej niż poprzednio, i to mimo że wtedy czas znacznie mniej się dłużył. Na obrzeżach miasta Bogdan zatrzymał się na parkingu przy jednym z wejść do przepięknego Valle dei Templi, ogromnego obiektu z zabytkami greckiej architektury.

Chwilę później zgasił silnik, co w czasie podróży robił wyjątkowo rzadko, być może z obawy, że go potem nie odpali, i wyciągnął telefon ze schowka w podłokietniku.

– Wie pan, kiedy oni tu przyplłynęli?

– Kto? – Bogdan włączył telefon i zaczął wpisywać jakiś numer z kartki wyjętej z kieszeni bezrękawnika.

Mężczyźni w bezrękawnikach z bezlikiem kieszonek, pomyślała Dominika. Od zawsze miała wrażenie, że tak ubrani idą co najmniej na ryby, jeśli nie na polowanie.

– Grecy – odpowiedziała, wskazując głową stojącą właściwie tuż obok nich monumentalną świątynię z czerwono-żółtego kamienia.

Pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia.

– Ponad dwa i pół tysiąca lat temu. – Uśmiechnęła się, bo nagle poczuła znajomy zapach, połączenie woni suchej ziemi, cytrusów, kwiatów, oliwek i migdałowców. – I zbudowali to. Myśmy chyba jeszcze wtedy wciąż szukali ognia.

– Mieli łatwiej, im tu ogień chyba nie jest przesadnie potrzebny. – Zmęczony upałem Bogdan ciężko wypuścił powietrze, jakby to mogło go schłodzić, po czym wcisnął zielony guzik na telefonie i czekał na połączenie. – *Hello, this is Bob. We here to see Betty*<sup>1</sup>.

Jego angielski pozostawiał wiele do życzenia, ale przekaz chyba się przedarł, bo Dominika usłyszała, że padła jakaś odpowiedź.

– *Yes, all the best for Peter. Olive is with me*<sup>2</sup> – wydukał Bogdan.

Dominika pomyślała, że mając na uwadze wszystkie okoliczności, mogli tę wymianę haseł i odzewów sformułować w mniej wymagający językowo sposób.

Zamierzony efekt został jednak osiągnięty, ponieważ po mniej więcej trzydziestu minutach na parking wjechał perłowy fiat 500 i wysiadła z niego dość ładna para w średnim wieku. Ona mówiła po angielsku,

jemu wydawało się, że mówi, co zresztą u Włochów, szczególnie tych z południa, jest zjawiskiem dość powszechnym.

– *Do you speak English, Irena?*<sup>3</sup> – zapytał po chwili.

Dominika przez moment nie wiedziała, o co mu właściwie chodzi, ale w końcu dotarło do niej, że dla nich jest Ireną i nawet jeśli wiedzą, że nie tak ma na imię, nikt nie zwróci się już do niej tym właściwym. Pokiwała głową, a mężczyzna bardzo się ucieszył i odtąd mówił już do niej wyłącznie płynną włoszczyzną, może nawet czymś jeszcze trochę innym, bo jak na ucho Dominiki ten język różnił się dość wyraźnie od włoskiego znanego jej z północy.

A jednak usłyszała jeszcze raz swoje imię.

– No to do widzenia, pani Dominiko – powiedział Bogdan, trzymając torbę, którą w piwnicy wręczył jej Mariusz.

Torba z moją przeszłością i zarazem przyszłością, pomyślała.

– Do widzenia, panie Bogdanie, i dziękuję. – Odebrała ją, uśmiechając się blado. – Bardzo panu dziękuję.

– Nie ma za co. – I on się uśmiechnął, co poznała wyłącznie po tym, że jego wąs delikatnie zafalował.

– A co pan teraz ze sobą zrobi? – zaciekawiała się, patrząc na zakurzony kamper za jego plecami, jej pierwszy nowy, chwilowy dom.

– Pokręcę się tu trochę, pozwiedzam, pokąpię się może. Muszę zostać kilka dni, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Tak kazali. Potem po prostu wrócę.

– Gdyby pan się widział kiedyś z moim mężem... – zaczęła i głos uwiązał jej w gardle.

Bogdan czekał, najwyraźniej nie chcąc ani jej pomóc, ani też przeszkodzić.

– Bo ja pewno już nigdy... bardzo długo nie będę miała jak... – spróbowała raz jeszcze. – Proszę mu powiedzieć, że go kocham i że bardzo, bardzo go przepraszam.

Trudno brać na siebie misję przekazywania takich wiadomości, ale Bogdan, który narażając się na niebezpieczeństwo, pomógł jej dotrzeć aż tutaj, uznał chyba, że jego dyskomfort i tak nie może się równać z jej, bo po chwili pokiwał głową, a jego wąż znów nieznacznie zafalował.

– Proszę się tu trzymać. Jeszcze zobaczy pani męża i będzie mogła powiedzieć mu, co tylko będzie chciała, zapewniam – odparł i ruszył w stronę kampera stojącego na tle pięknie zachowanej kolumnady świątynnej, przez którą zaczynały przeświecać promienie zachodzącego słońca.

– *Shall we?*<sup>4</sup>

Pięknie opalona kobieta odezwała się dopiero po pewnym czasie, bo choć nie rozumiała tego, co tu zaszło, ani nie miała pojęcia, jakie jest tło całej sprawy, wyczuła, że nie może poganiać dwojga podróżnych.

Mężczyzna, wymieniwszy wcześniej z Dominiką informacje na temat znajomości angielskiego, próbował jeszcze jakiś czas zagadywać ją po włosku, lecz w końcu odpuścił i w ogóle przestał się w cokolwiek wtrącać.

Na oko czterdziestoletnia Vincenza, szczupła brunetka, stała chyba wyżej w hierarchii organizacji niż jej smagły towarzysz, więc to ona o wszystkim tutaj decydowała. Jakiej organizacji? Dominika nie wiedziała, ale nie miało to dla niej znaczenia, więc po chwili przypatrywania się na zmianę kobiecie i siedzącemu już za kierownicą włoskiemu poliglocie pokiwała głową.

Z parkingu przy wejściu do kompleksu archeologicznego pojechali w górę, w kierunku widocznego na wzgórzu miasta. Po kilkunastu

minutach kluczenia wąskimi jak ucho igielne uliczkami mężczyzna zatrzymał fiata na rozległym placu pod zbudowaną na samym szczycie wzgórza katedrą. Dominikę uderzyło przede wszystkim światło – słońce tonęło właśnie w morzu gdzieś na drugim końcu świata, ale ostatkiem sił wyrzucało jeszcze fontannę czerwonożółtych płomieni, które tutaj, odbite od fasad pomalowanych na jego cześć w bardzo podobnych odcieniach, potęgowały się jeszcze i zwielokrotniały ciepłem i niewyobrażalnym spokojem.

– *Beautiful, isn't it?*<sup>5</sup> – Vincenza uśmiechnęła się, pomagając Dominice wyrwać torbę ze zdecydowanie zbyt małego bagażnika pięćsetki.

Potem ruszyli w dół malowniczymi wąskim przesmykami między pięknie odrestaurowanymi kamienicami a pustostanami, które stały jakimś nadludzkim wysiłkiem woli wbrew nakazom praw atrofii i chaosu. Dominika zastanawiała się chwilę, po co jechali tyle w górę, żeby teraz tyle schodzić, lecz uznała, że tak ma być. Nie wiedziała, czy robili tak z przyczyn konspiracyjnych, czy może ich postępowaniem rządziła ta sama siła, która cudem ratowała okoliczne domy i to miasto od rozpadu. Wszystko razem było zresztą tak absolutnie odklejone od rzeczywistości, którą dotąd znała, inne do granic absurdu, że stwierdziła, iż jedynym sposobem na przetrwanie jest nie wnikać, nie analizować, przynajmniej na razie nie próbować zrozumieć, tylko po prostu przyjąć to i starać się przeżyć.

Po kilku minutach schodzenia niezliczonymi kamiennymi schodami przez zaułki, bramy i podwórka doszli w końcu do ładnie utrzymanej żółtej kamienicy, która wyglądała na tyle okazale, że mogła spokojnie ubiegać się o miano *palazzo*<sup>6</sup>. Mężczyzna zapukał trzy razy po kilka uderzeń, ale ile dokładnie, tego nie wiedziała, robił to bowiem tak szybko i sprawnie, że nawet gdyby spróbowała, i tak nie dałaby rady

policzyć. Kilkanaście sekund później drzwi się uchyliły i weszli w wąską, chłodną szparę mroku.

W domu, a konkretnie w dwóch mieszkaniach zajmujących dwa dolne piętra malowniczego, choć nie za bardzo odnowionego wewnątrz palazzo, mieszkało łącznie dziewięć osób.

Dominika nie wiedziała i nigdy nie miała się dowiedzieć, ani kim są ci ludzie, ani do jakiej należą organizacji. Na logikę była to prawdopodobnie jakaś mocno utajniona komórka włoskiego wywiadu, bo przynajmniej teoretycznie tylko z takimi ludźmi mógł mieć kontakt jej mąż, o którym, jak czas pokazał, tak naprawdę nie wiedziała zbyt wiele.

W środku sporo było różnego rodzaju broni, a także urządzeń, których nie widywało się w normalnych mieszkaniach. W jednym z pokoi na przykład tkwiła na stojaku sporych rozmiarów radiostacja, przy której zawsze ktoś pełnił dyżur. Mieszkańcy zaś, jeśli porównać ich z medianą społeczną w jakimkolwiek kraju, wyróżniali się dbałością o tężyznę fizyczną i czymś, co w największym skrócie można by określić jako inteligentne spojrzenie.

Z biegiem czasu Dominika poznała ich wszystkich, to znaczy dowiedziała się, jak mają na imię, a w nielicznych przypadkach usłyszała też jakieś historie z ich życia prywatnego, acz zawsze brała poprawkę na to, że zarówno imiona, jak i te opowieści mogły być zmyślane.

Marco, Vincenza, Sergio, Alfonso, Federico, Monica, Pietro, Massimiliano, Mirella.

Dziewięć osób, sami Włosi, z których oprócz Vincenzy jeszcze dwoje porozumiewało się jakkolwiek po angielsku, reszta zaś potrafiła tylko – podobnie jak poznany pod Valle dei Templi Alfonso – zapytać



o to, czy rozmówca zna ów język. Przez trzy miesiące spędzone w tym domu Dominika, która wcześniej umiała powiedzieć wyłącznie *buongiorno* i *grazie*<sup>7</sup>, nauczyła się włoskiego na tyle, że mogła już rozmawiać z wszystkimi właściwie o wszystkim.

Na szczęście z Włochami komunikacja jest prostsza niż z jakąkolwiek innąacją. Dominika doszła w pewnym momencie do wniosku, iż być może dzieje się tak dlatego, że Włosi po prostu bardzo lubią się komunikować, a to znów dlatego, że po prostu lubią żyć.

Przez pierwsze dwa tygodnie nie mogła opuszczać palazzo. Trzy dni zajęło jej, z nieocenioną pomocą Mirelli, zmienienie wyglądu na tyle, by przynajmniej z grubsza pasował do zdjęć Ireny we wszystkich trzech nowych dokumentach. Z długowłosej, niebieskookiej blondynki stała się krótko ostrzyżoną brunetką o piwnych oczach, lekko kręconych włosach i wydatnych ustach. Ta ostatnia zmiana bolała ją najbardziej, bo przez całe życie unikała jak ognia kobiet o sztucznie uwydatnionych wargach. Ale co było robić, kiedy sytuacja i jej nowe otoczenie tego właśnie wymagały?

– *Che bella*<sup>8</sup> – zachwyciła się Mirella, gdy wreszcie dopełniło się dzieło zniszczenia jej wcześniejszego wyglądu wraz z fragmentem urody.

Może dziewczynie naprawdę podobała się teraz bardziej niż przedtem? Nie, to było mało prawdopodobne. Raczej po prostu usiłowała ją podnieść na duchu. Dominika spojrzała w lustro.

Nie wyglądała pięknie. Wyglądała jak Irena Misiak, którą miała odtąd być. Przynajmniej na papierze.

Już pierwszego dnia pobytu dostała na pierwszym piętrze własny pokój, który do tego jeszcze, jako jeden z niewielu, miał własną łazienkę

z wanną i sufitem pięć metrów nad głową kąpiącego się. Dziwnie jest leżeć w wannie, kiedy stiuki przy żyrandolu są tak daleko, że przy lekkiej nawet wadzie wzroku dokładnie ich nie widać. W samym pokoju sufit też nie był niżej, ale może przez to, że pomieszczenie miało minimum trzydzieści metrów kwadratowych, odległość do niego nie wydawała się aż tak oszałamiająca.

Na początku, przynajmniej do momentu, gdy po raz pierwszy pozwolono jej wyjść do miasta, Dominika jadła, czytała, spała i czasem rozmawiała z niektórymi z dziwnych współlokatorów, ale w gruncie rzeczy funkcjonowała bardziej w realności snu niż jawy.

Tego dnia, kiedy wreszcie mogła opuścić mury palazzo, Vincenza przeszkoliła ją starannie. Przede wszystkim poleciła jej nie rozmawiać z nikim, a gdyby już ktoś ją zaczepił, miała udawać introwertyczną turystkę. Na tę okoliczność dostała plecak z naszywkami z różnych miejsc na świecie, czyli była zamkniętą w sobie globtroterką.

Niektóre z tych miejsc odwiedziła nawet, acz nie wszystkie, więc część naszywek na wszelki wypadek odpruła. Bała się, że zapytana o miasta, z których pochodziły, nie miałyby nic do powiedzenia. Ku jej zaskoczeniu ten akt odwagi i niesubordynacji – kiedy wyjaśniła jego przesłanki – spotkał się z uznaniem Vincenzy, a potem reszty mieszkańców. W jakimś sensie to, że wykazała się czujnością, zakwalifikowało ją natychmiast do nieco wyższej kasty. Nie była już tylko Ireną, paczką, którą dostali na przechowanie. Była Ireną, która potrafiła asocjować i przewidywać zagrożenia. Obie te rzeczy zaś liczyły się bardzo w arsenale umiejętności jej towarzyszy.

Miasto było piękne, przynajmniej jego część zaliczająca się do starówki i dzielnica po drugiej stronie via Roma, która biegnąc jakby dnem wąwozu między dwoma wzniesieniami, razem z *piazzale*<sup>9</sup> Aldo Moro

i via Imera dzieliła Agrigento na część wschodnią i zachodnią. Z kupionego w punkcie informacyjnym przewodnika Dominika dowiedziała się, że wąwóz ów nie jest pochodzenia naturalnego, lecz wykopali go jeszcze w czasach kolonii greckich niewolnicy i miał pełnić funkcję kanału wentylacyjnego do przewietrzania miasta w upalnych miesiącach. Rzeczywiście, gdy usiadła na chwilę na skwerku w środku piazzale Aldo Moro, owionął ją miły podmuch, podczas gdy w innych miejscach powietrze raczej pozostawało uciążliwie nieruchome.

Co ja tu w ogóle robię? Ostatnimi czasy to pytanie, choć wciąż trafne i aktualne, przestało męczyć ją tak bardzo. Teraz jednak, kiedy znalazła się w czymś innym niż cztery ściany pokoju, łazienki i salonu, w którym spotykali się na posiłki, absurdalność jej położenia wróciła z nieomal obezwładniającą siłą.

Dlatego, nie znalazłszy satysfakcjonującej odpowiedzi, już po godzinie kręcenia się bez celu po labiryncie ciasnych uliczek, skrajnie wyczerpana wewnętrznym zagubieniem, trafiła z powrotem pod drzwi palazzo. Wykonała przećwiczony wcześniej rytuał trzech serii stuknięć i została wpuszczona do środka. Minutę później leżała na łóżku w swojej bezpiecznej celi.

W kolejnych dniach, choć mogła i była do tego namawiana, nie chciała już wychodzić. Zbyt wiele miejsc kojarzyło jej się z krótkim pobytem tutaj przed laty, a wszystkiego, co przypominało jej o tamtym życiu, należało w pierwszej kolejności unikać. Tak bardzo przywykła do przebywania we wszelkich nieznanach miejscach z Mariuszem, że będąc w nich samotnie, czuła się jak wybrakowana. Miała wrażenie, że porusza się na jednej nodze, a przy wyszlifowanych jak kryształowe lustro kamieniach, którymi wyłożono tutejsze uliczki, nie było to łatwe. Mimo

pojawiających się coraz częściej udogodnień kalekom wciąż łatwiej jest po prostu nie wychodzić z domu.

Po kilku dobach, w czasie których zapadała się coraz głębiej w swój pokój, a potem już prawie wyłącznie w swoje absurdalnie wielkie łóżko, podczas śniadania w salonie zaczepiła ją Vincenza.

– *You want to come with us?*<sup>10</sup> – zapytała.

– *Come with you where?*<sup>11</sup> – Dominika odpowiedziała pytaniem na pytanie, by zyskać na czasie.

Od początku jej pobytu co rano palazzo wyludniało się prawie. Najczęściej na miejscu pozostawały tylko dwie osoby, przy czym każdego dnia była to inna dwójka. Zostawał ktoś do obsługi radia, czyli człowiek do utrzymywania kontaktu. Z kim? Tego nie wiedziała i nie chciała wiedzieć. Druga osoba sprzątała, pracowała na komputerze, względnie po prostu zabijała czas w necie. Choć nigdy specjalnie się nad tym nie zastanawiała, Dominika odnosiła wrażenie, że musiała ona zostawać w palazzo w roli wartownika albo wsparcia tego, kto pełnił dyżur przy radiostacji. Często zresztą ludzie ci w ciągu dnia zamieniali się rolami. Reszta o tej samej porze opuszczała kamienicę, żeby wrócić do niej zawsze z grubsza około siódmej wieczorem.

Wyglądało na to, że po prostu chodzili do pracy, ale co nią było, nie miała pojęcia.

– *You'll find out*<sup>12</sup>. – Vincenza uśmiechnęła się łagodnie i wzięła ją za rękę.

Dominice absolutnie nie chciało się nigdzie z nimi iść, ale była psychologiem i już wiele dni wcześniej rozpoznała u siebie symptomy depresji. Jeśli czegoś z tym nie zrobi, będzie tak, jakby nie wzięła antybiotyku przy postępującym zakażeniu. Mechanizm był ten sam, tylko w tamtej sytuacji choroba zakończyłaby się na przykład utratą

kończyny, a w tej za jakiś czas straciłaby całą siebie. Po chwili namysłu, czując wciąż uścisk kobiety, pokiwała więc w końcu głową.

Vincenza wyraźnie się ucieszyła. To zdziwiło trochę Dominikę. Nie znały się przecież prawie, a przez cały jej trzytygodniowy pobyt w palazzo zamieniły może dwadzieścia sztampowych i kurtuazyjnych zdań. Skąd zatem ta reakcja? Vincenza musiała darzyć Irenę sympatią. Może więc aby kogoś polubić, nie trzeba z nim szczególnie często rozmawiać? A może dlatego właśnie ją lubiła, że Irena była inna od innych?

Zanim wyruszyli, Dominika została wyposażona w plecak, do którego zapakowali jej jasnoszare buty z wysoką cholewką oraz spodnie i bluzę w panterkę koloru butów, czyli wojskowy strój przystosowany do warunków pustynnych.

Jechali prawie godzinę drogami, które – choć żadne na Sycylii nie są przesadnie dobrej jakości – nie figurowały chyba nawet na mapie, bo z każdą chwilą stawały się coraz mniej przejezdne. Szutry, dziury, nawet głębokie do połowy kół kałuże pełne błota, tak że Dominika, która od przyjazdu tutaj nie widziała deszczu, nie mogła za nic zrozumieć, skąd się wzięły. W końcu opuszczony kamieniołom, otoczony dziurawym jak wszystko tutaj płotem i strzeżony przez ospałego ochroniarza przy bramie. W głębi kamieniołomu, w długim na kilkaset metrów, wyciętym w białej wapiennej skale kanionie znajdowały się stanowiska strzeleckie zwieńczone na końcu ledwie widocznymi gołym okiem okrągłymi tarczami.

Początkowe dwie godziny z przebranymi za żołnierzy kolegami i koleżankami z palazzo upłynęły na strzelaniu do tarcz z długiej broni wyposażonej w lunety. Owego dnia Dominika najpierw się przyglądała, potem Vincenza powierzyła jej odpowiedzialne zadanie podawania

magazyneków, wreszcie na koniec Massimiliano zaproponował, żeby też postrzelała do białego kółka na końcu kanionu.

Pierwszy pocisk nie trafił w tarczę, kolejnych dwadzieścia zresztą również nie. Po raz pierwszy, co zostało przyjęte przez wszystkich z wielką radością, Dominika trafiła w nią po tygodniu. Po trzech była jednym z lepszych strzelców, ale to nie wzbudziło już, szczególnie wśród mężczyzn, takiego entuzjazmu.

Po zajęciach ze strzelania, kiedy słońce stanęło w zenicie, zeszli do prowizorycznego baraku blisko plaży i zjedli lunch przygotowany przez jednego z uczestników. Jak wyjaśniła Vincenza, codziennie jedzenie przyrządzał ktoś inny, czasem – jeśli były mniej uzdolnione kulinarnie – brały to na siebie dwie osoby. Kilka dni później zaszczytu przyrządzenia posiłku dla wszystkich dostąpiła też Dominika.

Po zakrapianym delikatnie winem jedzeniu przyszedł czas na sjęstę. We Włoszech także żołnierze odpoczywają po południu, bo nawet im trudno przeżyć upał. Kilkoro z nich poszło się wykąpać na pobliskiej, kompletnie pustej, należącej, zdaje się, do poligonu plaży. Dominika nie była przygotowana, nikt jej nie powiedział, że ma zabrać kostium, a nawet gdyby powiedział, nic by to nie dało, gdyż wśród ubrań, w które wyposażył ją w Polsce Mariusz, stroju kąpielowego nie było. W końcu jednak, namówiona przez Vincenzę i Mirellę, rozebrała się jak one do naga i weszła do wody.

Po miesiącach udręki w okowach smutku, wyrzutów sumienia, lęku i obrzydzenia do samej siebie wejście do morza było dla niej przeżyciem granicznym. Położyła się na plecach na delikatnie falującej powierzchni i przez kilka minut z zamkniętymi oczami wisiała w nirwanie niebytu. Woda była tak ciepła, że prawie nic nie czuła, szum tak miarowy i spokojny, że wkrótce przestawało się go słyszeć, a do tego jeszcze ten mrok rozbijany jedynie chwilami do czerwieni przez przenikające

powieki słońce. Pustka. Wreszcie choć przez jakiś czas nie musiała być sobą ani ze sobą. Kiedy myślała o tym później, z perspektywy przyszłych wydarzeń, dochodziła do wniosku, że chociaż do działania sprowokował ją ich dramatyzm, gdyby nie ten moment – tego dnia, w tej wodzie – prawdopodobnie nie byłaby w stanie go podjąć. Gdy wyszła, naga i zupełnie już nieskrępowana, czuła zapach morskiej świeżości, który zbierały w sobie i oddawały światu leżące u jej stóp algi.

– *Better?*<sup>13</sup> – spytała Vincenza.

Dominika uśmiechnęła się tylko, bardzo delikatnie pokiwała głową, a łyzy niewypowiedzianej ulgi zatańczyły jej w oczach.

\*

Po południu wrócili do zajęć, ale teraz ćwiczyli walkę wręcz, czyli wariant sytuacji, w której broni nie można albo nie da się już użyć. Pierwszego dnia tylko się przyglądała, przez kolejne dziewięć tygodni jednak ćwiczyła razem z nimi boks tajski, trochę brazylijskiej capoeiry, lecz głównie krav magę. Potem, kiedy radziła sobie już całkiem dobrze z podstawami samoobrony, niezmiennie ciekawiło ją, dlaczego akurat krav maga, ta izraelska sztuka walki praktykowana początkowo jedynie przez tamtejsze służby specjalne i komandosów, tak bardzo rozpowszechniła się na świecie. I dlaczego to właśnie Żydzi wymyślili coś tak nieprawdopodobnie skutecznego.

Może dlatego, że podobnie jak wkrótce ona nie mieli wyjścia?

Dni mijały. Dominika była coraz bardziej opalona i coraz spokojniejsza, bo choć świadomość własnych przewin nie opuszczała jej nawet na moment, udało jej się wypracować do nich, czyli do siebie w całej rozciągłości, znacznie większy dystans. Może pomagało jej w tym to, że powalała już na ziemię dwukrotnie cięższych kolegów, albo to, że

potrafiła skupić się i wyciszyć do tego stopnia, iż z kilometra trafiała w środek ustawionej na słupku pomarańczy.

Oderwanie, czyli medytacja. Tak to się chyba nazywa.

Robienie rzeczy, powtarzanie ich, angażowanie się w nie, przy czym najlepiej, by były to rzeczy jak najbardziej oddalone od tego, co robiło się do tej pory. Tak, była to forma terapii, która – o czym psycholog Dominika Stawecka wiedziała doskonale – nie pozwalała pozbyć się problemu, nie dawała szansy na rozstanie z nim, a wyciszała go jedynie, przysypywała gdzieś w głębi, spychała do podświadomości.

Minęła jesień, w końcu nadeszła zima. Padało trochę więcej, było chłodniej, czyli wreszcie nieupalnie, ale woda w morzu wciąż niosła oczyszczenie, teraz może tylko nie dało się już w niej tak doskonale zgubić poczucia własnej cielesności, bo była zimna i orzeźwiająca.

Pewnego pochmurnego dnia pod koniec grudnia Vincenza, z którą porozumiewała się teraz nieomal płynną włoszczyzną, zjawiała się z informacją, że statek mający zabrać Dominikę dalej, konkretnie do São Paulo, zawinie do pobliskiego Porto Empedocle w połowie stycznia.

W Brazylii miała ją przejąć i pomóc zorganizować się gdzieś w amazońskim interiorze kolejna komórka włoskiego wywiadu. Dominika, która przywykła do swych towarzyszy, morza i codziennej rutyny, przyjęła tę wiadomość z lękiem i smutkiem. Chodziło zresztą nie tylko o oswojoną już Sycylię, ale też o to, że pobyt tutaj miał znamiona pewnej tymczasowości. Nie myślała o tym za wiele, lecz wciąż prawdopodobnie tliła się w niej nadzieja, że kiedyś jeszcze będzie mogła wrócić tam, gdzie były jej dom i rodzina, a skąd musiała kilka miesięcy temu uciekać, ratując się przed więzieniem. Wyjazd do Brazylii oznaczał definitywny rozbrat z tą nadzieją.



Poczucie ogromnego dystansu, jaki miał dzielić ją od domu, dystansu rozumianego nie tylko w kategoriach przestrzennych, ale również kulturowych i wszelkich innych, przerażało ją i przerastało. Cóż, przywykła do bycia tutaj, co też początkowo nie było łatwe, przywyknie więc i do bycia tam. Człowiek, jak każde zwierzę, przede wszystkim chce przeżyć, cała reszta jest w gruncie rzeczy plastyczna. Oczywiście plastyczna do jakiegoś stopnia, do jakiegoś limitu swej rozciągliwości. Do rozstania z matką Europą i będącym jej częścią krajem, z którego przybyła, pozostały jej zatem góra trzy tygodnie. Więcej treningów, więcej pływania, więcej chodzenia po tym pięknym mieście, które zdążyło się stać jej drugim domem, może jakieś imprezy, które pomogą choć na chwilę zapomnieć, więcej czerpania z życia tutaj, bo tam na pewno na jakiś czas znów się zapadnie.

Wciąż miała telefon, który dostała w czasie podróży od Bogdana. Co kilka dni ładowała tę „polską” komórkę, trochę na zasadzie, na jakiej uzupełnia się oliwę w lampce ustawionej pod świętym obrazkiem – owo ładowanie traktowała jak swoisty rytuał, bo w końcu komórka była ostatnim maleńkim ogniwem łączącym ją z tamtym światem i z tamtym życiem. Na miejscu miała też inny telefon, z włoską kartą prepaid zarejestrowaną na wszelki wypadek na jakiegoś słupa, i to w nim przeglądała włoskie portale, głównie w ramach nauki języka. Zdarzało się także, że wchodziła na polskie, ale z czasem robiła to coraz rzadziej.

Założyła też fikcyjne konta na Facebooku i Instagramie, by zaglądać na profile Ani i Rafała czy na oficjalne konta MSWiA i Kancelarii Premiera – wszystko to w nadziei, że na którymś z nich natknie się na aktualne zdjęcie Mariusza. Trafiła na nie jednak tylko raz, na profilu Ani, gdy ta zamieściła selfie z tatą. Przemknęło jej przez głowę, że córka zrobiła to trochę ze względu na nią, założywszy, że będzie tam wchodzić z tęsknoty za nimi, za Mariuszem również, a może nawet przede wszystkim, bo ich relacja od zawsze była bardzo bliska. Ale gdy

przypomniała sobie, w jakich okolicznościach się rozstały, szybko porzuciła tę płonną nadzieję.

Polski telefon zadzwonił nagle rankiem piątego stycznia. Wyrwana ze snu Dominika najpierw się przestraszyła, a potem przyszło jej do głowy, że być może ktoś po prostu się pomylił. Nie pomylił się. Po kilku minutach przyszedł SMS podpisany imieniem i nazwiskiem. Pisał i dzwonił do niej komisarz Paweł Milewski. Dlaczego akurat on? – zastanawiała się totalnie zaskoczona. Nie zdziwiłoby jej, gdyby zatelefonował Mariusz, w końcu to on zadysponował wąsatego Bogdana, a Bogdan dał jej tę polską kartę. Co miał do tego wszystkiego Milewski i skąd znał ten numer, nie wiedziała.

Kiedy telefon zadzwonił ponownie po trzech minutach, trzymała go już w dłoni i odebrała prawie natychmiast, ale nie powiedziała ani słowa. Najpierw chciała się upewnić, że to rzeczywiście Milewski. Miał charakterystyczny niski, chrapliwy głos, łatwy do zapamiętania i trudny do podrobienia.

– Halo? – rozległo się w słuchawce.

Nadal się nie odzywała, bo samo „halo” to było zbyt mało.

– Mówi Milewski, pani Dominiko – rzekł po chwili.

Teraz nie było już wątpliwości. Najwyraźniej zresztą komisarz miał na tyle wyobraźni i empatii, że domyślił się, jaki może być jej problem.

– Proszę się nie niepokoić – dodał.

– Dzień dobry, panie Pawle – powiedziała w końcu.

– Przede wszystkim cieszę się, że panią słyszę...

– Skąd ma pan ten numer? – Dominika nie bardzo miała ochotę na wymianę uprzejmości.

– Od pana Bogdana, z którym pani podróżowała – wyjaśnił.

– Mój mąż wie o tym? – spytała zaskoczona.

– Tak. To znaczy... – Tym razem Milewski zaciął się, choć mu nie przerwała.

– To znaczy? – Odpowiedź na to pytanie była dla niej kluczowa.

– To znaczy ja właśnie w tej sprawie dzwonię – rzucił i znów umilkł.

Dominika odniosła wrażenie, że przy ostatnim zdaniu głos mu się zmienił, zmiękł jakby i nieco stracił charakterystyczną chrapliwość.

– W tej sprawie, czyli?

– Czyli tak, pani mąż wiedział, że w razie czego Bogdan przekaże mi ten numer – powiedział więcej, choć właściwie powtórzył jedynie to, co już wiedziała.

Po tym „w razie czego” Dominika domyślała się już dalszej treści, ale – jak to często bywa w takich przypadkach – za nic nie chciała jej poznać.

– W razie czego? – zapytała dopiero po dłuższej chwili.

– Pani Dominiko, dzwonię, bo ta wiadomość takim czy innym kanałem i tak dotrze do pani, a uznałem, że lepiej będzie, jeśli usłyszy to pani od kogoś znajomego i życzliwego. Pani mąż odebrał sobie wczoraj życie z broni służbowej.

Dominice zakręciło się w głowie i pociemniało przed oczami.

– Halo? Czy pani mnie słyszy? – Głos Milewskiego dobiegł do niej z wielkiej oddali.

– Nie – odparła.

Położyła telefon na stoliku, nawet się nie rozłączywszy, i legła na wznak na łóżko w nadziei, że może siła wyższa, ów Bóg, z którym spędziła całe życie i którego nawet tutaj odwiedzała regularnie

w kościołach i kaplicach, zlituje się nad nią i pozwoli jej umrzeć. Tu i teraz.

Leżała tak kilka dni. Przychodzili do niej wszyscy, ale najczęściej Vincenza. Najpierw usiłowali się dowiedzieć, co zaszło, a potem, gdy już się dowiedzieli, bo prawdopodobnie doniósł im któryś z przełożonych, próbowali jej zwyczajnie pomóc. Dominika tkwiła jednak w katatonii – nie odpowiadała, nie jadła ani nie piła, wciąż uporczywie chcąc zniknąć, tu i teraz. Szczególnie brak płynów był niebezpieczny, więc Vincenza, by uniknąć najgorszego, co godzinę wchodziła do pokoju i gąbką zamoczoną w świeżej wodzie zwilżała jej nieruchome usta.

Jeśli Bóg nie chciał pozwolić Dominice umrzeć, to widocznie miała coś jeszcze do załatwienia.

Czwartego dnia rano usiadła na łóżku. O ósmej zeszła na śniadanie, zjadła mało, ale tyle, że jej towarzysze odetchnęli z ulgą, a później, wciąż milcząc, pojechała z nimi na zajęcia. Tego dnia tylko strzelała i choć wszyscy już dawno zeszli ze strzelnicy, by swoim zwyczajem odpocząć przy winie i w morzu, a potem ćwiczyli inne umiejętności, nikt nie śmiał jej przeszkadzać. Tymczasem Dominika ładowała wciąż nowe magazynki, chodziła na koniec kanionu, ustawiała sobie cele, wracała i strzelała. Skończyła dopiero, kiedy zaczęło zmierzchać, a Vincenza przysłała i powiedziała, że wracają do Agrigento.

Kolejne dni upływały w podobnym rytmie, ale Dominika jadła już normalnie i zaczęła znów uczestniczyć w kursach sztuk walki. Jedyne, co różniło ją od wcześniejszej siebie, to fakt, że nadal nic nie mówiła. Nikt nie miał o to do niej żalu – uznali, że tak być musi, że taki jest jej tryb przeżywania tragedii – i nikt do mówienia nie próbował jej namawiać.

Odezwała się po tygodniu. Nagle w czasie kolacji rzuciła po prostu w powietrze:

– *Devo tornare a casa*<sup>14</sup>.

Wszyscy przerwali jedzenie i patrzyli na nią chwilę, niektórzy, jak Vincenza, wprost, inni ukradkowo. Nikt nie skomentował jednak jej słów.

Vincenza, ta nienazwana przyjaciółka, która ratowała ją przez pierwsze dni po telefonie, zajrzała do jej pokoju, gdy wszyscy inni poszli już spać. Powiedziała to, co Dominika sama wiedziała doskonale – że powrót grozi tym, iż trafi do więzienia albo, co gorsza, zginie z rąk ludzi, którzy zmuszali ją do współpracy. Dominika kiwała tylko głową. Miała świadomość tych zagrożeń, ale czego może się obawiać osoba, która przez cztery dni, a tak naprawdę od wielu miesięcy sama próbowała umrzeć?

W końcu, widząc, że nic nie wskóra, Vincenza dała spokój, życzyła jej dobrej nocy i obiecała, że pomoże na tyle, na ile będzie w stanie.

Tej nocy Dominika po raz pierwszy od rozmowy z Milewskim spała dłużej niż pół godziny.

Rano, w czasie śniadania, odbyli naradę.

Dominika nie utrzymywała powrotu do Polski w tajemnicy, bo to i tak by się wydało, poza tym grono dziewięciu niezwykle zżytych ze sobą osób nie stanowiło zagrożenia dla jej planów. Wręcz przeciwnie, razem mogli zrobić dla niej znacznie więcej, niż mogłaby sama Vincenza.

Ustalono od razu wersję dla zwierzchników, w której Dominika, niczego z nikim nie uzgodniwszy ani nikomu o niczym nie powiedziawszy, zniknęła któreś nocy, a oni powiadomili natychmiast

dowódców. W rzeczywistości otrzymała samochód, który specjalnie dla niej został kupiony od jednego z lokalnych drobnych złodziejasków. Wóz był o dziwo legalny, ale dostała jeszcze dwa komplety tablic, na wypadek gdyby coś poszło nie tak i została gdzieś namierzona.

Umówili się, że już w Polsce, zaraz po przekroczeniu granicy, ukradnie z podobnego auta polskie tablice, a włoskie zachowa na czarną godzinę. Dodatkowo w ciągu kilku dni, z pomocą życzliwego dyrektora banku przy piazza Pirro Marconi, udało się założyć jej konto bankowe, do którego w trybie ekspresowym wydano też kartę. Za gotówkę, której miała niemało, niestety nie da się już w dzisiejszych czasach kupić wszystkiego. Pokoje hotelowe i wiele innych usług trzeba opłacić kartą.

Tak oto niczego nieświadoma Irena Misiak z Polski dorobiła się konta w banku z całkiem pokaźną kwotą, prawie nowego fiata tipo kombi na numerach z Palermo, a nawet fikcyjnego już wprowadzie, ale wciąż przydatnego *codice fiscale*<sup>15</sup> i adresu w malowniczym miasteczku Cianciana położonym czterdzieści kilometrów na północ od Agrigento. Słowem, w jakimś sensie stała się Włoszką z lokalnymi kwitami, kontem i samochodem, Włoszką, która do tego doskonale potrafiła strzelać z broni krótkiej i długiej, a w razie potrzeby umiała też zabić człowieka gołymi rękoma.

\*

Niespełna tydzień od krótkiego oświadczenia woli złożonego w czasie kolacji w palazzo przy via Neve Dominika, z wydatną pomocą grupy ludzi, których kilka miesięcy wcześniej nawet nie знаła, a o których dziś wiedziała tak naprawdę niewiele więcej, była gotowa do drogi.

Wyruszyła dwudziestego drugiego stycznia. W Agrigento było osiemnaście stopni, wedle prognozy pogody za dwa dni, kiedy dotrze do Warszawy, będzie tam poniżej dziesięciu stopni na minusie. Po co w ogóle ktokolwiek mieszkał tam, skoro mógł mieszkać tu?

Zastanawiała się nad tym już od jakiegoś czasu, ale teraz, gdy żegnała się z Vincenzą o wschodzie słońca, który zapowiadał kolejny piękny dzień, ta myśl nurtowała ją wyjątkowo uporczywie.

– *Tornerai qui*<sup>16</sup>. – Włoszka uśmiechnęła się, ukazując swoje białe zęby.

Dominika pokiwała głową.

– *Tornero*<sup>17</sup>.

Tak, taki właśnie był jej zamysł, może w ogóle to pozwalało jej ciągnąć dalej to wszystko. Załatwi tam to, co musi załatwić, a potem wróci tutaj. Zapewne już nie na via Neve, do dziupli włoskiego wywiadu, w której spędziła najdziwniejsze miesiące swojego życia, ale tu – do tego miasta, na tę wyspę – wróci na pewno.

Jeśli oczywiście jej się uda.

A jeśli nie, będzie to oznaczało, że już w ogóle jej nie ma albo że ją posadzili.

W tym drugim przypadku jednak, jeśli przetrzyma więzienie, prawdopodobnie też kiedyś tu wróci.

Droga powrotna była jak odkręcanie taśmy w magnetofonie, jak puszczenie filmu do tyłu – za oknami samochodu te same pejzaże, choć w innych nieco najczęściej barwach, bo zmieniła się pora roku. Dla Sycylii, która poszła na pierwszy ogień, owa zmiana była w pewnym sensie tylko na lepsze. To, co wcześniej było płowe jak powypalane czarnymi smugami futro tygrysa, w najlepszym razie beżowe, a zwykle szarawe, teraz ożywiło się wszystkimi odcieniami zieleni. Od tej ciepłej, delikatnie zażółconej, najmilszej dla oka po chłodną niebieskawą albo brązową, prawie khaki, wszystko bujne, ukwiecone, radujące się kilkoma miesiącami wilgoci.

Podobnie było na południu Włoch, w Reggio di Calabria i Basilicacie, a potem w Kampanii i Lacjum. Tu krajobraz powoli zaczynał się zmieniać, wjeżdżała w świat lepiej sobie znany, ten, który zimę lubił znacznie mniej niż pozostałe pory roku. Dla Sycylii i południa Włoch zima była oddechem od upału i suszy, tutaj z wolna zmieniała się w zmorę ciągłych opadów i szarugi. Już wcześniej dzięki rozmowom z mieszkańcami palazzo, szczególnie z Massimilianem, który – jak udało jej się ustalić – pochodził z Sycylii, choć skąd dokładnie nigdy się oczywiście nie dowiedziała, poznała zasadniczą różnicę w ich podejściu do życia. Oni najbardziej w roku bali się gorąca, było ono tym, od czego uciekali, tym, z czym wiązały się ich najgorsze wspomnienia. Ona, pochodząca z zimnej i szarej przeważnie północy, wręcz przeciwnie – traumatyzowana była zimą. To przed nią uciekała całe życie, albo jeżdżąc do ciepłych krajów, albo chociaż wspominając czas, gdy było jej cieplej. Ona żyła, bo pamiętała ciepłe letnie dni, ich napędzały wspomnienia styczniowych opadów, których zresztą nie było zbyt wiele.

Po czternastu godzinach jazdy, przerwanej tylko raz na dłużej przeprawą promową z Mesyny do Villa San Giovanni, który to moment odczuła zresztą wyjątkowo symbolicznie jako powrót z wyspy spokoju i wolności do kieratu i stresu kontynentu, minęła Florencję i chwilę później dotarła do niewielkiej Baragazy. To tutaj planowała się zatrzymać, to tu Irena Misiak dokonała rezerwacji w niewielkim *albergo*<sup>18</sup> nieopodal zjazdu z autostrady.

Wnosząc z nazwy, hotel powinien zapewniać wspaniały widok. Ona z okien pokoju mogła jedynie podziwiać ścianę budynku po przeciwnej stronie parkingu. Nie miało to wszakże znaczenia, zatrzymała się tu, by przespać się kilka godzin. Widziała stojący na dole samochód i to było ważniejsze od obiecywanego pejzażu. W zasadzie nie miała się czego obawiać. Papiery były czyste, a że należały do osoby, która prawdopodobnie nigdy nie opuściła Polski, to może i nawet lepiej. Poza



tym w Europie bez granic dokumenty pokazywało się bardzo rzadko. W recepcji musiała tylko podać podstawowe dane i nikt ich z niczym nie weryfikował. Wpisała dane Ireny, przy czym adres zmyśliła, bo i tak nie wiedziała, skąd pochodzi ta kobieta. Samochód również był absolutnie legalny, niekradziony, więc i tu nie było się czego obawiać.

Mimo wszystko jednak była osobą wyjętą spod prawa. Nie miała wprawdzie pojęcia, jaka jest jej obecna sytuacja procesowa w Polsce, ale tak czy owak, daleko jej było do poczucia komfortu i bezpieczeństwa. Poza tym w samochodzie, w schowku pod tylną kanapą, który w razie rewizji mógł umknąć uwadze policjanta albo celnika, gdyż zintegrowany był z bakiem, wiozła glocka 44 i rozłożony karabin snajperski beretta M501.

Obie sztuki broni dołożyła jej Vincenza, twierdząc, że są integralną częścią samochodu, który dostała od nich w prezencie. Z jednej strony broń stanowiła dodatkowe obciążenie, ale z drugiej, po tym jak przez te kilka miesięcy zdążyła się z nią oswoić, a nawet zżyć, niosła spokój. Dzięki niej wiedziała przynajmniej, że w razie czego będzie miała jak i czym się bronić.

Tylko w razie czego tak naprawdę? Jaki był plan?

Do Polski jechała wiedziona jakimś trudnym do zracjonalizowania odruchem albo raczej impulsem. Decyzji o wyjeździe nie podjęła w wyniku długotrwałych rozważań, analizy wszystkich za i przeciw, przemyślenia strategii czy w ogóle czegokolwiek. Przede wszystkim chciała jeszcze raz zobaczyć Mariusza.

Milewski, do którego zadzwoniła kilka dni temu, powiedział jej, że pogrzeb na pewno nie odbędzie się wcześniej niż trzy tygodnie po śmierci. Okoliczności zgonu nie budziły, zdaje się, przesadnych wątpliwości, ale i tak w tego typu przypadkach automatycznie uruchamiano procedury.

Jedną z nich była sekcja zwłok, i to przeprowadzona przez co najmniej dwóch niezależnych patomorfologów. Komisarz nie chciał wchodzić w szczegóły, ale stwierdził, że przed pogrzebem sporo się jeszcze musi wydarzyć. Mariusz, o czym wiedzieli wszyscy z rodziny, po śmierci chciał być spopieleny, a spalenie zwłok to następne kilka dni oczekiwania na swoją kolej w krematorium. Gdy komisarz referował to wszystko Dominice, przez myśl nie przeszło mu nawet, że ta może się posunąć do powrotu do Polski.

Tymczasem po trzydziestu godzinach od wyjazdu z Agrigento Dominika minęła orzełka i napis „Rzeczpospolita Polska”. Od granicy włosko-austriackiej w pobliżu Villach, mimo nisko wiszących chmur, cały czas jechała z opuszczoną osłoną przeciwsłoneczną. Kawalek za Ostrawą do tego zabezpieczenia, które zasugerowała jej Vincenza, gdy się żegnały, dołożyła kolejne – okulary przeciwsłoneczne oraz, choć pandemia była już w odwrocie, maseczkę ochronną. W ten sposób żadna kamera najbardziej nawet zaawansowanego systemu monitoringu nie była w stanie jej rozpoznać.

Jej twarz była jednak na tyle zmieniona, że i tak raczej nikt nie rozpoznałby w niej ściganej listem gończym Dominiki Staweckiej, żony byłego szefa Komisji do spraw Służb Specjalnych. Prawdopodobnie nawet dzieci by jej nie poznały, gdyby nadarzyła się okazja do spotkania z nimi, na co zresztą przynajmniej na razie absolutnie się nie zanosilo.

O tym, że kiedy Mariusz odbierał sobie życie, nie był już szefem komisji, dowiedziała się od Milewskiego. Większość przyjaciół i dziennikarzy uważała zresztą, że właśnie utrata stanowiska przyczyniła się do tego, iż popełnił samobójstwo. Dominika właściwie bezustannie zastanawiała się nad tym, co mogło go pchnąć do czegoś takiego. Siłą rzeczy w pewnym sensie to siebie o to obwinała, ale akurat argument, że doprowadziła go do tego utrata pracy, nie przekonywał jej kompletnie.

Podświadomie w ogóle nie wierzyła w to, że Mariusz, ojciec dwójki dzieci, z których Anię kochał właściwie do obłędu, mógł się zabić.

Może zresztą był to kolejny – albo nawet główny – powód, dla którego zdecydowała się na ten wysoce nieodpowiedzialny krok, jakim był powrót do Polski.

Do Warszawy dojechała przed nocą. Zatrzymała się w Ibisie przy skrzyżowaniu alei Solidarności i Okopowej. Był to jeden z niewielu warszawskich hoteli, w którym nigdy nie spotkała się z Aleksandrą, poza tym znajdował się poza głównym szlakiem turystycznym miasta oraz blisko trasy, a ona była już bardzo zmęczona.

Zameldowała się oczywiście, korzystając z dowodu Ireny. Była trochę zdenerwowana. Dokumentu używała już co prawda na Sycylii, ale Włosi nie zwracali uwagi właściwie na nic, bo albo było za gorąco i nikt nie miał siły, albo za chłodno i wszyscy czekali na lato. Poza tym, nawet jeśli wystawiono za nią międzynarodowy list gończy, to tam, w najbiedniejszym rejonie wyspy, nikt nie zajmował się takim rzeczami. Z trudem – i, jak wiadomo, nie do końca skutecznie – udawało im się panować nad własną przestępczością. Skupianie się na kryminalistach z innych krajów zdecydowanie przekraczało ich skromne możliwości.

W Polsce było inaczej. Po pierwsze, tutaj była kryminalistką zapoznaną, swoją, lokalną, po drugie, system egzekucji prawa działał tu chyba nieco lepiej.

Młody recepcjonista nie spojrzał jednak nawet na zdjęcie w dowodzie. Od fotografii znacznie bardziej interesowała go żywa Irena.

– Pokój dwa dwa osiem – powiedział, po czym dodał lekko onieśmielony: – To na drugim piętrze.

– Tak myślałam. – Dominika uśmiechnęła się bez złośliwości. – Czy rano mogę zapłacić gotówką?

– Oczywiście. Rezerwacja jest zrobiona na kartę, ale opłatę można wnieść w dowolnej formie. – Ucieszył się, że może być pomocny.

Dominika odebrała dokument, podała chłopakowi formularz ze zmyślonymi danymi adresowymi, podniosła torbę i ruszyła do windy.

Pośród wielu wskazówek, jakie Vincenza przekazała jej przez niespełna tydzień między jej decyzją o wyjeździe a wyjazdem, była też ta, by jak najmniej używała karty. Rezerwacja na kartę to coś innego niż transakcja nią – ta pierwsza jest informacją wyłącznie między klientem a hotelem, transakcja zaś idzie już obiegiem bankowym i w razie nakazu łatwo ją namierzyć. Nikt oczywiście nie miał wciąż pojęcia, że Dominika Stawecka przedzierzgnęła się w Irenę Misiak, posiadaczkę włoskiej karty bankowej, ale na wypadek, gdyby mieli do tego dojść, lepiej, by śladów na osi czasu było jak najmniej.

Dominika zawiozła torbę do pokoju, a następnie zjechała na parking podziemny, aby zabrać z auta jeszcze jedną. Wcześniej, podczas leśnego postoju w trasie, na którym zamieniła włoskie tablice na polskie, ukradzione z fiata tipo w Skrzyszowie, do torby tej włożyła glocka schowanego dotychczas pod tylnym siedzeniem. Od tego momentu jechała już wprawdzie cały czas z duszą na ramieniu, bo każda bardziej wnikliwa kontrola mogła zakończyć jej podróż, lecz z dwojga złego wolała mieć broń na wyciągnięcie ręki niż w razie czego szukać jej w schowku przy baku.

„W razie czego” nie dotyczyło oczywiście spotkania z polskimi służbami, ponieważ rozpoznana nie miała zamiaru strzelać się z policją ani z żadną inną państwową agencją, ale prócz wymiaru sprawiedliwości miała jeszcze jeden, biegunowo odmienny problem – groźbę namierzenia przez przedstawicieli wywiadu obcego państwa.

Tamci działali tu rzecz jasna nielegalnie i musiała się liczyć z tym, że będą chcieli odebrać jej życie, choćby dlatego, że wprowadzie niewiele, ale coś o nich wiedziała.

Im zaś życia w żadnym wypadku nie zamierzała tanio sprzedać.

Obudziła się po czternastu godzinach. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest, ale chłód kolby pistoletu pod poduszką szybko przypomniał jej, nie tylko gdzie, ale też po co się tu znalazła.

Z Milewskim, od jego telefonu z piątego stycznia, rozmawiała jeszcze trzy razy. Korzystał z karty, którą przejął w czasie przeszukania u jakiegoś przestępcy, więc była bezpieczna i nie do skojarzenia z jego osobą. Mimo to zalecił jej, by kontaktowała się z nim za pośrednictwem komunikatora, i to nie z telefonu, ale z komputera, który każdorazowo po połączeniu z internetem miała spiąć najpierw z siecią VPN, a potem jeszcze ze stroną szyfrującą IP. Tak właśnie zrobiła i teraz. Napisała do niego od razu po prysznicu, zeszła na śniadanie, a gdy wróciła na górę, odpowiedź już czekała.

Wiadomość o tym, że jest na miejscu i chce zobaczyć zwłoki męża, była dla Milewskiego absolutnym szokiem. Z tego powodu najpierw w kilku zdaniach wyraził swój sprzeciw i oburzenie, a następnie poprosił, by spotkali się przy szpitalu dermatologicznym na Koszykowej, skąd mieli wejść od tyłu do mieszczącego się przy Oczki Zakładu Medycyny Sądowej.

\*

– Dzień dobry, pani Dominiko – powiedział, gdy tylko wsiadł do jej samochodu. – Nie mogę uwierzyć, że pani to zrobiła.

– Ireno. – Uśmiechnęła się i skinęła głową. – Dzień dobry, panie komisarzu.

– Ireno? – zdziwił się.

– Nazywam się teraz Irena Misiak. – Pokazała mu dowód.

Popatrzył na nią i na zdjęcie.

– Trochę się pani zmieniła.

– Wystarczająco?

– Tak, ale tylko do momentu, kiedy pani nowy wizerunek zarejestruje jakiś monitoring, do którego oni później dotrą – wyjaśnił.

Spojrzała na niego pytająco.

– Oni?

Ta sprawa nurtowała ją właściwie od momentu, kiedy zadzwonił. Początkowo nie zajmowała się tym przesadnie, bo tragizm wiadomości, którą jej przekazał, przykrył wszystko na tyle, że nie było już miejsca na roztrząsanie wątpliwości. Z czasem jednak pytanie wróciło i teraz, gdy w jakimś sensie miała mu powierzyć swoje dalsze losy, musiała poznać odpowiedź na nie.

– Oni, służby... – Milewski chyba wiedział, o co pyta, ale może nie był jeszcze do końca gotów odpowiedzieć.

– Oni służby, oni policja, oni ministerstwo, a pan to? – nie odpuściła.

Za chwilę miała zaryzykować swoje życie, a w każdym razie przyszłość. Wejście do Zakładu Medycyny Sądowej, miejsca, w którym czas spędzała połowa prokuratorów i dwie trzecie warszawskich śledczych, było jednoznaczne z zajrzeniem w paszczę lwa. Nie mogła tego zrobić, nie wiedząc, kim jest człowiek, który ma ją tam wprowadzić i – co ważniejsze, a na co ogromnie liczyła – także stamtąd zabrać.

– Pani męża poznałem dziesięć lat temu – zaczął Milewski i umilkł w nadziei, że dostanie od razu jakieś pytanie pomocnicze.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Dominika patrzyła tylko na niego uporczywie.

– Pracowałem w rejonowej na Mokotowie, on był szefem BSW – rozpoczął od rysu historycznego.

Tak, jej mąż przez kilka lat był rzeczywiście szefem najbardziej nielubianej przez policjantów instytucji – Biura Spraw Wewnętrznych, czyli policji w policji. To stamtąd awansował na wiceministra spraw wewnętrznych, później został posłem i – co wyszło już zupełnie naturalnie, bo przy rozdzielaniu sejmowych stanowisk miał do tego największe kwalifikacje – szefem Komisji do spraw Służb Specjalnych.

– Piłem wtedy dość dużo. – Milewski, inaczej niż zwykle, tym razem rozwijał swą myśl bardzo powoli.

– Jak dużo? – Dominika w końcu postanowiła przyjść mu w sukurs.

– O wiele za dużo. – Pokiwał głową i uśmiechnął się smutno. – Zawalone było sporo spraw. Prywatnie rozpadło mi się małżeństwo, a zawodowo miałem mnóstwo za uszami, ale nie dlatego, że przekreścili mnie bandyci, tylko dlatego, że wszystko rozłaziło mi się w rękach.

Przez chwilę milczeli.

– Nie udupił pana – odezwała się pierwsza.

Nie pytała. Stwierdziła. Mariusz nie udupiał ludzi za takie rzeczy.

– Gorzej. – Milewski delikatnie się uśmiechnął. – Pomógł mi.

Dominika czekała na ciąg dalszy, lecz wiedziała już, że ten człowiek do końca jej go nie wystawi.

– Wysłał mnie na przymusową terapię. Gdyby nie on, nie tylko nie miałbym pracy, ale pewno... w ogóle bym już nie żył.

W tym momencie w głowie Dominiki zrodziła się kolejna sprawa do wyjaśnienia.

– Zadzwoił do mnie, kiedy tylko się dowiedział, że Aleksandra Myśliwiec nie żyje – Milewski uprzedził jej pytanie.

– Czyli kiedy? – drążyła żadna szczegółów.

– Pewnie zaraz po tym, jak zadzwoniła pani na policję. Może mu przekazali – odparł, choć w tej samej chwili co w jej głowie, także w jego zrodziło się kolejne pytanie.

– A może zanim ja zadzwoniłam? – to Dominika jednak je zwerbalizowała.

– Chyba nie. Przyjechałem od razu po jego telefonie, a pani tam już była od godziny. Ale niewykluczone, że kazał ją wcześniej obserwować. To on podsunął mi monitoring, z którego potem wzięliśmy ten samochód – odpowiedział po zastanowieniu.

– Co on wiedział i od kiedy? – zapytała o to, o co teraz zapytać musiała.

– Trudno mi powiedzieć, ale myślę, że wiedział sporo. Od kiedy, to już nie mam pojęcia. Mnie włączył do sprawy dopiero, gdy zginęła pani Myśliwiec.

W samochodzie znów zapadło milczenie.

– Nie wiem, co wiedział i od kiedy, ale wiem z całą pewnością, pani Dominiko, że on ani jej nie zabił, ani nie zlecił tego zabójstwa.

– Też tak sądzę, ale ja znałam go dwadzieścia pięć lat, a pan skąd to wie? – Popatrzyła na niego w skupieniu.

– Gdyby to zrobił, nie poprosiłby mnie o poprowadzenie tego śledztwa.

– Czy ja wiem? Miał pan u niego dług...

– Nadal mam i dlatego zrobię wszystko, żeby ochronić osobę, którą kochał, ale nigdy nie kryłbym zabójcy. On to wiedział, znał mnie.



– Rosjanie zabili Olę, tu akurat sprawa jest prosta – skonstatowała.

– Nie dałbym się za to pociąć. Zresztą powiedziałem już pani kiedyś, że ona zginęła z rąk amatora.

– Albo zawodowca, który udawał amatora.

– Wbrew pozorom udawanie amatora, gdy jest się zawodowcem, to bardzo trudna sztuka. O tym też już rozmawialiśmy. Poza tym jest jeszcze jedna sprawa. – Milewski spojrzał na nią, jakby sprawdzał, czy jest gotowa na to, co chciał jej przekazać.

– Jaka? – zapytała, nie dostrzegłszy tego.

– Przy jej zwłokach znaleźliśmy ślady DNA.

– I?

Znów na moment się zaciął, jak gdyby to, co miał powiedzieć, wymagało większego przygotowania. Zerknął nawet przez szybę samochodu.

– To samo DNA znaleźli przy zwłokach pani męża.

– Przecież Mariusz popełnił samobójstwo.

– Nie jestem już tego taki pewien.

Dominika popatrzyła na niego totalnie zaskoczona.

– W pachwinie lekarz odkrył podobno niewielkie wkłucie. Powtórzyliśmy toksykologię, wynik ma być na dniach, ale wydaje mi się, że przed śmiercią pani mąż został odurzony, tak że mogli z nim zrobić, co chcieli. Na przykład zastrzelić z przyłożenia, a broń włożyć mu do ręki.

– Rosjanie? – spytała Dominika, wciąż zszokowana.

Milewski pokręcił głową.

– Raczej nie, oni zawsze zabijają po coś. Jego absolutnie nie mieli powodu zabijać.

– To kto?

– Nie mam pojęcia. Wygląda jedynie na to, że zrobiła to ta sama osoba czy osoby, które zabiły też pani przyjaciółkę.

\*

W sali Zakładu Medycyny Sądowej trudno było oddychać. W powietrzu dominowała gęsta mieszanina lizolu, formaliny i słodkawej woni martwych ciał.

Opłacony przez Milewskiego laborant poprowadził ich przez pomieszczenie, w którym zwłoki, ułożone jedne nad drugimi na zardzewiałych mobilnych noszach, czekały na autopsję. Weszli do głównej sali z trzema kamiennymi stołami. Na stole pośrodku leżało ciało przykryte grubym wzmacnianym płótnem.

Uciekając myślami od tego, co za chwilę zobaczy, Dominika zaczęła zadawać sobie absolutnie pozbawione znaczenia pytania. Dokąd odprowadzane są ściekające wąskimi kanalikami płyny ustrojowe? Czy tkanina, którą przykryto ciało jej męża, jest jednorazowa, a jeśli nie, to czy ją piorą, co w ogóle z nią robią?

Laborant popatrzył na Milewskiego. To on był zleceniodawcą tego przedsięwzięcia i on płacił, poza tym pod tkaniną leżało ciało męża tej kobiety, więc na nią zwyczajnie spojrzeć nie miał odwagi. Milewski też trochę się bał, ale stłumił strach i zerknął na Dominikę, upewniając się, czy jest gotowa. Potem skinął w stronę pracownika.

W tym momencie sytuacja zmieniła się jednak dramatycznie – gdzieś na korytarzu dało się słyszeć kroki biegnących, ktoś krzychał, żeby sprawdzać kolejne drzwi.

– Uciekamy! – komisarz zareagował natychmiast i wlepił wzrok w laboranta. – Da się wyjść przez to pomieszczenie z tyłu?

– Tam jest tylko okno – odpowiedział mężczyzna.

– Krata? – rzucił Milewski, ale złapał już Dominikę za łokieć i pociągnął ją w tamtą stronę.

Nawet gdyby była tam krata, i tak nie mieli już wyjścia. Znajdujące się za niewielką ścianką działową drzwi do głównej sali sekcyjnej właśnie otworzyły się z hukiem.

W pomieszczeniu na tyłach na kilku przerdzewiałych stalowych noszach leżały przykryte niezbyt szczelnie derkami inne zwłoki. W głębi, na wąskiej ścianie było rzeczywiście okno, które prawdopodobnie ze względów higienicznych pozostawało lekko uchylone, a co jeszcze ważniejsze, jednak nie było w nim kraty. Milewski najpierw pomógł Dominice wejść na stalowy stół, a kiedy precyzyjnie się już przez wąską szparę zablokowanego o jakieś zbiorniki okna, sam wdrapał się na stół i przedostał na parapet po drugiej stronie. Na szczęście pomieszczenie było na parterze, więc skok z tej wysokości niczym nie groził. Najpierw jednak skoczył on, a następnie zaasekurował kobietę.

Znajdowali się na tyłach budynku. Do muru okalającego obiekt było może dwadzieścia kroków, ale komisarz wskazał oddalony o kolejne dziesięć załom muru, przy którym rosły gęste krzaki. Ruszyli od razu i po dziesięciu sekundach tkwili już między murem a krzewami. Teraz z budynku ani z podwórza nie było ich widać.

– Ktoś doniósł – odezwał się Milewski.

– Laborant?

– Niekoniecznie. Ktoś mógł zauważyć, jak wchodziliśmy – zasugerował. – Może jednak spodziewali się tej wizyty.

– Tylko kto? – Dominika spojrzała na niego pytająco. – Policja? ABW?

– Może Pokrzycki. Dla niego sprawa pani zniknięcia była najbardziej ambicjonalna.

– Czyli wiedzą już, że tu jestem.

– Obawiam się, że tak, ale weszliśmy, omijając wszelkie kamery, więc nie wiedzą, jak pani wygląda. No i nie wiedzą, jak się pani teraz nazywa. Czyli, można powiedzieć, wiedzą raczej mało. Idziemy? – Wskazał szczyt muru.

Pokiwała głową.

– Idziemy.

Podsadził ją na zwieńczenie muru, a ona podała mu rękę i pomogła się podciągnąć.

Chciała zobaczyć Mariusza właściwie od samego początku, to znaczy od chwili, gdy w piwnicy powiedział do niej ostatnie słowa, a kiedy Milewski przekazał jej, że nie żyje, myślała już wyłącznie o tym. Tylko po to tak naprawdę tu przyjechała. Zostawiła bezpieczną i spokojną sycylijską przystań, porzuciła plan ucieczki do Brazylii, który właśnie miał się zrealizować – wszystko po to, by móc go zobaczyć. Nagle, nie wiedzieć czemu, przypomniała sobie, co powiedział Bogdan, gdy rozstawali się na Sycylii.

„Proszę się tu trzymać. Jeszcze zobaczy pani męża i będzie mogła powiedzieć mu, co tylko będzie chciała, zapewniam”.

Nie udało się. Nie zobaczy go już nigdy, a jej ostatnim wspomnieniem pozostanie spojrzenie, którym obdarzył ją w piwnicy, po tym jak odsunął regał i wskazał jej przejście. A może tak będzie lepiej?

Może lepiej pamiętać żywego człowieka, niż pozwolić, by wszystkie radosne, nasycone emocjami wspomnienia zepchnął w niebyt jeden rzut oka na jego martwą twarz?

W tym momencie Dominika nagle zdała sobie sprawę, że tak tego nie może zostawić, że wydarzyło się już zbyt wiele strasznych rzeczy i że chociaż przez całe życie, właściwie od dziecka, była przyuczana do miłosiernego wybaczenia, teraz musi postąpić wbrew wszystkiemu, co jej wpajano, w jakimś sensie wbrew sobie. Nadszedł czas, by zrobić w końcu nie to, co wypadało, ale to, co należało. Runął właśnie budowany przez lata gmach jej życia, do którego wprowadziła się tak dawno, że już nie potrafiła sobie tego nawet przypomnieć.

– Co pani teraz zamierza? – spytał Milewski, gdy znaleźli się w jej samochodzie.

Dominika zastanawiała się przez chwilę, choć w zasadzie już nie musiała.

– Mam tu kilka spraw do załatwienia – odparła.

Przyglądał jej się czujnie.

– Kilka spraw?

– Tak. – Pokiwała głową.

Jakiś czas siedzieli znów w milczeniu, a ona myślała o smutku, który dostrzegła onegdaj na twarzy Mariusza.

– Pomoże mi pan? – zapytała nagle.

– Tak. – Skinął głową, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni i podał jej kopertę. – To list...

– List?

– Od Mariusza, do pani. Miałem go dostarczyć naszymi kanałami, ale nim zdążyłem, on... – Komisarz nie potrafił dokończyć.

Dominika wzięła białą, nieopisaną nijak kopertę i z pietyzmem schowała ją do torby po to tylko, żeby wyjąć chwilę później, kiedy Milewski wysiadł z samochodu.

Najpierw przebiegła szybko wzrokiem po literach i zdaniach, nie wnikając jeszcze nawet w ich treść. Sam charakter pisma, czyli charakter człowieka, jej ukochanego męża, był ważny. Pisała to jego dłoń, przelewając jego myśli. Kiedy? Może kilka, góra kilkanaście dni przed śmiercią, czyli przed chwilą w gruncie rzeczy, biorąc pod uwagę skalę wieczności, a nawet skalę ich kilkudziesięcioletniego pożycia. Powąchała kartkę, przesunęła parokrotnie opuszkami po literach. A potem, pełna lęku i smutku, a zarazem jakiejś dziwnej, frenetycznej ekscytacji, zaczęła czytać, delikatnie poruszając ustami, jakby własnym szeptem próbowała imitować jego głos...

Kochana Duomo,

nie rozmawiamy od bardzo dawna, głównie dlatego, że to byłoby zbyt niebezpieczne, przede wszystkim dla Ciebie. Przekazuję ten list przez komisarza Milewskiego. Nie wiedziałaś tego, ale to mój zaufany człowiek, może zresztą w tym koszmarnym świecie jedyny. Ani on, ani ja nie wiemy dokładnie, gdzie teraz jesteś, ale wiemy, komu trzeba przekazać ten list, by do Ciebie dotarł.

Nie wiemy dokładnie, ale ja wiem mniej więcej, gdzie jesteś. Mam nadzieję, że jest Ci tam dobrze, a przynajmniej nie najgorzej. Jeśli przyjdzie trudny moment, to zawsze możesz przypomnieć sobie, jak było nam wtedy, kiedy podróżowaliśmy tam razem. Mam świadomość, że może Ci być teraz bardzo ciężko, wiem też chyba dlaczego.

Nie potrafię przewidzieć, na ile ta świadomość Ci pomoże, ale chcę, byś wiedziała, że ja Ci wybaczam. Jednocześnie proszę Cię, żebyś Ty wybaczyła mi, bo przecież to, co zrobiłaś, nie wzięło się z niczego. Zawsze starałem się być w porządku i wszystko robić wedle przyjętych reguł. Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że to były wyłącznie moje reguły i moje w porządku, a Ty może potrzebowałaś innych reguł albo też tego, by choć czasem dla Ciebie było w porządku.

Wiem również, że dałaś się zepchnąć w rozpaczliwą sytuację i uliczkę bez wyjścia nie dlatego, że chciałaś ratować siebie, ale dlatego, że próbowałaś ocalić nasze małżeństwo i rodzinę, a pewno też moją, jak wiem już teraz, mało istotną, lecz wtedy jeszcze ważną niezwykle karierę.

Mam nadzieję, że nawet jeśli wyjedziesz bardzo daleko, co z całą pewnością powinnaś zrobić, to przyjdzie jeszcze taki dzień, gdy dane nam będzie się spotkać, a może także znów być razem. Kto wie, może to wydarzy się nawet wcześniej, niż myślimy.

Na razie jestem jeszcze tutaj i próbuję walczyć z coraz ciaśniej otaczającym mnie złem tego świata. Gdyby jednak zło tego świata przytłoczyło mnie do końca, to pamiętaj, że wybaczam Ci i proszę o wybaczenie.

Twój Mario

Mario... Kiedy powiedziała tak do niego po raz ostatni? Czy zanim to wszystko się zaczęło, czy po tym, gdy Ola wzbudziła już jej namiętność? Dominika siedziała kilka minut, jakby znów popadła w katatonię, próbując odnaleźć go gdzieś na dnie samej siebie. W końcu wybudziła się nagle, przekręciła kluczyk w stacyjce i ruszyła na kolejne spotkanie z osobą, która nie miała pojęcia, że ma się z nią spotkać.

Na Anię czekała w kawiarni na rogu Miodowej i Krakowskiego Przedmieścia. Wiedziała, że przychodzi tu zawsze koło południa na kawę i rogała, ona też trochę po ojcu lubiła powtarzalność rytuałów.

Córka zjawiła się równo kwadrans po dwunastej, zamówiła podwójne espresso i croissanta, usiadła przy oknie i wbiła wzrok w pustkę po drugiej stronie szyby. Wcześniej dwa razy przeszła obok siedzącej przy stoliku Dominiki, ale jej nie dostrzegła. Czy może raczej, zgodnie z tym, co przewidziała będąca obecnie Ireną Dominika, nie dostrzegła w krótko ostrzyżonej brunetce swojej mamy.

Ona zaś zbierała się chwilę w sobie. Tak naprawdę nie miała odwagi stanąć oko w oko z żadnym ze swoich dzieci, ale bała się, że jeśli teraz tego nie zrobi, to gdy to wszystko się zacznie, może już nigdy nie mieć po temu okazji.

Podeszła z kawą do stolika Ani.

– Mogę się dosiąść?

Dziewczyna podniosła głowę. Widać było, jak przez moment zbiera dane, łączy elementy, asocjuje okoliczności.

– Po co? – rzuciła, kiedy jej umysł doszedł wreszcie do właściwej konkluzji.

– Żeby posiedzieć – odparła Dominika intuicyjnie.

Ania w końcu wskazała ruchem głowy krzesło. Ona też była od zawsze uczona wybaczać.

– Jak to się stało? – zapytała Dominika.

Córka spojrzała na nią, po czym wróciła do lustrowania pustki za oknem.

– Dziwnie wyglądasz – powiedziała po jakimś czasie.



– Wiem. Tak wygląda kobieta, na którą mam wyrobione dokumenty – wyjaśniła Dominika. – Mniej więcej tak.

Znów było cicho między nimi. Wokół panował gwar rozmów, zza szyby dochodziły stłumione odgłosy miasta.

– Poszedł na masaż, tam gdzie zawsze. Ja pojechałam na uczelnię. Jak wróciłam, leżał we krwi na dywanie w salonie, pistolet miał w ręku. – Ania wciąż nie patrzyła na nią. – Tyle.

– Tata się nie zabił – Dominika odezwała się po dłuższej chwili.

Wydawało jej się, że jeśli ma mieć tylko kilkadziesiąt sekund na to, by coś przekazać, to ta informacja może być dla Ani najistotniejsza.

Dziewczyna nie skomentowała tego. Nadal próbowała znaleźć w przestrzeni za szybą coś, co przyniosłoby jej ulgę. Może jednak to, co właśnie usłyszała, coś dało, bo w kąciaku jej oka Dominika dostrzegła łzę.

– I co? – zapytała w końcu.

– I trzeba dojść do tego, kto to zrobił, i go ukarać.

– Jasne, i ty to zrobisz. – Ania uśmiechnęła się sarkastycznie.

– Tak, ja to zrobię – odparła Dominika zaskakująco zdecydowanie, po czym też się uśmiechnęła, ale ciepło.

Ania przyglądała jej się chwilę. Sarkastyczny uśmiech znikł już z jej twarzy.

– Przekaż też, proszę, bratu, że...

– Sama mu przekaz – córka wciąła się, nie pozwalając jej skończyć, a następnie dodała: – Muszę już iść.

Sekundę później wstała i ruszyła w kierunku drzwi. Na stoliku zostały niedopita kawa i nietknięty croissant. Jediną rzeczą, którą wzięła, była serwetka.

– Kocham cię, córeczko – powiedziała Dominika.

Czy Ania to usłyszała? Nie miała pojęcia, bo dziewczyna nie zareagowała w żaden sposób. Kiedy jednak przechodziła już po drugiej stronie witryny, spojrzała na Dominikę, a tej wydało się, że kiwnęła głową.

Trudno jest człowiekowi, który całą misterną konstrukcją mającą utrzymać go przy życiu musi kleić z tak drobnych i często wyobrażonych jedynie elementów.

Dominika dopiła kawę i podniosła się, by wyjść.

Po powrocie do hotelu raz jeszcze przeczytała list. Teraz zrobiła to już trochę spokojniej i dlatego głównie zwróciło jej uwagę ostatnie zdanie: „Gdyby jednak zło tego świata przytłoczyło mnie do końca...”. Czy to wyznanie człowieka zbliżającego się do momentu, w którym odbierze sobie życie? Raczej nie. Gdyby rzeczywiście chciał to zrobić, list miałby z całą pewnością formę bardziej pożegnalną. „Gdyby jednak zło tego świata przytłoczyło mnie do końca...” A więc przyszło zło i go pokonało. Spodziewał się tego, obawiał, ale sam sobie tego nie zrobił.

Uruchomiła komputer i weszła na maila, którego używała do komunikacji z Milewskim. W wiadomości wpisała: „Mariusz przed śmiercią był na masażu w salonie przy placu Tucholskim”, lecz nie wysłała jej, tylko umieściła w folderze „wersje robocze” i poszła pod prysznic. Kąpała się ledwie kilka

godzin wcześniej, ale od wyjścia z Zakładu Medycyny Sądowej miała poczucie, że wciąż tam jest. Woda w takich sytuacjach czasem pomaga. Jej niestety, przynajmniej za pierwszym razem, nie pomogła.

Godzinę później była w tajskim salonie masażu przy placu Tucholskim. Znała go, bywali tam z Mariuszem, gdy jeszcze wszystko wyglądało inaczej. Ją też tam znali, ale nie na tyle, żeby rozpoznać w Irenie Misiak, w którą się przedzierzgnęła.

W gruncie rzeczy nie miała pojęcia, po co w ogóle tu przyszła. Nie mogła przecież i tak zapytać o nic, co wiązałoby się z ostatnią wizytą Mariusza. Gdyby to zrobiła, ktoś jednak mógłby ją poznać. Zamówiła więc tylko masaż i w trakcie przyglądała się czujnie wszystkim i wszystkiemu. Jeśli Mariusz rzeczywiście został odurzony, zanim w domu ktoś przestrześlił mu głowę, to mogło do tego dojść właśnie tutaj. Z salonu do domu kilka ulic dalej mogli go już przewieźć nieprzytomnego – był wieczór, na wewnętrzny dziedziniec mógł niepostrzeżenie wjechać samochód, do którego by go zapakowali.

Dominika przyjrzała się rozmieszczeniu pokoi. Była tu parokrotnie, ale nigdy nie zwracała uwagi na takie rzeczy. Teraz zauważyła, że z sali w podziemiach, do której zresztą sama trafiła, było bezpośrednio przejście do drzwi na wewnętrzny dziedziniec budynku.

Mogło być tak, a mogło być zupełnie inaczej.

\*

– Po co pani tam poszła?! – Milewski zrugął ją, kiedy tylko wsiadła do samochodu, w którym czekał na nią w pobliżu salonu.

– Bo chcę wiedzieć – odparła, nie patrząc na niego.

– Zaraz nic pani już nie będzie wiedzieć, bo dopadną i panią – powiedział.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Są tam kamery? – zapytał w końcu.

Uśmiechnęła się delikatnie.

– Są.

Jednak jej wizyta może na coś się przydała.

– Jutro tam wejdę i zażądam wydania nagrań z ostatnich tygodni – rzekł, głośno myśląc. – Ale obawiam się, że okaże się, że akurat coś im się popsuło.

– Te Tajki to nic nie będą wiedziały, ale tam jest taka babka, która tym zarządza. Jeśli coś się wydarzyło, ona musi o tym wiedzieć – oświadczyła Dominika.

– Pewnie wie i na pewno nam nie powie. – Milewski pokręcił głową. – Nie mam nic na nią. Mogę postraszyć ją więzieniem, ale jeśli z drugiej strony grozi jej śmierć, to sama pani rozumie...

Pokiwała głową.

– Bardziej bym się skupił na tym spa na Warmii, tam musi być jakiś trop. Mamy samochód, o którym pani mówiłem. Przeanalizowałem dokładnie monitoring ze Stalowej. Ta toyota miała wgniecenie na tylnym błotniku. Później byłem jeszcze

raz na Warmii i ich wóz miał identyczne wgniecenie. Dysponuję zdjęciami z monitoringu i realnego samochodu. To już coś. A na tę babkę tutaj nie mamy nic. – Milewski wyjrzał przez boczną szybę.

Pod elegancko wyremontowany budynek, w którym mieścił się salon masażu, podjechało akurat nowe czarne bmw z przyciemnianymi szybami.

– A to? – Dominika wskazała na auto.

– Sprawdzę, ale fakt, że przychodzą tu bandziory, niewiele jeszcze znaczy. – Komisarz odpalił silnik i przejechał przed wejściem do salonu masażu, by zerknąć na tablice bmw. – Gdzie pani nocuje? – zapytał, kiedy zapisał już numery w notesie telefonu.

– W Ibisie przy Solidarności – odparła po sekundzie wahania.

– Odkąd pani przyjechała?

– Tak.

– To trzeba już zmienić hotel – stwierdził, po czym dodał: – Szczególnie teraz, gdy już wiedzą, że pani wróciła, należy zachować ostrożność. Wynajmę pani jakiś apartament w tych nowych blokach na Woli, na swoje nazwisko.

– A to moje nowe jest złe?

– Nie, że złe, ale lepiej, żeby pojawiał się jak najrzadziej – wyjaśnił.

Podjechali pod hotel, w którym Dominika zostawiła wcześniej samochód. Zgodnie z zaleceniem wymeldowała się, zapakowała rzeczy do tipo i przejechała na parking w Arkadii. Tam czekała mniej więcej kwadrans, odświeżając cały czas wiadomości na mailu. W końcu Milewski napisał, że czeka na nią pod apartamentowcem przy Kasprzaka na Woli.

Stał tuż przy Trasie Toruńskiej, na jednej z uliczek odchodzących od Kasprzaka, które były właściwie innymi uliczkami, ale i tak miały adres Kasprzaka.

W apartamentowcu towarzyszył jej do samego pokoju, idąc czujnie przed nią w taki sposób, żeby kamery widziały jego, a nie ją.

– Ma pani jakąś bluzę z kapturem albo czapkę? – zapytał, gdy znaleźli się już w środku.

– Mam i to, i to. A czemu pan pyta? – zdziwiła się.

– Jedna kamera jest na piętrze przy końcu korytarza, kolejna w windzie, potem w hallu i dwie przy wejściu, wewnątrz i na zewnątrz, więc proszę tak kombinować, żeby pani twarz cały czas była dla nich niewidoczna – wytłumaczył.

– Przecież oni mnie tu chyba nie szukają, poza tym mam zmienione włosy, twarz...

– Nie wiemy, ani gdzie, ani kto pani tak naprawdę szuka, więc strzeżonego, jak to mówią... – Popatrzył na nią, po czym delikatnie się uśmiechnął. – A poza tym tak bardzo nie jest pani zmieniona... na szczęście.

Pokiwała głową. Jego uśmiech trochę ją zaskoczył, choć może nie aż tak bardzo. Zawsze w głowie są dwa obiegi: ten racjonalny, który objaśnia świat w ramach obowiązujących reguł, i ten drugi, który doskonale wie, że nawet jeśli są jakieś reguły, to zgoła inne od tych, które uznaje ten pierwszy.

– Jutro zamierzam jeszcze raz pojechać do tego spa na Warmii. To praktycznie jedyny ślad, którego możemy się złapać – powiedział komisarz.

– Chce pan z nimi porozmawiać?

– Tak.

– Pojadę z panem – zaproponowała.

Pokręcił głową.

– Nie ma takiej potrzeby. I tak nie możemy tam pani ujawnić, a to, czego mam się dowiedzieć, wyciągnę od nich sam.

– Nigdzie nie możemy mnie ujawnić, nawet w windzie w tym apartamentowcu, ale ja chcę działać, więc nie będę tu siedzieć i czekać, aż pan rozwiąże sprawę. – Pokręciła głową mocniej niż on.

Popatrzył na nią chwilę w milczeniu.

– Dobrze. – Znów lekko się uśmiechnął. – Ale pod warunkiem, że tam pani nie wejdzie, że poczeka pani na mnie w samochodzie.

Teraz ona się uśmiechnęła.

– Zatem do zobaczenia o dziewiątej? – rzucił.

– A śniadanie mogę zjeść tu na dole, w kawiarni, czy to zbyt niebezpieczne?

– Proszę zjeść, ale po drodze... czapka i kaptur.

\*

Kiedy poszedł, Dominika rozpakowała rzeczy, zgodnie z zaleceniem włożyła czapkę z daszkiem oraz bluzę z kapturem i unikając na ile się dało kamer, wyszła z apartamentowca. Miała dziś jeszcze jedną rzecz do załatwienia.

Gdyby Milewski wiedział jaką, prawdopodobnie przykułby ją do grzejnika w mieszkaniu.

Kwadrans później siedziała w swoim tipo zaparkowanym nieopodal salonu masażu. Do zamknięcia salonu pozostało jeszcze pół godziny, a osoba, na którą czekała, wyjdzie z pracy prawdopodobnie po kolejnych dwudziestu minutach. Miała przed sobą niemal godzinę na rozmyślanie.

Odkąd przed prawie trzema tygodniami dowiedziała się o śmierci Mariusza, starała się za wszelką cenę unikać tego typu sytuacji. Do tej pory najtrudniejsze były momenty przed zaśnięciem albo, co zdarzało się częściej, noce, które zasnąć nie pozwalały. Wtedy smutek i wyrzuty sumienia stawały się tak dojmujące, że gdyby tylko miała siłę i nie miała dzieci, prawdopodobnie skróciłaby ten czas, jaki pozostał jej do wieczności. Takie były noce, najpierw na Sycylii, potem w drodze i tu, w hotelu. Dlatego dni starała się traktować jako czas na regenerację, czyli na niemyślenie o tamtym. Osiągała to zaś głównie dzięki temu, że unikała takich momentów jak ten, bez przerwy była w biegu, a jeśli nie było po co biec, wymyślała sobie jakieś, choćby fikcyjne, zadania. Teraz nie była pewna, kiedy

oczekiwana osoba wyjdzie z salonu, więc nie mogła pójść na przykład do sklepu i kupić sobie jogurt, na który zresztą nie miała kompletnie ochoty.

Recepcjonistka Grażyna, bo to na nią właśnie czekała, wyszła pięć minut po zamknięciu salonu. Musiała się gdzieś spieszyć, gdyż prawie biegiem ruszyła w stronę przystanku autobusowego na Mickiewicza. Dominika włączyła silnik i zajęła jej drogę dokładnie wtedy, kiedy przechodziła Tucholską. Gdy kobieta próbowała obejść z przodu samochód, sięgnęła przez siedzenie pasażera i otworzyła drzwi.

– Proszę wsiąść – powiedziała z uśmiechem.

– Słucham? – Kobieta, wściekła na nią za ten manewr, była teraz w poważnym szoku.

– Proszę wsiąść, podwożę panią – wyjaśniła Dominika.

– Chyba panią pogięło. Kim pani w ogóle jest? – Recepcjonistka ruszyła do przodu, ale Stawecka zrobiła to samo.

– Powiedzmy, że jestem znajomą. Wsiadaj! – Dominika już się nie uśmiechała.

– Spierdalaj! – Ton rozmowy wyraźnie eskalował.

Dominika sięgnęła pod dzinsową kurtkę i wyciągnęła argument nie do odparcia.

– Wsiadaj albo nie dojdiesz tam, gdzie idziesz!

Kobieta spojrzała na nią, na pistolet w jej dłoni, a potem znów na nią. W wyrazie twarzy Dominiki musiało być coś znacznie bardziej przerażającego niż w glocku. Wsiadła.

– Zamknij. – Stawecka wskazała otwarte na oścież drzwi. – Dokąd jedziesz?



– Do dziecka, muszę je odebrać z korepetycji – odparła tamta drżącym głosem.

– Dokąd, a nie po co. – Dominika ruszyła w stronę ulicy Mickiewicza, na którą wcześniej próbowała dotrzeć Grażyna.

– Wiem, kim pani jest... – Kobietę najwyraźniej olśniło. – Wiem, kim jesteś, teraz skojarzyłam.

– Dobrze. Ale na przyszłość, jak kogoś rozpoznasz w takiej sytuacji, to nie mów mu tego. – Dominika popatrzyła na nią. – Dokąd?

– Na Wrzeciono.

– Okej, to blisko. – Wyjechała z Książnika na Mickiewicza. – Szłaś do metra.

Recepcjonistka pokiwała skwapliwie głową.

– Tak.

– Jeśli już wiesz, kim jestem, to wiesz też, o co cię zaraz zapytam. Możesz się nawet przygotować. – Stawecka uśmiechnęła się nagle chłodno.

– Nie wiem, co się wtedy stało. – Kobieta rzeczywiście wiedziała już, o co Dominika ją zapyta.

– Co się stało? Zabili mi męża – wycedziła Dominika i posłała jej takie spojrzenie, jakim jeszcze nigdy nie obrzuciła nikogo.

Wszystkie te nieprzespane noce, a także ogrom cierpienia, kiedy on jeszcze żył, a ona nie mogła go nawet zobaczyć, ale też wcześniej, kiedy widziała go co dzień, a serce jej pękało, bo z każdym oddechem coraz bardziej okradała ich relację z prawdy i z przyszłości, w końcu jego list do niej – wszystko to skupiło się w tym jednym spojrzeniu.

Grażyna nieomal poczuła uderzenie lodowatego podmuchu. I w tym momencie przestraszyła się już nie na żarty.

– Nie wiem, kto to był. Weszli, kazali nam siedzieć cicho i poszli na dół. Mariusz, to znaczy pan Stawecki, pani mąż, już stamtąd nie wyszedł, a nam powiedzieli, że jeśli kiedykolwiek ktokolwiek się dowie, to pozabijają nas i nasze dzieci...

– To czemu mi mówisz? – Dominika wciąła się nagle.

Kobieta przez chwilę milczała, drżały jej ręce i usta.

– Bo zabili pani męża... Bo się boję... – odparła w końcu.

Stawecka zatrzymała samochód między innymi stojącymi wzdłuż Mickiewicza.

– Kto to był?

– Nie wiem. – Grażyna pokręciła głową wciąż przerażona.

– Przychodzi do was trochę takich karków. To któryś z nich?

– Nie, tamci byli inni. Eleganccy, też przypakowani, ale nie tacy klasyczni bandyci z bejcy z czarnymi szybami. – Kobieta starała się mówić jak najwięcej, jakby była przekonana, że tylko zagadując sytuację, może uratować życie.

– Język? – Dominika zerknęła w lusterko, upewniając się, czy nikt nie czai się za nimi.

– Język? – Grażyna nie zrozumiała pytania.

– Mówili po polsku, mówili czysto, zaciągali, Rosjanie, Białorusini...? – doprecyzowała Stawecka.

– Nie, czysto po polsku i nawet tak jakby kulturalniej niż normalnie – kobieta zdecydowanie zaprzeczyła.

– Opisz ich.

– Dwóch mężczyzn, w garniturach, pod krawatem. Jeden taki obszerniejszy, miał spłaszczony nos i sporą bliznę nad prawym łukiem

brwiowym, trochę jak bokser, ale wszystko miło i ładnie, a ten drugi, młodszy, szczuplejszy, taki zwinniejszy jakby, bardziej chyba dla towarzystwa, może żeby pomóc go nieść...

Paplająca Grażyna zamilkła w pół słowa, bo zdała sobie sprawę, że nie mówi o jakimś tam „onym”, lecz o mężu kobiety, która mogła ją w każdej chwili zabić.

– Czemu nijak nie zareagowałyście? – Dominika zapytała po chwili.

– Mówiłam już. Powiedzieli, że jeśli to zgłosimy, zabiją nas i nasze rodziny – odparła cicho Grażyna.

Dominika popatrzyła na nią.

– I uwierzyłyście.

– Tak. Byłyśmy tylko z koleżanką, na dole jeszcze te nasze Tajki, ale one nie reagują na nic. W tych facetach, szczególnie w tym bokserze, było coś takiego... nie dało się nie uwierzyć – wyjaśniła, wytrzymując po raz pierwszy w ciągu całej rozmowy jej spojrzenie.

Dominika powoli zaczęła wyjeżdżać z zatoczki.

– Trzy rzeczy.

– Tak?

– Po pierwsze, nigdy mnie nie widziałaś, a pamiętaj, że do zabijania jestem zmotywowana bardziej niż oni, bo ja straciłam bliską osobę, a oni mi ją odebrali.

– Tak.

– Po drugie, daj mi swój numer. Jak ci wyślę zdjęcie, odpiszesz, czy to ci, czy nie.

– Pięć zero siedem sześć trzy osiem dziewięć dziewięć zero.

– Wpisz mi tutaj. – Dominika wyjęła telefon z wewnętrznej kieszeni kurtki i podała Grażynie.

– A po trzeciej?

– A po trzeciej... Gdzie na Wrzecionie? – Zerknęła na kobietę i widząc jej przerażenie, dodała: – Podwiozę cię, bo się spóźnisz.

Następnego ranka równo o dziewiątej pojawiła się wiadomość na mailu. Milewski pisał, że czeka na nią w tym samym miejscu, w którym spotkali się poprzedniego dnia.

Czekał.

Dominika wsiadła do jego samochodu i po krótkim przywitaniu opowiedziała mu o wieczornej rozmowie z Grażyną. W nocy zastanawiała się długo, czy to zrobić, nad ranem zaś uznała, że skoro on naraża swoją karierę, a może też coś więcej dla rozwiązania tej sprawy, to nie może być wobec niego niełojalna. Poza tym nie była do końca przekonana, czy recepcjonistka nie powie komuś o spotkaniu, więc istniało ryzyko, że właśnie spaliła swoją przykrywkę.

– Bardzo niemądrze. – Milewski był naprawdę zły. – Jeśli byłaś tak przekonana, że ona coś wie, trzeba było mnie to przekazać.

– I co byś zrobił? Nastraszył ją przesłuchaniem na komisariacie? – zapytała nieprzekonana, choć dociśnięta też trochę poczuciem winy.

– Coś bym wymyślił. Mam swoje sposoby, to moja praca. A ty co zrobiłaś? – zaciekawiał się.

– Zagroziłam jej śmiercią – odparła krótko.

– Wspaniale! Do długiej listy zarzutów dochodzą jeszcze groźby karalne. – Pokręcił głową. – Osiągnęłaś coś? – dopytał z lekką ironią.

Dominika poczuła się urażona, więc chwilę milczała, co tylko utwierdzało go w przekonaniu, że nie osiągnęła nic.

– Dwóch facetów, eleganccy, kulturalni, jeden o wyglądzie boksera. Mam rysopisy i obietnicę, że jak pokażę zdjęcia, to ona mi to potwierdzi – odezwała się w końcu.

– Co dwaj eleganccy...? – zaczął zaskoczony, choć nadal trochę protekcjonalnie.

– Eleganccy wywieźli stamtąd nieprzytomnego prawdopodobnie Mariusza – odpowiedziała, nie patrząc nawet na niego.

– Rosjanie? – rzucił zawstydzony tym, że jednak nie miał racji, i zakłopotany swoją ironią dodał: – Przepraszam.

– Dziwne, ale chyba nie. – Pokręciła głową. – Nasi.

W drodze do Olsztyńska zjechali na chwilę z trasy szybkiego ruchu do baru, który mieścił się przy starej trasie gdańskiej i był niegdyś często odwiedzany. Teraz wprawdzie stracił mocno na popularności, ale jakby na przekór temu zyskał jeszcze

na jakości wyrobów, które od zawsze były, jak twierdził Milewski, wybitne.

Zupa rybna i wędzona sielawa z chlebem rzeczywiście były niezapomnianym doznaniem.

– Dużo jeździsz do Gdańska? – zagadnęła Dominika.

– Jeździłem dawniej, jak ten bar stał przy samej drodze – odparł.

Stawecka poczuła, że za tą zdawkową odpowiedzią kryje się jakaś dłuższa opowieść, może ta, którą obiecał jej kiedyś, ale ponieważ nie pociągnął tematu, nie dopytywała. Jakiś czas siedzieli, kontemplując ciszę i zapach świeżych smażonych ryb.

– Jeśli lubisz wędzone, to mogę ci wziąć węgorza do domu. To taki z tych tutejszych, nie z chińskiego bajora. – Uśmiechnął się.

– Do domu? – Też się uśmiechnęła, lecz była w tym nuta smutku. – Ja nie mam domu.

Półtorej godziny później byli w Dorotowie, gdzie nad niewielkim jeziorem mieścił się ekskluzywny hotel państwa Morawskich, ten sam, w którym Dominika po raz pierwszy zbliżyła się z Olą i z którego pochodziły nagrania wywracające do góry nogami jej życie. Potem nagrań i zdjęć było zresztą znacznie więcej, ale to te rozpoczęły ostatni cykl w jej życiu, w tamtym życiu.

Nie wjechali razem na teren spa. Dominika dostała od komisarza lornetkę i miała czekać na niego w pobliskim zagajniku. Sam jednak widok zabudowań – dużego, krytego gontem drewnianego budynku, w którym mieściły się basen i sauna, oraz domku, w którym spały tamtej nocy – przywoływał zepchnięte wcześniej z ogromnym trudem w głąb podświadomości wspomnienia. Nie chciała ich, bo wciąż na nowo uświadamiały winę, którą ponosiła, ale z drugiej strony było w nich coś tak ekscytującego, że gdy już się pojawiły, za nic nie udawało jej się zagonić ich z powrotem do zagrody niepamięci.

– Jadę. – Milewski popatrzył na nią z empatią, jakby wiedział, o czym myśli. – Jeśli nie wrócę za godzinę, zadzwoń, proszę, pod ten numer. – Podał jej kartkę, po czym dodał: – A jeśli tam nikt się nie zgłosi, to po prostu na 112 i powiedz, że życie policjanta jest zagrożone. Wtedy działają przeważnie szybciej.

Dominika przez sekundę zastanawiała się, kiedy właściwie przeszli na ty, ale po pierwsze, nie miało to teraz znaczenia, a po drugie, było miłe, więc nie zamierzała dłużej tego roztrząsać.

– Jeśli masz takie obawy, to może lepiej od razu wjechać tam ze wsparciem – zasugerowała.

Pokręcił głową.

– Nie mam obaw, to tylko na wszelki wypadek. Poza tym, jak wejdziemy oficjalnie, z kwitami i prokuratorem, to nie powiedzą nam już nic, a tak spróbuję się z nimi dogadać.

– Dogadać?! – zapytała oburzona, bo nienawidziła tych ludzi i chciała, żeby ponieśli konsekwencje.

– Bez obaw. – Pokręcił głową i znów jakby patrząc przez nią na wylot, rzucił: – Nie wywiną się.

Kiedy odjechał w stronę zabudowań, Dominika została ze wspomnieniami, których nienawidziła, kochając je jednocześnie. Jak cały zresztą tamten okres swojego życia.

Spacery. Tak, ten element był od początku nie mniej ważny w ich relacji niż to, co działo się między nimi z nastaniem nocy.

Nawet w Warszawie, gdy Dominika przyjeżdżała na Stalową w wiadomym celu, zawsze najpierw szły się przejść. To była swoista gra przedwstępna, ale też forma wzajemnej terapii i chyba po prostu normalna przyjaźń. A jeśli była przyjaźń, to Aleksandra nie mogła tego wszystkiego zrobić na zimno, prawda?

Cholerne pytania.

Czy to w ogóle zdarzyło się naprawdę, czy może od początku Dominika brała udział w jakimś koszmarnym przedstawieniu? Dowie się tego kiedyś? Od kogo?

Paweł, jeszcze niedawno komisarz Milewski, dojechał tymczasem pod główny budynek, w którym mieściła się recepcja, i wszedł do środka.

Chwilę zajęło mu namówienie recepcjonistki, żeby sprowadziła któregoś z właścicieli. Przedstawił się jako pracownik sanepidu, który przybył z nieformalną na razie wizytą. Dziewczyna, choć nie była, zdaje się, przesadnie lotna, w końcu zrozumiała, że nie może zaryzykować odesłania go z kwitkiem, bo ludzi z Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, gdy złożą w ośrodku formalną wizytę, odesłać się już nie da. Wówczas zaś wszystkie konsekwencje niezapobieżenia temu spadłyby na nią.

Barbara Morawska, kobieta o skandynawskiej urodzie, zjawiała się w recepcji pięć minut później. Ona nie wątpiła w doniosłość jego wizyty i przyjęła go z pełnymi honorami, proponując od razu obiad na koszt firmy. Milewski, który recepcjonistce przedstawił się jako inspektor Korchuć, obiadu odmówił, ale poprosił o rozmowę na osobności. Zgodziła się bez mrugnięcia okiem, a dziewczynie kazała przynieść kawę.

– Nie jestem inspektorem sanepidu – zaczął Milewski, gdy tylko usiedli na ludwikach w jej nie wiedzieć czemu barokowo urządzonej gabinecie.

– Czyli? – Nie wydała się przesadnie zaskoczona, z drugiej strony jednak wyglądało na to, że jej surowa ekspresja nie jest w stanie pomieścić w sobie formuły zaskoczenia.

– Czyli... – Komisarzowi przyszło do głowy, by znów podać fałszywe dane, lecz stwierdził, że drugi raz to się nie uda, bo ona zażąda weryfikacji, więc sięgnął do kieszeni po legitymację. – Komisarz Paweł Milewski, Komenda Stołeczna Policji.

Chłodna Morawska wnikliwie obejrzała dokument.



– Miło mi pana poznać, komisarzu. A dlaczego właściwie nie przedstawił się pan tak od razu Julii na recepcji? – zaciekała się.

– Nie chciałem, żeby osoby postronne wiedziały o wizycie policji u państwa. To źle? – Milewski był przygotowany.

Tak naprawdę chodziło o coś innego. Gdyby od razu przedstawił się jako policjant, prawdopodobnie nie poznałby właścicielki. W każdym razie nie poznałby jej już dziś.

– Nie, to dobrze, dziękuję panu, ale my nie mamy żadnych tajemnic przed personelem. Jesteśmy uczciwą firmą, wizyta policji nie stanowi tu dla nikogo powodu do obaw. – Uśmiechnęła się.

– A często się zdarzają? – Komisarz był szybki.

– Nie, no nie. Ale gdyby, powiedzmy... – Po raz pierwszy wyglądała na lekko wytrąconą może jeszcze nie z równowagi, ale przynajmniej z rytmu swoich jaszczurczo spowolnionych czterech uderzeń serca na minutę.

– W kwestii tajemnic... – Milewski sięgnął po komórkę, podłubał w niej chwilę i w końcu obrócił ekranem do kobiety.

Na nagraniu słabej, ale wystarczającej jakości widać było wnętrze pokoju, w którym Aleksandra rozmawiała z Dominiką, siedząc na łóżku. Dominika nie miała pojęcia, że Milewski dysponował tym nagraniem od miesięcy. Obejrzał je po raz pierwszy jakiś czas po śmierci Aleksandry, a przekazał mu je nie kto inny jak Mariusz.

– Co to? – Kobieta zdawała się znów spokojna, ale właśnie to „zdawała się” było kluczowe.

– To, jak pani doskonale wie, pokój w jednym z państwa ekskluzywnych domków i rozmowa poszukiwanej Dominiki Staweckiej z nieżyjącą Aleksandrą Myśliwiec. Na razie rozmowa, później zaczną się tu dziać też inne rzeczy, ale to również doskonale pani wie, bo zna pani

to nagranie. – Milewski uśmiechnął się chłodniej nawet niż ona wcześniej.

Morawska pokręciła głową.

– Nie znam tego nagrania.

Była nadal spokojna, ale gdzieś spod spodu delikatnie zaczęło wyzierać poirytowanie. Komisarz przeczesał włosy, dotykając przy tym dżinsowej kurtki i upewniając się, że glock jest tam, gdzie być powinien.

– To jest rzeczywiście w ósemce chyba, a te panie może i u nas kiedyś były, ale nie wiem nic ani o tym nagraniu, ani o kamerze w pokoju. Zapewniamy naszym klientom pełną dyskrecję. Coś takiego nie mieści mi się w głowie. – Spróbowała teraz zagrać lekkie oburzenie, lecz jej skromne możliwości aktorskie sprawiły, że była mało przekonująca.

– Te panie były na pewno. Pani Myśliwiec, o ile mi wiadomo, wraz z mężem bywała u państwa znacznie częściej, przyjaźniliście się nawet. – Milewski zaczął już uzyskiwać wyraźną przewagę w pojedynku o miano chłodniejszego w sarkazmie.

– Owszem, państwo Myśliwiec odwiedzili nas parokrotnie. Że się przyjaźniliśmy, to chyba za dużo powiedziane, ale znaliśmy się z całą pewnością. Od dość dawna jednak już ich u nas nie było. – Morawska znów włożyła swoją ulubioną maskę kompletnego braku ekspresji.

– Nie było od dość dawna, bo pani Myśliwiec, jak wspomniałem, nie żyje. Została bestialsko zamordowana. – Komisarz też nie emanował teraz emocjami.

– O Boże, nie wiedziałam. To straszne.

Zamiast żalu, zdziwienia czy przerażenia pojawił się jakiś grymas, jakby niesmaku. Milewski odniósł wrażenie, że pomyliła warianty twarzy.

– Istotnie, to straszne. – Pokiwał głową i przyglądał jej się chwilę. – A co gorsza, ten dramat przywołuje kolejny problem, z jakim się u pani zjawiłem... – Zamilkł i upajał się jej lękiem, bo choć wciąż nie było go widać, wyczuwał go już szóstym zmysłem.

– Problem? – Nie wytrzymała i odezwała się pierwsza.

– Tak. Otóż proszę sobie wyobrazić, że w pobliżu domu, w którym zamordowano panią Myśliwiec, na nagraniach monitoringu jednego z banków ujawniliśmy samochód.

– I? Czemu to problem?

– Bo to państwa samochód. – Komisarz uśmiechnął się z satysfakcją.

– Jaki? – zdziwiła się Barbara, a on po raz kolejny skonstatował, że absolutnie nie nadaje się na aktorkę.

– Toyota land cruiser. Uprzedzę od razu pani deklarację, że nie macie takiego samochodu. Nie macie, bo go sprzedaliście, a nowy właściciel, wasz znajomy zresztą, szybko go przemaalował. Dodam też, że ów samochód ujawniliśmy nie dzięki tablicom, bo te były kradzione, ale na podstawie widocznych uszkodzeń – objaśnił Milewski i spojrzał na nią ze spokojem.

Wiedział doskonale, co ona teraz powie, wiedział też, jak zareaguje na jej słowa. Mimo to sytuacja absolutnie go nie nudziła. Lubił bandytów przygwożdżonych do muru, lubił również przygwaźdzać ich żony, które same wprawdzie nie popełniały zwykle przestępstw, ale bez oporów korzystały z tego, co ich mężowie uzyskiwali w drodze bandyckich wyczynów, i robiły to z pełną świadomością, żona bandyty bowiem musi być inteligentna i czujna, choćby po to, by móc pozostać jego żoną jak najdłużej.

– Ale skąd pan wie to wszystko, skoro auta już nie ma i jest inaczej pomalowane, jak pan twierdzi? – powiedziała, co miała powiedzieć.

– Stąd, droga pani, że byłem tu wkrótce po zabójstwie i wtedy jeszcze samochód był i nie został przemaalowany, a ja mam mnóstwo jego zdjęć w tym miejscu, nawet z pani mężem za kierownicą – odpowiedział, jak miał odpowiedzieć.

– W tej sytuacji muszę iść po męża, bo ja się w ogóle nie znam na samochodach. – Morawska po raz pierwszy spróbowała udąć głupią blondynkę, a to dowodziło ponad wszelką wątpliwość, że jest zdenerwowana.

Czyli jednak mogłaby grać, ucieszył się Milewski. Ktoś mu kiedyś tłumaczył, że aktorstwo to po prostu kwestia dotarcia w końcu do własnych emocji, najlepiej tych silnych. Na przykład do strachu przed utratą dobrze umoszczonego żyćka, pomyślał.

Barbara wstała i ruszyła do drzwi. Gdzieś w połowie drogi udało jej się na tyle zapanować nad paniką, że przypomniała sobie, iż wcześniej grała Królową Śniegu.

– Może napije się pan czegoś jeszcze oprócz kawy? – zapytała, próbując się uśmiechnąć, ale można było dostrzec, że uśmiech jest zaburzany przez delikatnie drgający kącik ust.

Milewski pokręcił głową.

– Nie, nie, dziękuję pięknie. Ustalę tylko ten drobiazg i będę leciał.

Mąż zjawił się po chwili. Był elegancko ubranym, uśmiechniętym chamem o pięknie wypielęgnowanych dłoniach.

– O co panu chodzi? – Popatrzył na Milewskiego z góry, choć był od niego niższy.

Komisarz milczał spokojnie, a gospodarz zreflektował się najwyraźniej, bo zaczął rozmowę raz jeszcze, w zupełnie innym tonie.

– Przepraszam, załatany jestem, nie przywitałem się. Dzień dobry, Zbigniew Morawski. – Wyciągnął dłoń.

Milewski uściskał ją, chociaż z wyraźną niechęcią.

– Dzień dobry, komisarz Milewski, Komenda Stołeczna Policji. Chodzi mi, proszę pana, o to, że należący do państwa samochód był kilka miesięcy temu widziany w pobliżu miejsca zbrodni, gdy tej zbrodni dokonywano. Mówię to panu, mimo że jestem przekonany, że małżonka i tak już to przekazała. – Patrzył na Morawskiego.

O ile kobieta próbowała kilkakrotnie z marnym skutkiem wyrazić żal bądź zdziwienie, o tyle twarz jej męża zdawała się mówić: „Mam cię w dupie, a to, że się uśmiecham, to tylko wymuszony pozór”.

– Nie sędzę, by to było możliwe. – Zbigniew pokręcił głową, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Milewski nie spuszczał go z oczu.

– A jednak.

– Czy pan działa z jakiegoś nakazu? – Wyraz twarzy się zmienił. Przymilność wyparowała, a miejsce protekcjonalności zajęła zwyczajna wrogość.

W końcu zbliżyli się choć trochę do tak zwanej prawdy czasu.

– Nie, na razie prowadzimy jedynie działania śledcze – odparł Milewski. – Jeśli państwo nie chcą mi w tym pomóc, to oczywiście państwa decyzja, ale nie muszę chyba dodawać, że taka niechęć do współpracy jest przeważnie traktowana jako nieprzypadkowa.

Im dziwniej ci ludzie zaczęli się zachowywać, tym większej pewności siebie nabierał.

– Nie chodzi o to, że nie chcemy panu pomóc, tylko o to, że pańskie oskarżenia są bezpodstawne. Dlatego pytam: czy ma pan nakaz?

– Nie oskarżamy państwa o nic. Mówię jedynie, że należący do was samochód jakiś czas temu zarejestrowaliśmy w pobliżu miejsca zbrodni w Warszawie. To może być oczywiście zbieg okoliczności, ale że wcześniej nagrywaliście też tutaj nieżyjącą Aleksandrę Myśliwiec, to mamy wrażenie, że statystyka państwu nie sprzyja. – Komisarz uśmiechnął się.

– Mówi pan o swoich działaniach w liczbie mnogiej. Czy ktoś pana do nas wysłał? Jakiś przełożony? Jest z panem ktoś jeszcze przy tej sprawie? – Morawski, nie wiedzieć czemu, też się teraz uśmiechał.

– A co to pana właściwie obchodzi? – Milewski wyczuł, że coś zaczyna mocno nie grać.

Było już jednak za późno. W tym momencie Zbigniew Morawski spojrział gdzieś za niego. Milewski chciał się obrócić, ale nie zdążył. Chwyciło go dwóch mężczyzn, a ktoś przyłożył mu do ust i nosa szmatkę nasączoną czymś, co pachniało bardzo intensywnie. Próbował się jeszcze szarpać, nie nabierając powietrza, lecz wkrótce dalsze wstrzymywanie oddechu stało się niemożliwe. W końcu wciągnął zapach do płuc i po chwili zgasło światło.

Dominika przyglądała się zabudowaniom przez lornetkę.

Odkąd pół godziny wcześniej Paweł wszedł do budynku z napisem „Recepcja”, właściwie nic się nie wydarzyło. Teraz jednak wyszedł z niego rosły mężczyzna, który ku jej zaskoczeniu najpierw rozejrzał się czujnie, a następnie wsiadł do samochodu Milewskiego i odjechał nim gdzieś.

Zastanawiała się przez chwilę, czy nie chodzi przypadkiem o to, że ktoś poprosił o przestawienie auta komisarza, a ten rozmawiał, więc nie mógł tego zrobić, szybko jednak zdała sobie sprawę, że usiłuje sama

siebie okłamać. Milewski nie dałby nikomu kluczyków od służbowego wozu, tym bardziej ludziom, wobec których miał uzasadnione podejrzenia. Nie minęła wprawdzie godzina, po której miała zacząć działać, ale to, co się właśnie wydarzyło, przyspieszyło bieg zegara.

Wstała z pieńka, na którym siedziała do tej pory, odbezpieczyła glocka i ruszyła przez las drogą, która wiodła do parkanu okalającego spa Morawskich i pozwalała je obejść. Skoro bowiem nie widziała, by komisarz wyszedł z hotelu przez budynek recepcji, to być może wyszedł bądź został wyprowadzony od tyłu.

Po pięciu minutach była w gęstym brzozowym zagajniku, który rósł pomiędzy budynkami a brzegiem jeziora i otaczał tym samym hotel od jego północnej strony, czyli niejako od zaplecza. Jej uwagę zwrócił niewielki budynek techniczny, który prawdopodobnie mieścił urządzenia obsługujące basen, a także ogrzewanie i klimatyzację obiektu. Przy jego stalowych drzwiach stał, paląc papierosa, rosły mężczyzna w skórzanej kurtce i spodniach od dresu. Tak ubrać może się tylko bandyta z najniższego szczebla kryminalnej hierarchii, pomyślała.

Chwilę później znalazła w parkanie miejsce osłonięte stojącą tuż przy nim niewielką komórką na pojemniki na śmieci. Przeskoczyła płot i ruszyła wzdłuż niego w stronę budynku technicznego. Gdy była już blisko, do bandziora w dresie podszedł drugi, wyższy, zdaje się, rangą, bo już nie w spodniach od dresu, ale w czarnych dżinsach.

– Siergiej już w drodze, będzie za godzinę – powiedział ten w dżinsach.

– A potem co? – zapytał dresiarz, częstując go papierosem.

– Potem trzeba będzie pozbyć się ciała. – Wyższy rangą i niższy wzrostem wyjął papierosa z paczki.

– Tak jak zwykle? – Dresiarz podał mu ogień.

Tamten zapalił i pokiwał głową.

– Ale to pies jest – dresiarz zasiał wątpliwość.

– I chuj, że pies, tym bardziej musi zniknąć bez śladu.

Dominika odczekała za rogiem, aż wypalili i niższy oddalił się w stronę zabudowań hotelowych. Gdy dresiarz został sam, wyszła do niego.

– Przepraszam, którądy na basen? – zapytała.

– Tam. – Wskazał niski, kryty gontem budynek, którego fragment wystawał zza hotelu, po czym spojrzał na nią, jakby nagle zdał sobie sprawę, że przyszła od strony, od której nie powinna, bo tam niczego nie było. – A pani co tu robi w ogóle?

Zaraz zrozumiał jednak, że przynajmniej w najbliższym czasie nie otrzyma odpowiedzi. Ćwierć sekundy później poczuł chłód punktowo przyłożonej do głowy stali. Wiedział, co to za uczucie, nieraz miał z nim do czynienia i zawsze wtedy zastanawiał się, czy to będzie ten ostatni raz.

– Otwórz drzwi i zachowuj się poprawnie, to może będziesz żył – Dominika dała mu strzęp nadziei na to, że jeszcze tym razem się uda.

– Chyba cię pojebało – próbował oponować, gdyż głupotę miał we krwi.

Stawecka złapała go za mięsień kapturowy i ścisnęła tak mocno, że zgiął się z bólu.

– Chyba tak. Otwieraj te drzwi.

Chciał sięgnąć do kieszeni – może po klucze, a może po coś innego. Dominika ubiegła go i wyjęła z niej najpierw wpiętego do kabury walthera, a po chwili również klucze. Otworzyła stalowe drzwi i pchnęła dresiarza przed sobą.



Milewski pół leżał, pół siedział przypięty kajdankami do jakiejś rury. Wzrok miał lekko błędny, w ustach zaś szmatę. Pchając dresiarza lufą glocka, Dominika podeszła do niego i wolną ręką wyjęła mu knebel.

– Skurwysyny – wycharczał.

Stawecka spojrzała na bandziora.

– Kluczyki.

Pokręcił tylko głową i uśmiechnął się głupawo, przeładowała więc broń i wraziła mu ją prosto w krocze. Nie uśmiechała się, a i on przestał zaraz i wskazał drugą wewnętrzną kieszeń swojej mało gustownej czarnej skóry. Nie cofając pistoletu, Dominika wymacała kluczyki i rozkuła Milewskiego, a ten wpiął dresiarza na swoje miejsce, po czym zabrał mu radio, wepchnął w usta knebel i wziął od Dominiki jego walthera.

Następnie oboje bez słowa ruszyli do drzwi.

\*

Do hotelu weszli od tyłu, drogą, którą pół godziny wcześniej wyprowadzono z niego komisarza. On szedł przodem, znał już bowiem z grubsza meandry tutejszych korytarzy. W hallu recepcjonistka chyba zorientowała się, że coś jest nie do końca tak, jak być powinno, więc Milewski zabrał jej komórkę i wyrwał kabel telefonu stacjonarnego.

– Gdzie szef i szefowa? – rzucił.

– W biurze na pierwszym piętrze – odparła szybko, a on odniósł wrażenie, że z dwojga złego woli jego niż swych przełożonych.

Wprowadził ją do pokoju dla obsługi i zamknął pomieszczenie kluczem, który sama podała mu bez słowa. Ogólnie wszystko odbywało się w ciszy. W hotelu nie było zbyt wielu gości, poza tym wszyscy

prawdopodobnie i tak kręcili się po okolicy w poszukiwaniu ukojenia lub wrażeń.

Na pierwszym piętrze mieściły się sale konferencyjne i jadalnia, a na końcu korytarza, naprzeciwko siebie dwoje drzwi z tabliczkami „Prezes” i „Wiceprezes”, na których widniały imiona Morawskich. Dominika spojrzała na Milewskiego, ten zaś pokazał, żeby się rozdzielili. Ona ruszyła do Barbary, on wszedł do Zbigniewa.

– Dzień dobry, nie wiem, czy mnie pani poznaje – zagaiła Stawecka, gdy nie zważając na protesty sekretarki, wkroczyła przez drzwi z jasnego litego drewna do gabinetu pani wiceprezes.

– Nie, chyba nie. A w czym mogę pomóc? – Barbara Morawska uśmiechała się nieszczercze, jednocześnie próbując znaleźć coś dłonią pod biurkiem.

Dominika podniosła broń i delikatnie pokręciła głową.

– Chyba pani kłamie. – W jej oczach był ten rodzaj nieobecności, której ludzie twardo stąpający po ziemi boją się najbardziej. – Pójdziemy teraz do pani męża, bo waga sytuacji nakazuje, żebyśmy się spotkali w komplecie.

Morawska nie kombinowała już. Wyszła z za biurka i ruszyła w kierunku, który Stawecka wskazała lufą glocka.

Wychodząc z gabinetu, zabrały jeszcze ze sobą sekretarkę, która wprawdzie nijak miała się do sprawy, ale mogła na przykład nieopatrznie zadzwonić po pomoc.

W gabinecie po drugiej stronie korytarza, w dziale męskim sytuacja wyglądała gorzej niż w części damskiej. Zbigniew póleżał na skórzanym fotelu, krwawiąc obficie z ust albo z nosa. Niewykluczone zresztą, że krwawił z obu, bo chwilę wcześniej rozsierdzony jego

protekcjonalnością komisarz zdzielił go centralnie w twarz kolbą pistoletu dresiarza.

– Marecki – wydusił Morawski przez skrwawione usta. – Ochroniarz i kierowca Wojciecha Myśliwca. To on zabrał wtedy nasz samochód.

Żona popatrzyła na niego w tym momencie wzrokiem pełnym pogardy.

– Czemu go daliście? – zapytał policjant.

– Bo jesteśmy w takiej sytuacji, że nie mamy jak im odmówić – odparł Zbigniew, po czym zerknął na Dominikę. – Pani akurat powinna to dobrze rozumieć.

Milewski też rzucił na nią okiem. Nie zareagowała wprawdzie, ale widać było, że wzmianka o sprawie, która dotyczyła jej w tak osobisty sposób, była wybitnym nietaktem ze strony Morawskiego.

Komisarz spojrział na niego z jawną niechęcią.

– Różnica polega na tym, że ta pani teraz już ich ściga, a ty nadal dajesz im dupy, ciołku – wyjaśnił, a potem spytał: – Gdzie ten Siergiej?

– Wezwaliśmy go, bo tak nam kazali zawsze robić w razie czego, ale skąd przyjedzie i kiedy, nie mamy pojęcia – do rozmowy włączyła się Barbara.

Milewski włożył Morawskiemu lufę walthera w oczodół.

– Gdyby on to powiedział, może bym uwierzył, tobie nie wierzę za grosz – rzekł, patrząc na kobietę, po czym warknął do Zbigniewa: – Kiedy?!

– Za godzinę – wysapał przerażony mężczyzna.

– Chyba poczekamy, co? – Komisarz zerknął na Dominikę. – Jak nie poczekamy, będzie się za nami snuł Bóg wie jak długo.

Stawecka pokiwała głową.

Zaprowadzili Morawskich i sekretarkę do budynku, w którym wcześniej więziony był komisarz, a w którym obecnie, przykuty do rury, siedział dresiarz. Gdy już ich oporzadzili i poprzypinali do rur i płaskowników, kazali bandzirowi wezwać przez radio kolegę, który rozmawiał z nim przy drzwiach. Kiedy się zjawił, jego też obezwładnili, a następnie wrócili do hotelu i czekali w hallu.

Siergiej zjawił się rzeczywiście mniej więcej godzinę później. Dominika wyszła mu naprzeciw. Musiał ją znać przynajmniej ze zdjęć, bo natychmiast sięgnął po broń. Było już wszakże za późno – Milewski zaszedł go od tyłu, rozbroił i posadził na jednej z jasnych skórzanych kanap w przestronnym i nieszczególnie gustownie urządzonym hallu.

– Dla kogo pracujesz? – Dominika zapytała trochę pro forma, gdyż i tak była przekonana, że za wszystkim stoją służby obcego mocarstwa.

– Gównu ci do tego – rzucił, a na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmiech.

Uśmiech znikł jednak zaraz, Milewski bowiem zmiotł go sprawnie wyprowadzonym sierpowym, posyłając przy okazji Siergieja na prawy bok. Mężczyzna podniósł się po chwili, ramieniem starł krew ciekącą z rozciętej wargi i znów głupkowato się uśmiechnął.

– Zabiłeś Olę? – spytała Dominika, przyglądając mu się bez przesadnego zainteresowania.

– Kogo? – zaciekał się chyba nawet dość szczerze.

– Zabiłeś mojego męża? – kontynuowała, choć to pytanie zadała raczej bez wiary.

Siergiej nie pasował do opisu, który podała jej poprzedniego dnia recepcjonistka z salonu masażu na Żoliborzu. Oczywiście to, że nie

wyprowadzał jej męża z tamtego budynku, nie oznaczało jeszcze, że go nie zabił, ale w tym wypadku szukała raczej kogoś innego.

– A znam? – odparł Siergiej, ponownie się uśmiechając.

Milewski już ruszył, by go skarcić, lecz Dominika powstrzymała go gestem.

– Kto ci płaci? – wróciła do pytania z początku rozmowy.

– Już pytałaś – słusznie zauważył bandyta, po czym dodał nie mniej rezolutnie: – Nie wiem. Ty też nie wiedziałaś, kto cię prowadził.

– Marecki. Mówi ci coś to nazwisko? – Stawecka zbliżyła się do niego, tak jakby z bliska miała nadzieję dostrzec albo usłyszeć coś więcej.

– Nie – odpowiedział po chwili wahania.

Może właśnie owa chwila wahania i jego wzrok, który na moment umknął spod jej spojrzenia, były tym, czego szukała, zbliżając się do niego tak bardzo.

– Nie przyjmuj już więcej zleceń na nas – do rozmowy po raz pierwszy włączył się Milewski.

– Bo? – zapytał Siergiej buńczucznie i raz jeszcze uśmiechnął się szyderczo.

Komisarz najwyraźniej uznał, że przesłuchanie dobiegło końca i zalecenie Dominiki już go nie obowiązuje, bo strzelił Siergieja szybkim lewym sierpem. Mężczyzna znów padł na kanapę, tyle że na drugą stronę.

– Bo umrzesz – wyjaśnił Milewski lapidarnie.

Następnie znalazł jeszcze dysk, na którym rejestrowały się nagrania z wszystkich kamer monitoringu. Jego facjatę mogli znaleźć choćby na stronie komendy stołecznej, ale zmieniony wygląd Dominiki stanowił

jednak pewne novum i lepiej byłoby, gdyby novum pozostał. Kiedy mieli już dysk, zabrali Siergieja i recepcjonistkę do budynku technicznego na tyłach, skrupowali trytytkami i zamknęli na klucz. Klucz dziesięć minut później, zmierzając w stronę Warszawy, wrzucili do jednego z kanałów łączących rozliczne w tej okolicy jeziora.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Paweł prowadził, a Dominika wyszukała w internecie zdjęcie, na którym u boku rozmawiającego z dziennikarzami Wojtka Myśliwca stał jego kierowca i ochroniarz Zenon Marecki, mężczyzna w sile wieku, z wyraźnie spłaszczonym nosem i blizną nad łukiem brwiowym. Wykadrowała go z fotografii, po czym zapisany plik, żeby się jeszcze upewnić, wysłała do Grażyny z pytaniem, czy to ten.

Odpowiedź przyszła nadspodziewanie szybko.

– Czyli to Marecki. – Przeniosła wzrok z ekranu telefonu na Milewskiego. – Tylko po co on?

– Z grubsza chyba po to, po co ty przy Mariuszu – odparł, ale zaraz zdał sobie sprawę, że być może był niedelikatny, dlatego rozwinął myśl: – Wiem z plotek w fabryce, że Wojtek Myśliwiec ma przejąć schedę po twoim mężu. Mariusza wykończyli, bo nie mieli jak się do niego dostać, a może też bali się jego zemsty, bo zaczął się do nich zbliżać. Będzie więc Myśliwiec, a przy nim jak duch Marecki.

Chwilę oboje milczeli.

– Może. Tylko co im po Mareckim właściwie? – zapytała Dominika.

– Czy ja wiem? Przy Myśliwcu mają kierowcę i ochroniarza. Marecki oczywiście nigdy nie będzie tak blisko niego, jak ty byłaś męża, ale sporo wie, a z czasem będzie pewnie wiedział jeszcze więcej. Właściwa wtyka we właściwym miejscu.

– Rozumiem, że na ich zlecenie być może zabił Mariusza, po co jednak miałyby zabijać Olę? – Dominika zamyśliła się.

– Tego nie wiem, ale skoro to on wziął wtedy ten samochód ze spa, to znaczy, że w jej zabójstwie też maczał palce. – Komisarz nie odrywał oczu od drogi.

– A może wysledzić tylko tę dwójkę, która kiedyś spotkała się ze mną, i nadać ich ABW? Pewnie to oni, tak czy siak, stoją za tymi zabójstwami – zasugerowała.

– Tylko że oni mają prawdopodobnie immunitet dyplomatyczny. Tak naprawdę ABW nic im nie może zrobić, co najwyżej wydalić z Polski. To cię usatysfakcjonuje? – Paweł spojrzał na nią.

Czując na sobie jego wzrok, Dominika pokręciła głową.

– Tak myślałem. – Milewski znów skupił się na prowadzeniu.

Po powrocie do Warszawy zaproponował, by w zaistniałych okolicznościach, skoro dwukrotnie już się zdekonspirowała, Dominika zamieszkała u niego. Ona jednak zwróciła mu czujnie uwagę na fakt, że po pierwsze on też się zdekonspirował, a po drugie przynajmniej raz zdradzili także to, iż współpracują. Ponadto jego w tym momencie łatwiej było zlokalizować niż ją, bo wiadomo było, gdzie pracuje. Na koniec zażartowała, że z dwojga złego bezpieczniej byłoby nawet, gdyby to on zamieszkał u niej, gdziekolwiek by to miało teraz być.

Po chwili namysłu zgodził się z nią. To, że sam na to nie wpadł, nie wynikało bynajmniej z braku inteligencji, lecz raczej z przekonania, że jako policjant jest w jakimś sensie nietykalny. Może i był nietykalny dla lokalnej bandyterki, która rzeczywiście unikała krzywdzenia policjantów, bo groziło to szeroko zakrojoną, skuteczną i bolesną zemstą ich kolegów, tym razem jednak nie mieli do czynienia z lokalną

bandyterką, a ich przeciwnik miał w poważaniu zemstę policji, w której prawdopodobnie opłacał wtyki.

Dominika pozostała więc w apartamencie na krótki wynajem, bo zawsze było to przynajmniej odrobinę bardziej anonimowe miejsce niż zwykły hotel. Nadal wprawdzie była chyba nieznaną policji i tamtym jako Irena Misiak, ale im mniej mogła się afiszować ze swoimi nowymi danymi, żeby ich nie spalić, tym oczywiście lepiej.

Od kolejnego ranka na zmianę śledzili Mareckiego – kierowcę, ochroniarza i w pewnym zakresie również asystenta Wojtka Myśliwca. Ona robiła to w ciągu dnia, kiedy Milewski wypełniał swoje obowiązki w komendzie stołecznej, on zaś obserwował go wieczorami, a czasem też do późnych godzin nocnych, Marecki bowiem, jak się okazało, wtedy właśnie stawał się wyjątkowo aktywny. Narkotyki, podejrzane kontakty handlowe i udział w szajce porywającej kobiety na potrzeby prostytucji składały się na szeroki wachlarz działań, które absolutnie dyskwalifikowały go jako asystenta człowieka mającego lada moment zostać jedną z ważniejszych figur w obszarze bezpieczeństwa państwa. Ale wszystko to z ich punktu widzenia było niewystarczające. Nie te pola działalności Mareckiego interesowały ich najbardziej, nie z ich powodu, przynajmniej nie bezpośrednio, brał on udział w zabójstwie męża Dominiki, a wcześniej najprawdopodobniej też jej kochanki.

Przełom w sprawie nadszedł w czasie zmiany Dominiki, czyli za dnia. Kobieta w obcisłej spódnicy i żakiecie włożonym na białą plisowaną bluzkę, facet w garniturze utrzymanym w takiej samej tonacji jak jej dwuczęściowy strój biznesowy, niby inni, a jakoś tacy sami. Klony. Co więcej, jakby dla przewrotnego uwypuklenia potworności całej sytuacji Marecki spotkał się z Rosjanami tam, gdzie wcześniej Dominika odbierała od nich instrukcje i wskazówki co do swoich działań, czyli w parku otaczającym mury carskiej, skądinąd więc także rosyjskiej cytadeli na Żoliborzu. O czym rozmawiali, nie wiedziała, ale



nie miało to większego znaczenia. Znaczenie miał sam fakt ich rozmowy oraz to, w jaki sposób Marecki się do nich odnosił. Jego mowa ciała świadczyła o nadmiarze uległości – sprawiał wrażenie wręcz usłużnego, spijał z ich ust to, co mieli mu do powiedzenia.

Czyli polski bandzior, handlarz narkotykami, kobietami i Bóg wie czym jeszcze, prawdopodobnie prominentny członek którejś z krajowych mafii, a jednocześnie kierowca i asystent specjalisty od bezpieczeństwa narodowego był chłopcem na posyłki ruskich klonów w granatowych garniturkach.

– Tyleż zaskakujące, co oczywiste – Milewski zareagował na jej relację bez specjalnego zdziwienia. – Zawsze tak było. Pruszków, Wołomin, gang płatnych morderców od niepamiętnych czasów raportowali do Sołncewa, a Sołncewo to jedno ze zbrojnych ramion Kremla. Słowem, cała nasza bandyterka jest u nich na krótkiej smyczy.

– Muszę powiadomić Wojtka, że jest w niebezpieczeństwie. – Dominika zdecydowała o tym już wcześniej, teraz właściwie tylko utwierdziła się w swoim zamiarze.

Milewski pokręcił głową.

– Wydaje mi się, że to nie ty akurat powinnaś być posłańcem.

– Przyjaźnimy się, chcę go zobaczyć, przy okazji może trochę wyczyszczyć własne sprawy. Nie mogę spędzić całego życia jako Irena w apartamentowcu na Woli – upierała się.

– Odradzam, ale przecież nie zabronię. – Komisarz się uśmiechnął. – Czegokolwiek zresztą próbować ci zabronić byłoby absurdem i stratą czasu. Tyle że tu nie chodzi o samego ministra Myśliwca. Bardziej się obawiam kogoś z jego otoczenia, ktoś może cię zauważyć. On przecież prawdopodobnie jest osłaniany kontrwywiadowczo, szczególnie po ich doświadczeniach z... – Znów musiał gwałtownie przyhamować.

Miał taką przypadłość, że czasem mówił równie szybko, jak myślał.

– Ze mną i z Mariuszem – Dominika pomogła mu dotrzeć do puenty. – Tak, na pewno są ostrożniejsi, ale nie aż tak ostrożni, żebym nie zdołała ich ograć.

– Więc spróbuj. Jeśli mogę ci jakoś pomóc, jestem gotowy w każdej chwili – zaoferował się Milewski.

– Czemu? – zapytała nagle po chwili milczenia, a widząc, że pytanie było zbyt krótkie, wyjaśniła: – Czemu się tak dla mnie narażasz? To znaczy wiem, że Mariusz ci kiedyś pomógł, że ojczyzna i tak dalej, ale mimo to...

– Nie wiem – odparł. – Może się domyślam, ale to nie ma teraz znaczenia, szczególnie dla ciebie.

– Czemu tak założyłeś? W sensie, że szczególnie dla mnie nie ma? – Popatrzyła na niego czujnie, lecz zamiast skłonić go do dalszych wynurzeń, ciężar jej spojrzenia jeszcze bardziej zamknął go w sobie.

Wojciecha Myśliwca, pełniącego już obowiązki szefa Komisji do spraw Służb Specjalnych, obserwowali na zmianę przez dwa dni.

Z obserwacji wynikało, że jedynym momentem, w którym Dominika mogła się do niego zbliżyć, była regularnie powtarzana wizyta na siłowni. Co prawda chłopcy z kontrwywiadu wchodzili tam za nim, ale odpuszczali sobie męską szatnię. Aby z nim porozmawiać, musiała wejść do niej jeszcze przed nim.

Na szczęście Myśliwiec wpadał poćwiczyć zawsze o siedemnastej. Dominika zjawiała się w hallu za dziesięć piąta. Gdy dziewczyna z recepcji zniknęła na moment, przeszła szybkim krokiem wzdłuż ściany, skręciła w prawo, otworzyła drzwi z ludzikiem bez sukienki i wkroczyła

do szatni. W środku, ku jej uldze, nie było nikogo, więc schowała się w jednej z kabin i zaryglowała za sobą drzwi.

Cztery minuty później Milewski wysłał jej SMS-a „Wszedł do budynku”. Od tego momentu trzeba było doliczyć kolejne cztery, może pięć minut i wyjść z kabiny, ryzykując, że trafi się na jakiegoś nagusa. Mężczyźni na tego typu sytuacje reagowali nieco mniej ostentacyjnym oburzeniem niż kobiety, ale nie musiała się z nim konfrontować, bo w pomieszczeniu nadal nikogo nie było. Pięć sekund później drzwi się otworzyły i pojawił się Wojtek.

– Cześć – powiedziała Dominika.

– Cześć – odparł całkiem naturalnie, ale widać było, jak aparat jego umysłu próbuje z najwyższym wysiłkiem przeanalizować dostępne dane.

Przede wszystkim byli w części obiektu zarezerwowanej dla mężczyzn, a ta przypominająca mu kogoś ciemnowłosa i piwnooka piękność mogła być całym wręcz kosmosem, ale na pewno nie była mężczyzną. Poza tym nadal nie miał bladego pojęcia, kto to. Kompletnie skonfundowany odstawił torbę i bidon na ławkę.

– Dominika. Dominika Stawecka.

– O matko, co ty tu robisz?! Przecież... – Wojtek był naprawdę w ciężkim szoku.

– Przecież jestem oskarżona o szpiegostwo, a do tego poszukiwana w sprawie zabójstwa Oli – pomogła mu.

Wojtek pokiwał głową.

– Poza tym zniknęłaś, a teraz...

– A teraz Mariusz nie żyje. I głównie dlatego tu jestem, ale nie tylko. Ona była mi bardzo bliska. – Popatrzyła na niego z bólem i współczuciem.

– Wiem. – Uśmiechnął się delikatnie. – Jak mogę ci pomóc?

– Pomóc? Ty, pełniący obowiązki szefa Komisji do spraw Służb Specjalnych, chcesz pomóc wyjętej spod prawa? – upewniła się, żartując przewrotnie.

– Tak, jesteś... byłaś najbliższą przyjaciółką mojej żony i żoną mojego... – Wojtek się zawahał. Z Mariuszem znali się od wielu lat, mieli okresami dość bliskie relacje, lecz nigdy nie przekształciły się one w przyjaźń. – Bliskiego kolegi... – dokończył, wyraźnie niepewny, czy dobrze zdefiniował ich znajomość.

– Dzięki, ale jakoś sobie radzę. Przychodzę, bo wydaje mi się, że to ja mogę pomóc tobie. – Teraz Dominika umknęła jednak przed jego wzrokiem.

– Okej, mów, co wiesz.

– Wydaje mi się, że jesteś inwigilowany przez obce służby, przez tych samych ludzi, którzy zabili Mariusza – zaczęła.

– Jak to zabili Mariusza?! Przecież on sam... – Znów był zaskoczony.

– Nie, raczej nie sam. – Pokręciła głową.

– Chodzi o tych samych ludzi, z którymi spotykałaś się przy cytadeli? – zapytał.

W tym momencie Dominika poczuła, że coś mocno nie gra. Skąd Wojtek mógł wiedzieć, że w ogóle, a w szczególności gdzie, spotykała się z tamtymi ludźmi? Nawiasem mówiąc, nigdy się tam z nimi nie spotykała, ale już sam fakt, że on znał punkt kontaktowy przy cytadeli, w którym teraz widywał się z tamtymi Marecki, był dość niepokojący.

– Tak, chodzi o tych ludzi, ale nie do końca... – Zaczęła na szybko zastanawiać się, co ma mu powiedzieć, by z jednej strony nie

zorientował się, że się połapała, a z drugiej, by nie sprzedać mu już nic ważnego. Przede wszystkim musiała mówić szybko i płynnie, wszelkie wahanie zdradziłoby ją. – Widzisz, Olę zabił najprawdopodobniej ktoś, kto nie bardzo znał się na rzeczy. – Musiała wrzucić jakiś fragment swojej wiedzy, której on nie posiadał albo przynajmniej mógł założyć, że ona myśli, że nie posiada.

– Co ty mówisz? Z tego, co wiem, to była robota profesjonalistów. Nie ma żadnych śladów, nie wiadomo, jak weszli, czym przyjechali i tak dalej. – Wojtek wydawał się znów mocno zaskoczony.

To dobrze, pomyślała. Nawet jeśli tylko udaje zdziwienie, to znaczy, że gra trwa nadal.

– Jak weszli, czym przyjechali i tak dalej nie wiadomo – skłamała, bo przecież, czym przyjechali, akurat wiedziała doskonale.

Założyła jednak, że on przy okazji zaczął ją już sondować, musiała więc maksymalnie ograniczyć ilość wiedzy, którą się z nim podzieli. W sytuacji, w której się znalazła, im mniej będzie wiedziała, tym większe szanse na to, że wyjdzie stąd żywa.

– Policjant, który to wtedy prowadził, powiedział mi jedynie, że zabito ją po amatorsku. Za dużo ran, za mało skutecznych. Można było zadać dużo mniej, ale lepiej wymierzonych. Prezydent Adamowicz zginął de facto od dwóch ciosów nożem – wyjaśniła, podpierając się na szybko ogólnodostępnej wiedzy, żeby obniżyć jeszcze rangę własnej.

– Zginął od jednego z nich. – Myśliwiec pokiwał głową. – No dobrze, sprawdzę ten wątek, o którym mówisz. A teraz poczekaj, zaraz zarządzą, żeby cię zawieźli w jakieś bezpieczne miejsce.

– Nie, nie, dam radę. Mam świetną dziuplę, na razie tam przycupnę – rzuciła szybko Dominika zdjęta przerażeniem.

Jeśli zabiorą ją stąd jego ludzie, to z dużym prawdopodobieństwem nie doczeka jutrzejszego ranka.

Wojtek namyślał się chwilę, a ona włożyła rękę do kieszeni kurtki. Chłodna stal kolby pistoletu lekko ją uspokoiła. Czy wiedział, czego ona dotyka? Być może.

– Jak cię znaleźć, kiedy będę wiedział więcej? – Popatrzył na nią czujnie.

– Ciężko będzie, przemieszczam się dużo. Podam ci numer, na który możesz w razie czego zadzwonić, odnajdziemy się wtedy – zaproponowała.

Pokiwał głową i wyjął komórkę.

– Siedem jeden osiem, trzy sześć dwa, trzy osiem cztery – wyrecytowała.

Wojtek wprowadził numer i nacisnął połączenie.

– Upewnię się, czy dobrze wpisałem. Masz go tutaj? – zapytał.

– Mam.

Po kilku sekundach telefon zadzwonił w jej kieszeni. W tym momencie do szatni wszedł jakiś mężczyzna w przepoconej koszulce. Wojtek spojrzał na nią konfidencjonalnie.

– Dobrze, jak tylko się czegoś dowiem, dzwonię do ciebie – powiedział cicho. – I uważaj na siebie.

Dominika skinęła głową i ruszyła do wyjścia. Przepocony facet przyglądał jej się ze zdziwieniem, które stopniowo zmieniło się w coś w rodzaju lubieżności. Przestał na nią patrzeć, gdy Wojtek spojrzał na niego karcąco, a ona wykorzystała ten krótki jak mgnienie moment, by złapać bidon męża Oli i schować go pod połę swojej kurtki bomberki.

Po wyjściu z szatni Dominika nie poszła do wind. Na szczęście opracowali z Milewskim plan B, a ona uznała, że jeśli chce jeszcze choć chwilę pożyć, to musi go wprowadzić właśnie teraz. Plan B zakładał, że dotrze do klatki ewakuacyjnej, zejdzie piętro niżej, do sal wystawowych Muzeum Sportu i Turystyki, i obok gablot dostanie się do głównej klatki schodowej, a na poziomie zero wybierze drzwi prowadzące na tyły budynku, tam gdzie emerytowani olimpijczycy chodzili najczęściej zajarać szluga.

Na zewnątrz nabrała głęboko powietrza. W końcu żyła wciąż, a to było, zważywszy na okoliczności, nie lada osiągnięcie. Rozejrzała się i nie stwierdziwszy żadnego klona w zasięgu wzroku, ruszyła w stronę parkanu. Przeskoczyła go, by znaleźć się w stadninie koni, a z niej wydostała się już przez klub sportowy na Spójni i poszła prosto na Wisłostradę. Na szczęście Milewski czekał na nią tam, gdzie się umówili, na parkingu przy sklepach dla żeglarzy po drugiej stronie Spójni. Wcześniej, będąc jeszcze na klatce schodowej, wyciągnęła kartę z telefonu, przełamała ją i rzuciła w kratkę przy drzwiach budynku.

O to zapytał ją Milewski, gdy tylko wsiadła do samochodu. Wyglądała tak blado i była tak przerażona, że nie musiał nawet dociekać, jak przebiegło spotkanie.

– A telefon? – rzucił, kiedy powiedziała mu o karcie.

– Co telefon? – zdziwiła się.

– Wyrzuciłaś telefon?

– Nie. Po co?

– Daj.

Dominika wyjęła telefon z wewnętrznej kieszeni dżinsowej kurtki i podała komisarzowi. Ten otworzył drzwi, położył komórkę pod progiem auta, po czym przejechał po niej wolno kilka razy.

– Co ty robisz?! To kosztowało ze trzy koła!

– Telefon ma numer IMEI. Jeśli była w nim karta, są w stanie powiązać jedno z drugim, i to nawet już po jej wyjęciu, a sam aparat też staje się od tego momentu smyczą – wyjaśnił Milewski i teraz dopiero popatrzył na nią pytająco. – On też?

– Coś każe mi myśleć, że on przede wszystkim. – Dominika wyciągnęła zza poły kurtki schowany w wewnętrznej kieszeni bidon.

– Co to jest? – zdumiał się Paweł.

– Jego bidon – odparła z uśmiechem. – Pił z niego, kiedy wchodził do szatni. Podobno masz DNA sprawcy z obu miejsc zbrodni. – Uśmiechnęła się, wyjaśniając.

– Zuch dziewczyna. Może później przyjmą cię do nas do fabryki – powiedział, chowając bidon do wydobytej z plecaka torebki na dowody.

– Dwadzieścia kilka lat życia z superszpiegiem nie poszło w las. – Pokiwała głową, a uśmiech zniknął z jej twarzy.

– W każdym razie, jeśli to się potwierdzi, to mamy problem. Komu zgłosimy, że wokoło panoszy się obcy wywiad, skoro szef Komisji do spraw Służb Specjalnych jest u nich na pensji? – Milewski zastanawiał się głośno, choć doskonale wiedział, że Dominika nie odpowie mu na to pytanie.

– Jest jeszcze coś – dodała Dominika. – Zanim się zorientowałam, powiedziałam mu, że wiem od ciebie, że Ola zginęła z rąk amatora. To samo w sobie nic nie znaczy, ale jeśli się połapał, że wiem więcej, może założyć, że wiem to też od ciebie.

– Skądinąd tak zresztą jest. – Komisarz się uśmiechnął.

– Tylko bez megalomanii, wyjątkowo źle ją toleruję. Tak, po części tak jest, więc...



– Nie posunie się do tego, żeby na mnie wskakiwać, za duże ryzyko. Wie, że znałem się z Mariuszem... – mówił Milewski, a jego pewność siebie kroczyła przed upadkiem.

– Tym bardziej – Dominika ucięła tę niebezpieczną wspinaczkę ku szczytom zarozumiałości.

Milewski podwiózł ją do apartamentu na Woli. Dominika szybko weszła na górę, wrzuciła rzeczy do torby i opuściła to miejsce. Następnym był apartamentowiec na nowo wybudowanym osiedlu na Okęciu. Tam jednak wprowadziła się już na swoje lewe dane i zapłaciła wydaną na nie włoską kartą. Milewski nalegał chwilę, że raz jeszcze wpisze ją na siebie, ale w końcu uległ jej perswazji.

Pod apartamentowiec podjechali dwoma samochodami. Ona tym razem znów na włoskich tablicach, bo skoro miała się wylegitymować włoskimi dokumentami, uznała, że tak będzie bezpieczniej, on zaś swoim w roli obstawy. Dominika była przekonana, że teraz komisarz jest łatwiejszym do niemierzenia celem, ale nie chciała się z nim wdawać w zbyt długie dyskusje. Nie mieli na to czasu.

\*

O tym, że wdowa po szefie Komisji do spraw Służb Specjalnych miała rację, Milewski przekonał się dziesięć minut po tym, jak zasiadł przy swoim biurku w pokoju na pierwszym piętrze Komendy Stołecznej Policji przy ulicy Nowolipie.

– Komisarz Paweł Milewski? – Pierwszy bez pukania wszedł do pokoju łysiejący facet w znoszonym szarym płaszczu.

Milewskiego na wstępie zastanowiło przede wszystkim to, jakiego trzeba mieć doła, żeby w taki gorąc chodzić po budynku w płaszczu.

– Tu się puka – rzucił po chwili i nie była to odpowiedź na zadane pytanie.

– My nie pukamy. – Za plecami tego w szarym pojawił się młodszy od niego umiejętniony amant kina klasy C.

Na jakiś czas zapadło milczenie.

– Pójdzie pan z nami – odezwał się w końcu ten w szarym, który miał dość wszystkiego, a najbardziej życia, co podkreślił, przecierając czoło wyciągniętą z kieszeni bawełnianą chustką w szarą kratę.

Co za gość, pomyślał komisarz.

– Pójdę z wami dokąd, a przede wszystkim po co? – zapytał spokojnie.

– Mamy nakaz doprowadzenia. – Szary wyciągnął z kieszeni zmiętą kartkę i podał ją Milewskiemu. – Chodzi o malwersacje przy przetargu.

– Jakim przetargu? – Komisarz nie wziął od niego domniemanego nakazu. – W życiu nie organizowałem żadnego przetargu.

– Nie wiem, nie wnikam, jest świadek, mam doprowadzić.

Szary był tak słaby, że Milewski przez moment wahał się, czy nie pójść z nimi choćby po to, żeby mu jakoś pomóc.

– Dokąd? – przypomniał zadane wcześniej pytanie.

– Do siedziby BSW, a niby dokąd? – do rozmowy włączył się znów ten umiejętniony, młody i zadowolony, a przynajmniej mający jeszcze tyle sił, by móc udawać zadowolonego.

On nie podobał się Milewskiemu tak bardzo, że po tych słowach odruch litości nad losem szarego od razu zeń wyparował.

– Pójdę z wami, ale tylko jeśli dołączy do nas adwokat albo mój przełożony – zdecydował.

– Pójdiesz z nami i nikt nie dołączy. – Amant najwyraźniej wrzucił drugi bieg, bo nagle wyciągnął skądś gnata i wycelował w komisarza.

– Będziesz strzelał do policjanta w komendzie stołecznej? Chyba cię pojebało. – Milewski uśmiechnął się wprawdzie lekceważąco, ale równocześnie zaczął się zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi.

Żeby mogli dotrzeć aż tutaj, musieli mieć prawidłne kwity. Wyjścia były dwa. Być może rzeczywiście byli z BSW, tylko albo oni, albo ich mocodawcy pracowali też na boku dla kogoś innego. Tudzież w ogóle nie pracowali w strukturach, a zostali tu wpuszczeni przez kogoś, kto pracował dla tamtych. Ustalenie tego w miarę szybko było ważne o tyle, że jeśli pracowali w BSW, to powinien z nimi pójść. W takim wypadku z dużym prawdopodobieństwem było kwestią godzin, że sprawa wyjaśni się na jego korzyść. Jeśli jednak byli po prostu zbirami, to wyjście stąd z nimi mogło być jego ostatnim wyjściem dokądkolwiek.

– Połączcie mnie ze swoim szefem, z Nowickim albo z Kozakiem – powiedział Milewski. – Jak się okaże, że o tym wiedzą, to idziemy, jak nie, to będziecie musieli urządzić strzelankę, ale wtedy raczej nie wyjdziecie stąd żywi.

Tamci zastanawiali się chwilę i już z tego można było wnosić, że ani Nowicki, ani Kozak nie wiedzą nic o ich eskapadzie po niego.

– Major Nowicki jest na urlopie, a pułkownik Kozak nie wie o tej sprawie, to nie ta ranga – wyjaśnił ten w płaszczu.

Zatem byli z BSW, co właśnie trochę na siłę próbował mu sprzedać spocony z chusteczką, ale jednocześnie – prawdopodobnie w jakimś przynajmniej zakresie – ich działanie było samowolą, słowem, pojawił się wariant „a bis”.

– To połącz mnie z kimkolwiek wyższym rangą, kto wie o tej operacji i was tu wysłał – Milewski, starając się zachowywać

koncyliacyjnie, nagiął swoją wcześniejszą propozycję.

Ale zdawał już sobie sprawę, że nie połączą go z nikim, bo nawet jeśli był ktoś wyżej, kto wiedział o tym, co robią, to mieli przykazane nie ujawniać jego tożsamości.

Faceci milczeli.

– Pokaż ten nakaz. – Komisarz wyciągnął rękę po papier, który podsuwali mu wcześniej.

Na dokumencie musiał być podpisany jakiś sędzia, to też w razie czego był trop w sprawie. Oczywiście podpis mogli podrobić, ale dałoby się to zweryfikować jednym telefonem do sądu.

– Wstawaj. – Karczek podszedł do niego i wraził mu pistolet w bok. – Idziemy.

Czyli jednak totalna lewizna, pomyślał Milewski.

– Musicie być ostro zdesperowani – zauważył.

Niemniej wstał, bo jeśli byli rzeczywiście aż tak zdesperowani, to karczek, który prawdopodobnie szybciej robił, niż myślał, gotów był za chwilę naprawdę go odwalić. Broń była wciśnięta w prawy bok, gdyby strzelił, wątroba byłaby nie do uratowania.

Karczek pchnął go w stronę drzwi. Kiedy szli korytarzem, młody starał się jak najmocniej przykleić do niego, a wetknięty pod żebro pistolet ukrywał kurtką przerzuconą przez rękę. Niestety po drodze nie spotkali nikogo. Dopiero przy windach pojawił się jeden z kolegów pracujących z Milewskim na tym samym piętrze. Komisarz nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć, jak się nazywał, ale gdy się mijali, delikatnie zwrócił jego uwagę na kurtkę. Czy tamten zauważył, jak dziwna to była sytuacja? Czy zrozumiał jego rozpaczliwą intencję? Tego Milewski nie wiedział.

Z windy wysiedli w hallu głównym. Karczek, który pocił się już prawie tak jak jego przełożony, odetchnął z ulgą. Ruszyli prosto do wyjścia, lecz gdy byli tuż przy nim, Milewski usłyszał głos kolegi, którego imienia nie mógł sobie przypomnieć.

– Stój.

– Bo? – Karczek próbował udawać zdziwionego.

W tym momencie Milewski się odwrócił i zobaczył, że sytuacja karczka rokuje jeszcze gorzej niż jego, gdyż miał lufę glocka przyłożoną do potylicy, a mózgow, nawet jeśli były małe i niespecjalnie przydatne, wciąż jednak nie przeszczepiali.

– Bo ci łeb odpierdołę!

Potem wypadki potoczyły się szybko.

Młody odjął broń od jego boku, a zaraz potem w akcie desperacji postanowił jej użyć. Trafiony w nogę komisarz Norbert Goździk, bo tak się nazywał wybawca Milewskiego, strzelił trzykrotnie i ranił śmiertelnie karczka. Zdołowany facet w szarym płaszczu próbował zbiec, ale został ujęty. Korzystając z zamieszania, Paweł Milewski upewnił się, że rana jego kolegi nie jest groźna, i opuścił budynek.

Oto bowiem nadszedł moment, w którym spełniło się to, przed czym ostrzegą go Dominika.

Organizacja, która stała za zabójstwem Oli i Mariusza, kierowana prawdopodobnie przez Wojciecha Myśliwskiego, postanowiła zacząć pozbywać się ludzi, którzy wiedzieli zbyt dużo.

Do tego grona zaliczał się niestety oprócz Dominiki także on.

Z budynku komendy stołecznej wyszedł przez parking i ruszył w stronę Nowolipek. Samochód miał zaparkowany przy Anielewicza.

Początkowo chciał wsiąść do niego, ale ostatecznie zdecydował, że przynajmniej na razie wóz musi zostać tam, gdzie jest. Nie może ani z niego skorzystać, ani wrócić do swojego mieszkania. Jeśli sprawy zaszły tak daleko, to będą na niego czekali pod domem, a może nawet w środku. Poza tym nawet jeśli nie oni, to za moment zaczną go szukać przełożeni.

Uczestniczył przecież w końcu w czymś, co przynajmniej wedle jego wiedzy nie zdarzyło się nigdy wcześniej – w strzelaninie w gmachu Komendy Stołecznej Policji. Wprawdzie nie on strzelał, nie był też tym, do kogo strzelać należało, ale to za jego sprawą, w jakimś przynajmniej sensie, do tego wszystkiego doszło. I to on mógł powiedzieć najwięcej.

Oczywiście, gdyby akurat ktoś chciał wiedzieć aż tyle.

Idąc w stronę alei Jana Pawła II, wyrzucił do kosza telefon, wszedł do sklepu sportowego na rogu Andersa i Nowolipek i kupił za gotówkę bluzę z kapturem, bejsbolówkę i okulary przeciwsłoneczne. Zważywszy na temperaturę, bluza z kapturem, choć narzucona na kurtkę, wydawała się trochę nie na miejscu, lecz czapka i okulary tłumaczyły tę niestosowność. Wyglądał teraz po prostu jak ktoś, komu dopalacze lekko namieszały w głowie. Na szczęście takich jak on po mieście chodziło wielu, więc nie wzbudzali już od dawna zainteresowania.

Poza tym w tej sytuacji lepiej było, żeby wyglądał na kogoś niespełna rozumu, niż żeby przypominał siebie.

– Dobrze, że cię zastałem – powiedział, gdy Dominika uchyliła drzwi apartamentu na Okęciu, mierząc do niego z glocka.

– Czemu nie napisałeś maila, że przyjdiesz? – spytała zaskoczona. – Tak się umawialiśmy.

– Tak się umawialiśmy, ale miałaś rację, więc nie mam już, przynajmniej chwilowo, mieszkania, samochodu, komputera ani komórki.

– Człowiek znikąd? – Uśmiechnęła się, otwierając szerzej drzwi.

– Przyszli po mnie do fabryki, muszą być totalnie zdesperowani – wyjaśnił.

– Czyli co dalej? – zapytała, z trudem ukrywając satysfakcję z tego, że przewidziała taki właśnie rozwój wydarzeń.

– Dalej będę musiał – popatrzył na nią kątem oka – ukrywać się z tobą.

– Tak, to wiem. Ale co dalej z nimi, z tym wszystkim?

– Musimy zebrać jakieś dowody. Bidon Myśliwca oddałem do badania znajomej z kryminalistyki, ale porównanie DNA potrwa chwilę. Z tym, co mamy do tej pory, nic nie zdiagnozujemy, to tylko poszlaki – wytłumaczył, a po krótkiej pauzie odezwał się znowu: – Na pewno będzie dochodzenie. Jeden z tych, którzy po mnie przyszli, zginął. Ranny jest kolega, który mnie uratował. Strzelanina w komendzie stołecznej. Jeśli dowiedzą się o tym media, to już w ogóle będzie grubo, ale raczej daleko z tym dochodzeniem nie dojdą, blokada jest założona za wysoko.

– Zabili dwie osoby, które kochałam – syknęła Dominika. – Wcześniej zniszczyli mi życie. Nie odpuszczę.

Milewski spojrzał na nią odważnie.

– Wiem.

– Jeśli nie da się tego rozegrać legalnie, bo blokada jest za wysoko, to ich po prostu pozabijam – oświadczyła nagle.

– Nie – rzucił zdecydowanie, a chcąc dodatkowo podkreślić wagę swojego sprzeciwu, chwycił ją za rękę. – Jeśli kogoś zabijesz, już nigdy

z tego nie wyjdiesz. A chcesz z tego wyjść, chcesz odzyskać dzieci, chcesz jeszcze kiedyś normalnie żyć.

– Żeby normalnie żyć, muszę ich ukarać – odparła stanowczo.

– Te rzeczy, które zrobiłaś do tej pory, to drobiazgi. Za jakiś czas w ogóle o nich zapomnisz, rany się zabliznią, ale jeśli kogoś zabijesz, nigdy już nie będziesz normalnie żyć – powiedział spokojnie.

– Skąd wiesz? Zabiłeś kogoś? – spytała trochę mimochodem, a potem, gdy dłuższy czas nie odpowiadał, popatrzyła na niego.

– Może kiedyś o tym porozmawiamy. – Umknął wzrokiem. – Kiedy indziej.

– Kiedyś?

– W innym życiu.

– Czyli co możemy teraz zrobić? – Dominika odpuściła drażnienie przeszłości komisarza i zapytała bardziej siebie niż jego.

– Teraz możemy przycisnąć Mareckiego – to on jednak odpowiedział. – Nie wiem tylko, czym można przycisnąć faceta, który wdał się w układ z Ruskimi. Może obiecajmy mu jakiegoś koronnego, postraszymy go, zaszantażujemy...

– Przyciśnijmy Mareckiego – skróciła jego wywód.

– Wcześniej muszę zabrać trochę rzeczy – rzekł Milewski.

– Skąd? Z domu? – zdumiała się Dominika.

– Nie, dom mam obstawiony, ale jestem przygotowany na taką okoliczność. Tak jak ty dostałaś drugą tożsamość we Włoszech, ja mam swoją, tyle że tu. – Uśmiechnął się.

– Coraz bardziej mnie zadziwiasz. – Znów popatrzyła na niego czujnie. – Kogoś zabiłeś, masz gdzieś tutaj drugą tożsamość...



– W innym życiu – powtórzył. – Na razie działanie, opowieści później.

Druga tożsamość komisarza Pawła Milewskiego zmagazynowana była w dziwnym garażu na Pradze Północ, w pobliżu Ratuszowej. Oprócz lewych kwitów były tu dwa motocykle, silnik do motorówki, pianka i akwalung, jakieś rowery i mnóstwo drobniejszych, przeważnie stalowych rzeczy, których pochodzenia i zastosowania Dominika nie znała. W upchniętym do metalowej szafki kartonie znajdowały się nowe dokumenty wystawione na Witolda Prudnika, dwie paczki pieniędzy w różnych walutach, walther P99 z kilkoma magazynkami, dwa komplety kluczyków do samochodu z logo Audi, aparat fotograficzny, karty SIM oraz karty płatnicze.

– Sporo tego – skonstatowała Dominika, stojąc nad kartonem w zimnym świetle jarzeniówki.

Uśmiechnął się.

– Masz mniej?

– Nie, ale ja zbierałam to przez kilka miesięcy – odpowiedziała.

– A ja przez dziesięć lat. – Komisarz zaczął przekładać rzeczy z kartonu do portfela i wewnętrznych kieszeni skórzanej kurtki.

– Dziesięć lat temu miałeś tę historię, z której wyciągnął cię Mariusz...

– Drażysz. – Pokręcił głową, wrzucając do kartonu dotychczasowe dokumenty, karty i broń służbową.

– Nie boisz się zostawiać takich rzeczy w tym garażu? Przecież tu nawet dzieciaki mogą się włamać – zmieniła temat.

– Nie mogą. – Skończył i wstawił karton do szafki. – Tych garaży pilnują chłopcy z miasta. Nikt się tu nie włamuje.

– Kim ty w ogóle jesteś? – Dominika była coraz bardziej zafrapowana.

– Policjantem. – Uśmiechnął się i ruszył w stronę drzwi. – Jestem policjantem.

\*

Zenona Mareckiego wytropić nie było specjalnie trudno, gdyż ochraniał i woził pełniącego obowiązki szefa Komisji do spraw Służb Specjalnych Wojciecha Myśliwca. Ale nawet jeśli obaj byli zaangażowani w cały ten proceder, na pewno nie kontaktowali się z lewymi ludźmi w godzinach pracy urzędowej.

Poza tym Marecki, który był ich szansą, bo chcąc ratować siebie, mógł pograć szefa, siłą rzeczy interesował ich głównie wtedy, gdy nie towarzyszył Myśliwcowi. Dominika i Milewski zaczajali się znów przez kilka dni na ochroniarza, tym razem jednak, by nie wzbudzać podejrzeń osłony kontrwywiadowczej Myśliwca, robili to pod koniec dnia pracy Mareckiego, po tym jak odwoził przełożonego do domu. Śledzili go, gdy odstawiał samochód do bazy SOP-u przy Łazienkach, a następnie gdy wyjeżdżał już stamtąd swoim nowym mercedesem i jechał do siebie.

Schemat powtarzał się z małymi odstępstwami, które nic nie wносиły do sprawy, przez trzy kolejne dni. Czwartego w końcu jednak wydarzyło się wreszcie coś innego. Marecki pojechał w okolice śluzy przy Kanale Żerańskim. Wjechali tam za nim, ale nie do samego końca, bo łatwo mógłby ich zauważyć. Dlatego ostatnie dwieście metrów pokonali pieszo.

Warto było poświęcić owe cztery dni. Poprzednio, gdy Dominika śledziła Zenona, była świadkiem jego rozmowy z Rosjanami, lecz nie

miała czym jej udokumentować. Teraz dokładnie sfotografowali jego ponowne spotkanie z dwójką dobrze znanych Staweckiej klonów.

– Wystarczy? – zapytała, gdy wrócili do samochodu.

– Okaze się. W każdym innym wypadku powiedziałbym, że tak, bo ujawnienie tego niewątpliwie zakończy jego karierę, a ludzie lubią swoje kariery, ale od karier wolą przeważnie życie, więc nie wiem. Sprawdzimy? – Popatrzył na nią pytająco.

– Teraz?

Uśmiechnął się.

– A na co czekać?

Silnik odezwał się niskim dudnieniem, ruszyli jednak dopiero po tym, jak minął ich lśniący czarny mercedes.

Zenon Marecki zajechał na jedno z osiedli na Bemowie i chwilę szukał miejsca parkingowego. Wieczorami to zawsze było trudne. W końcu wysiadł i otworzył tylne drzwi, by zabrać z kanapy torbę z laptopem, a potem zamknął samochód za pomocą pilota i ruszył w kierunku pobliskiego czteropiętrowca z wielkiej płyty.

– Pójdiesz z nami – usłyszał kilka sekund później, gdy od klatki dzieliło go może dziesięć kroków.

Czując na szyi mało przyjemny chłód stali, próbował się odwrócić, lecz ktoś złapał go mocno za ramię i przytrzymał.

– Ale o co chodzi? – zdziwił się, jakby ta sytuacja nie miała prawa go dotyczyć. – To jakieś nieporozumienie jest. Pieniądze?

– Chodź. – Stojący za nim mężczyzna pociągnął go w stronę zaparkowanego nieco dalej audi.

Podchodząc do samochodu, Marecki zapamiętał wprawdzie numery, ale przypuszczał, że i tak są lewe, a chwilowi jedynie właściciele auta założyli tablice góra pół godziny wcześniej.

Kiedy mężczyzna wepchnął go na tylną kanapę i usiadł obok niego, trzymając go cały czas na muszce, Marecki w końcu zorientował się, o co w tym wszystkim może chodzić. Kobieta, która siedziała za kierownicą, była bowiem żoną człowieka, którego pomagał zabić i którego znał od lat jako kolegę swojego szefa.

– O, pani Stawecka. A panią skąd przyniosło? – spróbował zażartować.

– Zamknij się, gnoju – rzucił w odpowiedzi mężczyzna, który go tu przyprowadził i którego nie znał.

Do Kampinosu dojechali dwadzieścia minut później. Była noc, więc na parkingu przy cmentarzu w Palmirach nie było żadnego innego samochodu. Na wszelki wypadek Dominika wjechała jednak w leśny gąszcz i zatrzymała audi dopiero za zakrętem tonącego w krzakach duktu.

– Wsiadaj. – Milewski popchnął Zenona lufą pistoletu.

– Będziecie mieli w chuj problemów – bąknął ochroniarz, gramoląc się z tylnego siedzenia prosto w mrok.

– Może, ale ty już się o tym nie dowiesz – odpowiedziała Dominika, wsiadając.

W świetle lampki oświetlającej wnętrze wozu Marecki dostrzegł jeszcze, że ona również trzyma pistolet. To zdziwiło go bodaj najbardziej. Przykładna żona, kulturalna pani psycholog, która, o ile pamiętał, chodziła zawsze w dwuczęściowych kostiumach skrywających jej wdzięki, teraz ubrana była w spodnie bojówki, włosy miała krótkie

i ufarbowane na czarno i ogólnie wyglądała raczej jak członkini Baader-Meinhof albo Czerwonych Brygad niż żona ministra.

Mężczyzna popchnął go w stronę polanki oświetlonej lekko łuną księżyca. Zatrzymali się kilkanaście metrów dalej, kobieta dołączyła po chwili.

– Czego chcecie? – zapytał Marecki.

Milewski wyciągnął spod kurtki aparat fotograficzny i pokazał mu zdjęcia zrobione pod śluzą.

– Idziesz siedzieć – skomentował zwięźle.

Marecki uśmiechnął się lekceważąco.

– Nie na długo.

Przez moment milczeli.

– Zabiłeś mi męża? – spytała Dominika, przesunawszy się tak, by stanąć na wprost niego.

Ich twarze dzieliły jedynie centymetry, Marecki bardziej to jednak poczuł, niż zobaczył.

– Nie.

– Wyciągnąłeś go wtedy nieprzytomnego z salonu masażu? – ciągnęła, a gdy nie odpowiedział, zadała kolejne pytanie: – Kto zabił jego i Olę?

– Nie wiem – odezwał się po chwili, ale w jego tonie były taki chłód i protekcyjne lekceważenie, jakby nie zależało mu na tym, by odpowiedź była przekonująca.

Nagle ciszę pogrążonej w ciemnościach polany przeszył suchy trzask wystrzału, a Marecki zawył z bólu i padł na ziemię, trzymając się za nogę.

– Wiesz. – Dominika pochyliła się nad nim. – I powiesz.

Jakiś czas mężczyzna jęczał i sapał, próbując jakoś zniwelować przeszywający go ból.

– Kurwa, co oni z ciebie zrobili?!

– Chyba raczej: co wyście ze mnie zrobili. – Stawecka przyłożyła mu lufę glocka do drugiej nogi. – Kto?!

– Myśliwiec. On wymyślił tę całą intrygę – wystękał Marecki.

– Intrygę?

– On podsunął pomysł Ruskim. Najpierw napuścił na ciebie żonę, a potem, jak zaczęła mu fikać, że nie może ci tego dłużej robić, odwalił ją... – Marecki zaciął się na moment i znów zaczął sapać z bólu.

Tymczasem komisarz, który po tym, jak Dominika postrzeliła Zenona, był w głębokim szoku, w końcu się ogarnął i bez słowa ruszył do samochodu. Po chwili wrócił z apteczką, wyciągnął z niej bandaż i zaczął owijać Mareckiemu nogę powyżej kolana, robiąc opaskę uciskową. Ochroniarz przyjął to z ulgą i wyraźną wdzięcznością. Teraz wiedział już, że jeśli przeżyje tę noc, będzie to zawdzięczał temu facetowi. Kobieta, której obecność początkowo go rozbawiła, okazała się znacznie groźniejsza i bardziej bezwzględna.

– Sam? Odwalił ją sam? – zapytała Dominika, nie zważając na to, co robił komisarz.

– Tak. Nożem przyniesionym z kuchni – potwierdził Zenon.

– Pierwsze zabójstwo amatora – Milewski włączył się do rozmowy, po czym powiedział do Dominiki: – Musimy go odwieźć do szpitala, inaczej zaraz się wykrwawi.

– Dodatkowa motywacja, panie Marecki. – Choć nie mógł tego zobaczyć, Dominika spojrzała na niego. – Co dalej?

– Dalej? Dalej wystawił ciebie, a kiedy mąż, który połapał się już prawie we wszystkim, pomógł ci uciec, przyczaił się na jakiś czas i w końcu odwalił też jego. Od dawna go nienawidził. Tak naprawdę od początku chodziło o Mariusza, jego pozycję i stanowisko, ale też o posłuch i szacunek, jakim darzyli go ludzie. Myśliwiec zawsze był tylko jego gorszą wersją. – Marecki rzeczywiście chyba poczuł presję wpływającego wraz z krwią czasu, bo się rozgadał.

– Jak? Jak go zabił? – Dominika chciała wiedzieć jednak więcej.

– Jak, jak... Normalnie. Przewieźliśmy go nieprzytomnego, on kazał posadzić go na krześle i powiedział, żebyśmy spierdalali, a po chwili padł strzał. Pewno przyłożył mu gnata do głowy i go odwalił, potem wsadził mu pistolet w dłoń i tyle. Samobójstwo. – Marecki dyszał coraz ciszej, słabnąc wyraźnie z każdą chwilą. – Starczy?

Dominika spojrzała w stronę, gdzie – jak jej się zdawało – powinien stać komisarz.

– Nagrałeś wszystko?

– Tak.

– Gdzie jest najbliższy szpital?

Najbliższy szpital był w Dąbrowie Leśnej. Jechali najpierw krętą szosą przez las, po drodze przed samochód wyszła im jeszcze sarna. Dziwnie było patrzeć w oczy tego niewinnego stworzenia, kiedy właśnie przestrzeliło się łydkę facetowi, który leżał teraz, jęcząc, na tylnym siedzeniu. Po dotarciu pod izbę przyjęć Milewski pobiegł po sanitariuszy, a gdy zajechali z noszami, powiedział im, że znaleźli faceta na ulicy z urazem nogi. Kiedy tylko Marecki trafił w ręce lekarzy, ruszyli w stronę Warszawy. Po tym incydencie tamci na pewno rozpoczną szeroko zakrojone działania, by ich ująć, zanim narobią im jeszcze

więcej problemów. Trzeba było więc przede wszystkim zmienić znów miejsce pobytu, porzucić gdzieś audi komisarza i przesiąść się do jej tipo, wymieniwszy w nim ponownie tablice rejestracyjne.

Do wynajmowanego na Irenę Misiak apartamentu w nowo wybudowanym bloku na Okęciu weszli pół godziny później. Niestety, kiedy Milewski odwrócił się, by zamknąć drzwi, zobaczył wymierzoną w siebie lufę pistoletu.

– I co teraz? – młody mężczyzna w garniturze zapytał lekko łamaną polszczyzną.

Komisarz wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ty mi powiedz.

Powrót klonów – pomyślała Stawecka, przy której, również z bronią w ręku, stała kobieta w garsonce.

– Teraz pojedziecie z nami, a potem znikniecie – powiedziała kobieta chłodno i bez przesadnej satysfakcji, zupełnie jakby informowała ich o tym, kiedy zjawi się najbliższy autobus. – Za dużo już zepsuliście nam szyków.

– Za bardzo popsuliście nam szyki – poprawiła ją Dominika.

– Co?

– Nic. Jak to zrobiliśmy? – Dominika próbowała udawać zdziwioną.

– Już ty wiesz jak – włączył się męski klon. – Idziemy, tylko grzecznie, bo zmienimy kolejność i najpierw zginiecie, a potem was zabierzemy.

– W sumie niewielka różnica – stwierdziła Dominika, po czym z głupia frant zapytała kobietę: – Rzeczy mogą zabrać?



– Po co? Do tamtego świata? – Klon w garsonce uśmiechnął się bardzo nieprzyjemnie.

– Na tamten świat – mruknęła Stawecka i popychana lekko, ruszyła w kierunku drzwi.

Na korytarzu facet prowadził Milewskiego przodem, ona z kobietą szły kilka kroków za nimi.

– Po co było zabijać męża? – spytała nagle Rosjanka.

Dominika zatrzymała się gwałtownie.

– Co ty pierdolisz?! – warknęła, patrząc tamtej prosto w oczy.

– Idź! – Kobieta uderzyła ją ręką, w której trzymała broń.

To był błąd. Błędów zresztą było kilka, ale zadanie pytania o zabicie męża było błędem absolutnie kluczowym. Nim agentka zdążyła cofnąć pięść z zaciśniętym w niej waltherem, Dominika uderzyła ją łokciem pod brodę. Padł strzał, lecz na tyle przypadkowy i niemierzony, że kula trafiła w lampę na suficie. Gdy zamroczona Rosjanka próbowała się zorientować, gdzie jest góra, a gdzie dół, Stawecka kucnęła i podcięła ją wprawnym kopnięciem. Tak gwałtowny upadek, i to jeszcze, gdy nie wie się akurat, gdzie góra, a gdzie dół, człowiek będzie się starał zamortyzować rękami, tyle że w tym celu dłonie muszą być wolne. Broń Rosjanki poszorowała po podłodze. Nim jej partner zorientował się, co się dzieje, Dominika złapała leżącego walthera, a Milewski, korzystając z zamieszania, chwycił faceta za rękę i uderzył nią o pobliskie drzwi z taką siłą, że drugi pistolet poleciał na podłogę. Rosjanin usiłował jeszcze schylić się po niego, ale trafiony kolaniem w twarz padł na plecy.

W tym momencie otworzyły się drzwi, w które przed momentem Milewski przywalił uzbrojoną jeszcze wtedy dłonią klona.

– Co jest, kurwa?! – rzucił zarośnięty facet w luźnych gaciach i podkoszulku bez rękawów.

Odpowiedź nie nadeszła, jednak już samo to, co zobaczył, powiedziało mu, że dalsze dociekanie nie ma sensu.

– A spoko – burknął tylko dla utrzymania fasonu i zniknął w mieszkaniu.

Dominika dopadła tymczasem do leżącej kobiety, która powoli starała się odzyskać podstawową wiedzę o grawitacji, przycisnęła jej szyję kolanem do podłogi, po czym wraziła pistolet w środek czoła.

– Posłuchaj mnie uważnie, ruska kurwo. To nie ja zabiłam mojego męża i nie ja zabiłam moją kochankę. To mnie ich zabito. Więc jeśli nie zrobiliście tego wy, to... – Popatrzyła na nią. – *Panimajesz?*<sup>19</sup>

– *Da.* Ale i tak cię zajebimy – wycharczała Rosjanka.

– Nie sędzę. Twój szefowie nie zabijają ludzi bez sensu. – Stawecka pokręciła głową. – Szkoda na to czasu, nerwów i ołowiu.

– Nerwów? My się nie denerwujemy – odpowiedziała kobieta.

– Ale wasi szefowie się denerwują. A teraz spierdalaj stąd i tylko przekaż wyżej to, co ci powiedziałam. Jak tego nie zrobisz, szefowie odwalą cię, nie mnie. – Dominika wstała, odruchowo otrzepując kolano, jakby klęczała na czymś, co wyjątkowo ją brzydziło.

Wojtek Myśliwiec musiał się spodziewać nieuchronnego, bo kiedy tamci przyjechali wyjaśnić z nim okoliczności śmierci jego żony i szefa Komisji do spraw Służb Specjalnych, czekał na nich z grupą kolegów, wśród których był też kulejący wciąż po incydencie w Palmirach Zenon Marecki. Wywiązała się strzelanina na tyle skomplikowana i długotrwała, że przez tydzień na wszystkie możliwe sposoby i z udziałem wszelkich dostępnych ekspertów analizowały ją media w całym kraju, a nawet kilka zagranicznych. W efekcie wymiany ognia na miejscu zginęło szereg osób, w tym prześladowająca Dominikę kobieta

w garsonce, jej nieodłączny partner zaś został ranny. Po kilku tygodniach pobytu w szpitalu, gdzie między innymi przeszczepiono mu wątrobę, Ministerstwo Spraw Zagranicznych poprosiło swojego odpowiednika z Federacji Rosyjskiej, by zabrał go wraz z kilkoma innymi uczestnikami wydarzeń i by osoby te nigdy więcej nie przyjeżdżały już do Polski. Wojciech Myśliwiec pod koniec zajścia zdołał wprawdzie wymknąć się z obławy Rosjan i ominąć patrole nadciągającej na miejsce policji, ale wtedy właśnie prosto w głowę trafiła go zbłąkana kula. Nigdy nie udało się ustalić, kto ją wystrzelił, wiadomo było jedynie, że zaskoczyła go na ostatniej prostej do wolności. Zarówno strona polska, jak i rosyjska – choć z różnych powodów – bardzo chciały, żeby ta sprawa jak najszybciej została zamknięta. Dziennikarze co prawda dłubali w niej jeszcze długo, ale nigdy nie zdołali się przegryźć do samego dna historii.

– Panie ministrze, jaka będzie zatem pańska decyzja?

Dominika nie patrzyła na wciąż zszokowanego jej obecnością mężczyznę w garniturze. Wyglądała przez okno, bo tam podobało jej się znacznie bardziej niż w jego urządzonym trochę na modłę socrealistyczną gabinecie. Na zewnątrz była wolność, którą kochała i którą przy złym splocie okoliczności mogła za chwilę stracić na długie lata.

Od pamiętnej bitwy między ludźmi z GRU, bandytami chroniącymi ministra Myśliwca i w końcu też pododdziałem kontrterrorystycznym warszawskiej policji upłynęły mniej więcej dwa tygodnie. Medialna wrzawa zdążyła już opaść. Dziennikarze wprawdzie zadawali wciąż pytania, ale były one znacznie mniej natarczywe, a większość pytających nie miała wielkiej nadziei na rozwiązanie tej tyleż spektakularnej, co zawikłanej sprawy. Po konsultacji z Milewskim Dominika uznała, że to najlepszy moment, by przyjść na pierwszą linię bitwy z mediami do

Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i z jego szefem uzgodnić swoje dalsze losy. Mogła oczywiście niczego z nikim nie uzgadniać, wyjechać tam, skąd przyjechała mniej więcej miesiąc temu, i rozpląnąć się w niebycie, a raczej w pięknie jedynej w swoim rodzaju wyspy. Mogła tam wrócić i pozostać wtórnikiem Ireny Misiak. Mogła, lecz nie chciała do końca swych dni być uciekinierką ani żyć pod pożyczoną tożsamością. Ale bardziej jeszcze nawet od lęku przed ciągłym uciekaniem, przed zaszczuciem, przed życiem ze świadomością wiszącej nad nią kary Dominika chciała wyczyścić to, co bolało ją najbardziej, czyli przekonanie wszystkich o jej odpowiedzialności za śmierć Oli, a potem – może nawet przede wszystkim – Mariusza. Może chodziło również w jakimś sensie o to, że gdy ogół zaakceptuje jej niewinność, także jej łatwiej będzie pogodzić się z sobą.

Do gabinetu weszła przed kwadransiem. Ministra Wojtczaka znała jeszcze z czasów, gdy wszystko było normalnie. On też ją znał, ale idąc do niego tego ranka, nie była nawet pewna, czy zostanie wpuszczona do budynku, a jeśli tak, to czy swobodnie go opuści, czy może zawiozą ją gdzieś, gdzie wcale nie będzie chciała. Problemy zaczęły się już przy bramie – wartownik nie chciał jej przepuścić. Po chwili okazało się jednak, że do wejścia do budynku w zupełności wystarczyło samo jej nazwisko. W końcu pracownicy tego ministerstwa przez kilka miesięcy próbowali ją znaleźć, a teraz ona znalazła się sama. Na dole, przy punkcie wydawania przepustek przez jakiś czas zdawało jej się, że to tu zakończy się jej droga do gabinetu, ale oprócz wnikliwej rewizji i tego, że jeden z pilnujących wejścia policjantów został awansowany na jej opiekuna, nic więcej się nie wydarzyło i dziesięć minut później dostąpiła zaszczytu zreferowania wszystkiego szefowi Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Mówi pani, że wszystko od początku do końca zaaranżowane było przez Myśliwca? – zapytał, lecz odniosła wrażenie, że ta akurat hipoteza

nie była dla niego ani przesadnie zaskakująca, ani nowa.

– Na to wychodzi, panie ministrze. – Pokiwała głową. – Od dawna musiał być z nimi dogadany. W jakimś momencie podsunął im pomysł zastawienia na mnie pułapki. Prawdopodobnie zapewnił ich, że dzięki temu będą mieli stały dostęp do informacji, ale tak naprawdę od początku grał na siebie. Zamierzał wykończyć Mariusza i zająć jego miejsce. Najpierw zabił Olę, bo odmówiła dalszej współpracy. Od tej chwili to, co wcześniej działało całkiem nieźle, zaczęło szwankować. Mój mąż mnie ocalił, więc Myśliwski upozorował jego samobójstwo. Psychologicznie było to uzasadnione. W końcu Mariusz czuł się upokorzony sytuacją: stracił rodzinę, żonę, pracę... Na koniec Myśliwiec wmówił im, że już nie będą potrzebowali dojścia do szefa Komisji do spraw Służb Specjalnych, bo od teraz szef służb będzie dojściem sam w sobie. Byli zadowoleni, ale gdy się dowiedzieli, że ich rozegrał, wkurzyli się i zrobili zajazd. Tyle.

– Nie do końca. – Minister zawiesił głos i spojrzał na nią groźnie. – Dwie sprawy. Po pierwsze, zarzut, że przekazywała pani ściśle tajne informacje, wciąż jest aktualny. Wprawdzie od pewnego momentu, kiedy pani mąż zorientował się, co się dzieje, informacje te były fałszywkami, ale nie zmienia to faktu, że świadomie pani...

– Jak to zorientował się? Kiedy? – Dominika była totalnie zaskoczona.

– Nie wiem dokładnie. W każdym razie to rozmieszczenie Patriotów było już lewe. – Minister wzruszył ramionami.

Czyli mnie wystawił, pomyślała Dominika. Użył do prowadzenia swojej cholernej gry. Wiedział, ale nic nie zdradził, nie przerwał tego.

– Po drugie, od dwóch tygodni prowadzimy dochodzenie w sprawie tego, co pani nazywa zajazdem. – Wojtczak przywrócił ją do rzeczywistości. – Wydaliliśmy sporo osób, dokonaliśmy aresztowań,

tylko jedno jest wciąż niejasne. Po badaniach balistycznych nie udało nam się znaleźć broni, z której zastrzelono Myśliwca. Wprawdzie badania DNA jednoznacznie wskazują, że to on odpowiada za śmierć swojej żony i pani męża, ale jego wina nie przekreśla winy tego, kto go zabił.

Dominika przyglądała mu się, zbierając myśli.

– No więc po kolei – zaczęła. – Najpierw sprawa druga. Być może ktoś, kto brał udział w strzelaninie, zbiegł, zabierając broń, którą posłużył się do zabicia Wojtka... przepraszam, pana Myśliwca. – Starła się być spokojna i pomocna, ale z tyłu głowy wciąż miała myśl, że Mariusz też w jakimś sensie ją zdradził.

– To był karabin snajperski. Kula została wystrzelona przez snajpera – wyjaśnił minister.

– Zatem snajper zbiegł – zamknęła temat.

Minister pokiwał głową, lecz widać było, że dla niego sprawa zamknięta nie jest, a co więcej, nigdy zamknięta nie zostanie.

– A pierwsza sprawa? – wrócił do rozmowy.

– Owszem, przekazałam im kilka informacji – przyznała Dominika. – To się stało i zawsze już będzie, głównie w mojej pamięci i w mojej świadomości. Z drugiej strony, o ile dobrze rozumiem, woleliby państwo, by informacje o Myśliwcu, o jego podwójnej grze i o tym, że ktoś tak wysoko postawiony przez lata był szpiegiem obcego państwa, nigdy nie trafiły do opinii publicznej? – zaszachowała go.

Wojtczak przyglądał jej się chwilę, jakby ważył coś w głowie. Prawdopodobnie wcale nie zależało mu na tym, by posadzić ją na lata. Lubił ją taką, jaką poznał u boku swojego wieloletniego kolegi Mariusza Staweckiego, podobała mu się jako cicha żona mądrego, szanowanego i lubianego człowieka, ale może bardziej jeszcze podobała mu się

obecnie, jako kobieta, która przeszła totalną metamorfozę i była już zupełnie kim innym. Trochę przerażała go wprawdzie świadomość, że podobnie mogłoby się stać z innymi kobietami, na przykład z jego żoną, lecz nie zmieniało to faktu, że Dominika bardzo mu tym wszystkim zaimponowała.

– Rozumiem – powiedział w końcu, poddając partię, której nie mógł wygrać, a co więcej, wcale wygrać nie chciał. – Dziękuję pani bardzo za wszystkie informacje kluczowe dla rozwiązania tej sprawy. Mam nadzieję, że kiedyś uda nam się spotkać w bardziej sprzyjających okolicznościach.

– Jestem wolna? – zapytała wciąż jeszcze niepewna.

– Tak, pani Dominiko, jest pani wolna.

Dominika wyszła przed zwalisty budynek ministerstwa, rozejrzała się i ruszyła z powrotem na ulicę Batorego, gdzie zaparkowała swoje tipo z kradzionymi tablicami. Była więc wolna. Po raz pierwszy od niemal roku, a tak naprawdę może nawet po raz pierwszy w życiu ciężar strachu, odpowiedzialności i wyrzutów sumienia odrobinę zelżał.

Zaraz jednak ogarnął ją niezmierny smutek. Świadomość, że aby mogła dotrzeć do tego miejsca, aby historia mogła wreszcie zdjąć z niej choćby część tego brzemienia, musiały zginąć dwie najbliższe jej osoby, przygniotła ją nieomal do trotuaru. Ale po chwili przypomniała sobie, że ma jeszcze dwie bliskie osoby, może najważniejsze, które przez to wszystko tak bardzo się od niej oddaliły. Dzieci. W ciągu ostatnich tygodni udało jej się przemeblować sytuację przynajmniej na tyle, że były już bezpieczne. Wcześniej, oprócz poczucia winy wobec nich, ciągle nosiła w sobie lęk, czy tamci – w ramach szukania jej lub zemsty na niej – nie postanowią w jakimś momencie zagrozić też Ani i Rafałowi. Teraz tego akurat już nie było, bo nie było już „tamtych”,

lecz pytanie o to, co myślą o niej dzieci, i czy choć trochę jej wybaczyły, pozostawało otwarte.

Czy uda się je kiedykolwiek zamknąć?

Nie spotkali się w ich domu na Żoliborzu, bo do niego Dominika bała się nawet zajrzeć, a poza tym mieszkająca w nim Ania i pomieszkujący Rafał wcale jej tam nie zapraszali. Dominika musiała odwiedzić firmę, żeby przekazać wszystkie sprawy nowemu właścicielowi, koledze, który wcześniej pracował u niej na etacie, a zaledwie kilka dni temu odkupił od niej udziały i przejął klinikę. Wykorzystała ten moment i miejsce, w którym pomimo wszystkich złych rzeczy, jakie wydarzyły się ostatnio wokół jej osoby, nikt nie traktował jej ani z niechęcią, ani z udawaną sympatią. W klinice było po prostu normalnie, co wynikało po części z tego, że zawsze była tu lubiana i ceniona jako pracodawca, a dodatkowo z tego może, że pracowali w niej ludzie, którzy na co dzień mieli do czynienia z sytuacjami tak złożonymi, iż to, co przytrafiło się jej, nie było aż tak szczególne.

Anię i Rafała zaprosiła do sali konferencyjnej, która od zawsze była jej oczkiem w głowie. Urządziła ją według własnego projektu, a przyświecała jej myśl, by była miejscem jak najbardziej przyjaznym i relaksującym. Zielone pufy, ściany zdobione leśnymi fototapetami, stół z grubym blatem z litego drzewa. Koledzy śmiali się z niej czasem, że zainspirowała ją toaleta na stacji benzynowej, ale lubili tu przychodzić, a ich cotygodniowe narady zawsze przebiegały w miłej atmosferze. Może nie decydowały o tym zielone pufy, tylko sympatia, którą wszyscy się darzyli, lecz ściany z drzewami na pewno temu nie przeszkadzały. Dziś te pufy, blat i fototapeta stanowiły jedyne spokojne elementy, ponieważ ich spotkanie było przenicowane niepokojem, żalem i jej wyrzutami sumienia.



– Wyjeżdżam i chciałam się z wami pożegnać – Dominika zaczęła zaraz po tym, jak Ewa, jej dawna asystentka, wyszła, postawiwszy przed nimi filiżanki z kawą i herbatniki, które zresztą były w całej tej sytuacji elementem cokolwiek absurdalnym.

– Chyba niedawno przyjechałaś. – Rafał nie patrzył na nią, tylko na przemian zerkał na siostrę i wyglądał za okno.

Dominika pokiwała głową.

– Tak. Przyjechałam, załatwiłam, co miałam załatwić, i wyjeżdżam.

– Wypuszczą cię? – zdziwiła się Ania z niespecjalnie ukrywanym sarkazmem.

– Tak.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– A co właściwie załatwiłaś? – Teraz Rafał uśmiechnął się ironicznie.

– Doprowadziłam do tego, że winni śmierci Oli i taty ponieśli karę – wyjaśniła cicho.

– Myślałem, że to ty jesteś winna tego, że tata się zabił. – Rafał spojrzał na nią po raz pierwszy.

– Tata się nie zabił. Tatę zabił ten sam człowiek, który wcześniej zamordował Olę. Jej mąż, Wojciech Myśliwiec – Dominika odparła trochę głośniej.

Wiele była gotowa wziąć na siebie, zresztą nie miała wyjścia, bo jej wina była ogromna i niewątpliwa, ale akurat śmierci swojego męża i ich ojca winna nie była. Jakiś czas temu dokonanie tego odkrycia pomogło jej zresztą w ogóle przeżyć.

– Jak to? – Rafał był może nawet bardziej zdziwiony niż jego siostra, gdy się o tym dowiedziała wcześniej.

Swoją drogą fakt, że Ania zachowała się lojalnie wobec niej i nie powiedziała o tym bratu, rokował nie najgorzej. A przynajmniej dawał Dominice cień nadziei, bo świadczył o tym, że córka w jakiś sposób wciąż ją szanuje.

– Myśliwiec wszystko uknuł. Chciał wysadzić ojca z siodła i zająć jego miejsce. To on napuścił na mnie Olę. Czemu się zgodziła, już nigdy się nie dowiemy, ale potem ją zabił, bo się zbuntowała i zagroziła, że mi powie. – Dominika grała z nimi w otwarte karty.

Wiedziała, że tylko dzięki temu uda jej się może kiedyś odzyskać ich chociaż częściowo. Cokolwiek to miałoby znaczyć.

– Później, gdy mnie już nie było, a tata mógł mieć motyw, bo żona zdradziła jego i kraj, a on stracił pracę, Myśliwiec upozorował jego samobójstwo i odtąd wszystko wskazywało na to, że go zastąpi – Dominika wyjaśniła im po kolei sprawy, ale na koniec musiała jeszcze dodać: – Nikt nigdy żadnej z tych informacji nie przekaże opinii publicznej, bo są zbyt kompromitujące dla wszystkich. Dlatego wy też nigdy nie możecie o tym nikomu powiedzieć.

– Czegoś jeszcze nie możemy? – zbuntował się Rafał.

– Nie. – Dominika spokojnie pokręciła głową. – Wszystko inne możecie, ale to nie, bo mogą zginąć kolejni ludzie.

– Co to znaczy, że doprowadziłaś do tego, że winni ponieśli karę? Jaką, skoro nikt tego nigdy głośno nie powie? – Wciąż był buńczuczny i wściekły.

Dominika popatrzyła na Anię, a potem na Rafała.

– Myśliwiec i kilka innych osób nie żyje, wielu agentów obcego wywiadu musiało opuścić kraj.

– Doprowadziłaś do tego, że Myśliwiec nie żyje? – Na twarz Rafała znów wypełził wykrzywiony sarkazmem uśmiech.

– Tak. – Pokiwała głową ze smutkiem.

Przez chwilę siedzieli w głębokim milczeniu. Ania zastanawiała się wręcz, czy zaraz nie usłyszą szumu drzew z fototapety.

– Nie umiem, nie mam prawa ani śmiałości prosić was o wybaczenie – Dominika odezwała się tak cicho, że nie była pewna, czy w ogóle mówi. – Ale uważam, że powinniście znać prawdę o wszystkich okolicznościach.

– Czemu nie powiedziałaś tacie o Oli? Wtedy, kiedy to się zaczęło, kiedy zaczęli cię szantażować? – Ania spojrzała jej prosto w oczy.

Dominika zastanawiała się jakiś czas.

– Bo bałam się, że mi nie wybaczy, że mnie potępi, odrzuci, będzie się brzydził. Był bardzo religijny...

– Wszyscy byliśmy religijni, nadal jesteśmy, ale ani ja, ani Rafał nie brzydzimy się cię przez to – wcięła się Ania.

– Jesteście młodzi, dorastacie w innym świecie, wasza religijność jest inna. Bałam się, że nie będzie już domu, nie chciałam stracić jego ani was. – Dominika była bliska łez, lecz znów, jak w czasie wcześniejszego spotkania z Anią, wiedziała, że nie ma do nich prawa, więc trzymała się z całych sił. – Ale wiem, że zrobiłam rzecz najgorszą z możliwych. Mój lęk kosztował go życie. Gdybym mu wtedy powiedziała, żyłby pewno nadal. Tego nigdy sobie nie wybaczę.

– Jeśli Myśliwiec chciał zrobić to, co zrobił, to i tak by do tego doprowadził, jak nie w ten, to w inny sposób – rzekł Rafał. – Gdyby tata dowiedział się od ciebie, to też byłby dla niego dramat i pod to też można by podpiąć samobójstwo.

Po tych słowach Dominika wstała i podeszła do okna. Czasem łzy płyną ludziom z oczu nawet wtedy, gdy oni sami się nie rozpłakali.

– Niedługo, jak zainstaluję się na miejscu, wyślę wam wszystkie namiary: adres, mail, numer komórki – odezwała się w końcu. – Jeśli kiedykolwiek zechcecie, to ja zawsze jestem do waszej dyspozycji, tam, tutaj, wszędzie. Pamiętajcie, że jestem dla was, w każdej chwili i w każdych okolicznościach. Teraz wyjeżdżam, bo wydaje mi się, że tak będzie lepiej, i to wy zdecydujecie, czy chcecie mnie widzieć, czy nie.

– Nie będziesz się już ukrywać? – zdziwiła się Ania.

– Nie, nie muszę. Zawarłam układ z górą, sporo im pomogłam, sporo wiem... – zaczęła wyjaśniać.

– Świadek koronny? – przerwał jej Rafał.

– Coś w tym rodzaju, tylko jakby na odwrót. Mam immunitet nie za to, że coś zeznam, tylko za to, że nic nigdy nie zeznam. Stąd też zresztą moja prośba, żebyście to, co wam powiedziałam, zachowali dla siebie.

– To czemu nie zostaniesz po prostu tutaj, skoro nic ci już nie grozi? – Ania chciała wiedzieć więcej.

– Czemu? – Dominika odwróciła się od okna i popatrzyła znów na nich. Łzy przeszły na tyle, że nie było ich już, miała nadzieję, widać. – Bo nie potrafiłabym już tu żyć, bo to życie się skończyło, bo za bardzo boli, bo chcę wam dać przestrzeń i spokój, żebyście wy też mogli o tym wszystkim powoli zapomnieć. – Uśmiechnęła się blado. – Bo jedyne, co chciałabym z tamtego życia ocalić, to wy, a reszty już nie ma. Dlatego zawsze będę na was czekać...

Na Sycylię i tym razem pojechała samochodem. Inna to była jednak podróż – na własnych warunkach i na własnych papierach. Tylko typo było wciąż zarejestrowane na Irenę Misiak, cała reszta tożsamości należała już do niej. Wróciły dowód i paszport, wróciło konto bankowe. Jedyne, co jeszcze musiała zrobić, wcielając się na chwilę w tę kobietę,

to przelać środki zgromadzone na jej koncie na własne, a potem zamknąć tamto.

Sprawy Ireny Misiak, rezydentki Cianciany, zamknąć się nie dało, trzeba by bowiem przedstawić jej akt zgonu, biedaczka zatem musiała pozostać fikcyjną mieszkanką Sycylii przynajmniej do czasu, aż stracą ważność wydane na nią dokumenty.

Drogę do Włoch celowo obrała tę samą, którą cztery miesiące wcześniej jechał wybrany przez Mariusza Bogdan, ratując jej zapewne życie. Gdyby zgarnęło ją ABW, Myśliwiec zadbałby o to, by nie dożyła do procesu. Takie było, wszystko na to wskazywało, założenie całego planu. Miała trafić za kraty, tam – nim udzieliłaby jakichkolwiek wyjaśnień – zginąć, a wtedy samobójcza śmierć Mariusza byłaby jeszcze bardziej prawdopodobna.

Cóż za tragiczna historia. Kobieta ma kochankę i szantażowana współpracuje z obcym wywiadem. W areszcie popełnia samobójstwo, mąż zaś, zmazując plamę na honorze własnym i jej, a może z żalu po jej śmierci, też odbiera sobie życie, zostawiając biedne dzieci. Wszystko ma sens. Myśliwiec składa wieniec na grobie małżonków, a następnie – robiąc wreszcie to, co zawsze chciał robić, czyli rządząc służbami – kabluje Rosjanom do końca swych szczęśliwych dni.

O tym dokładnie rozmyślała Dominika, jadąc doliną Isarco w kierunku Bolzano. Przy dobrych wiatrach za osiem godzin dotrze do Civitavecchii i kupi bilet na prom, a rano będzie na wyspie. Właśnie, wyspa. W zasadzie każda wyspa dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Odkąd sięgała pamięcią, chodziło o to samo – o jakąś formę ucieczki, odizolowania się od tego, co na lądzie, od pracy, może też w jakimś sensie od rodziny, choć przecież uwielbiała jeździć na wyspy z Mariuszem i z dziećmi. Nie, rodzina nie była problemem, raczej obyczaj, to, co pętało rodzinę tam, gdzie nie było wyspy.

Zawsze w każdym razie towarzyszyła jej owa chęć wyrwania się. Ola też była rodzajem wyspy oderwanej od lądu, na który została skazana w życiu, od lądu ram kulturowych, obyczaju, ale również przyzwyczajzeń, nawet natręctw. Ola. Gdzie jesteś, moja piękna kochanko? Wreszcie Dominika wiedziała, a w każdym razie miała wszelkie podstawy przypuszczać, że Ola zginęła, gdyż sprzeciwiła się Wojtkowi i nawet jeśli weszła w wymierzony w Dominikę układ, bo tak wyreżyserował to jej mąż, to z czasem – jak to bywa – przymus i inscenizacja zmieniły się w prawdę i szczerść, a wtedy w ramach swoistej kary i sprawiedliwości musiała zginąć za grzech wcześniej udawanej miłości.

Nie wolno udawać miłości, bo to w końcu jedyne antidotum na okropieństwa tego świata.

Zginęła za udawanie miłości, gdy chciała przestać udawać, bo pokochała naprawdę. Nie było jak tego zweryfikować, ponieważ jedynym źródłem informacji pozostał Marecki. Kiedy dwa dni przed wyjazdem pozwolono Dominice porozmawiać z nim, to właśnie jej powiedział. Czy był alfą i omegą w tej konkretnej sprawie? Tego nie wiedziała, ale postanowiła mu uwierzyć, bo tak po prostu było lepiej. Marecki też jakoś dogadał się z władzami, choć nie miał tak komfortowej sytuacji jak ona, narozrabiał bowiem znacznie bardziej. Poza tym ona miała zupełnie inną motywację, no i pomogła w ujęciu lub likwidacji tych złych, do których należał.

Jedno ich wszakże łączyło – oboje wiedzieli dużo o rzeczach, o których świat miał się nie dowiedzieć.

W jego wypadku skończyło się na ugodzie: trzyletni wyrok, a później mógł robić, co chciał, pod warunkiem, że całą posiadaną wiedzę zachowa dla siebie. Wprawdzie ani wobec niego, ani wobec niej nie opracowano żadnego planu, na wypadek gdyby jednak postanowili

podzielić się z kimś swoją wiedzą, ale między wierszami mogli wyczytać, że grozi za to najwyższy wymiar kary, ten, który teoretycznie usunięto z kodeksu karnego przed wielu laty.

Prom, choć jeszcze nie dotarł na wyspę, dawał już dość podobne doznania, prom jest bowiem w jakimś sensie też wyspą, ruchomą wyspą, a zarazem drogą na nią. Dominika stała na pokładzie oparta o reling i wpatrywała się w zachodzące słońce. W ciągu niespełna roku, który całkowicie zmienił jej życie, straciła dwie najbliższe osoby. Czy w tym nowym życiu uda jej się kiedykolwiek odbudować siebie? A jeśli, to jaka będzie ta nowa ona? Po wszystkim, co przeszła i co zrobiła, kim jest teraz? Tą samą osobą, którą znała, czy kimś zupełnie innym?

Czy spowiedź, którą odbyła w końcu w zabytkowym kościele w Mariańskim Porzeczcu, dokąd kuria zesłała księdza Kazimierza za wielki grzech bycia światłym, oczyściła ją z tego wszystkiego, co tak bardzo jej ciążyło? Nie miała takiego poczucia, ale też Bogu tak naprawdę nigdy chyba nie chodziło o to, by spowiedź uwalniała od tego, co ciąży. Wielu tak ją traktowało i przez to wciąż od nowa popełniało grzechy. Ona nie byłaby już w stanie.

– Mariusz wiedział o tym, co robię – powiedziała nagle chwilę po tym, jak dostała rozgrzeszenie i ksiądz Kazimierz wyszedł już do niej z konfesjonału.

– Wiem, Dominiko. – Spojrzał w jej zbolące smutkiem oczy i dodał: – Wiedział, ale nie był w stanie ci o tym powiedzieć, tak jak i ty nie byłaś w stanie mu tego wyznać. Czekał i jednocześnie organizował twoją ucieczkę.

Dominika popatrzyła na smugę światła padającą na ołtarz.

– Wtedy, kiedy był ksiądz u nas na kolacji... wiedział już ksiądz o tym? On już o tym wiedział?

– Tak – odparł i pogładził jej włosy.

– Grzech ciężki. – Spojrzała nagle na niego. – Ten akurat w ogóle mi nie ciąży, nie boli, nie smuci. To bardzo źle?

– Nie i rozumiem cię, ale Bóg na wszelki wypadek ten też ci odpuszcza. – Uśmiechnął się ledwie widocznie.

\*

W Agrigento pierwsze kroki skierowała do palazzo, w którym spędziła wcześniej trzy bodaj najtrudniejsze miesiące w swoim życiu. To stąd, wspierana przez mieszkańców tego szczególnego domu, wyjechała przed miesiącem na swoją, jak myślała wtedy, samobójczą misję. Trzy razy po cztery puknięcia. Ciekawiło ją, czy kod jest ten sam, czy w ogóle jeszcze są w tej dziupli, czy może będzie musiała od tego momentu radzić już sobie tutaj zupełnie sama? Była zdesperowana, a może raczej zmotywowana lub zdeterminowana, bo desperacja opuściła ją chyba tamtego dnia, gdy...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął przed nią Marco. Chwilę mierzył ją wzrokiem, ponieważ Dominika wróciła do oryginalnego koloru włosów i oczu.

– Irena? – Jego twarz rozpromienił uśmiech.

– *Si sono io*<sup>20</sup>. – Dominika pokiwała głową.

Okazało się, że skład teamu zmienił się nieznacznie, ale wciąż byli tu Vincenza, Marco, Alfonso, Massimiliano i Mirella. Dominikę szczególnie ucieszyła obecność tej pierwszej. To z nią miała najbliższe relacje, to ona zadbała o jej wyprawkę, gdy ruszała z powrotem do Polski, uznała więc, że to z nią musi się z tej wyprawki rozliczyć, przy okazji czyniąc tę kobietę jedyną świecką powierniczką swojego największego sekretu.



Z racji tego, czym zarabiała na życie i że znała przeszłość Dominiki, tylko Vincenza mogła się o tym dowiedzieć. A łatwiej zawsze jednak żyć, gdy czymś takim człowiek może się podzielić z kimś oprócz Boga. Co więcej, wszystko odbyło się właściwie bez słów, w każdym razie Dominika nie musiała nic mówić wprost. Gdy zdawała broń, w którą wyposażyla ją Włoszka, wyszło na jaw, że w magazynku glocka brakuje jednego naboju. Na pytanie, czy to oznacza, że pistolet trzeba zniszczyć, Dominika odpowiedziała, że nie ma takiej konieczności. W magazynku snajperskiej beretty też brakowało jednego pocisku. Pytanie się powtórzyło, ale tym razem żadne słowa nie padły. Vincenza spojrzała tylko, a Dominika po sekundzie skinęła głową. Zniszczyć trzeba broń, z której kula została poddana badaniom balistycznym. Z karabinów snajperskich nie strzela się zaś, by ranić. Ujmując rzecz najprościej, oznaczało to, że z tego konkretnego karabinu wystrzelono kulę, która zabiła człowieka. Vincenza pokiwała głową i uśmiechnęła się delikatnie. Dominika wystawiła otwartą dłoń, w której zagłębieniu leżała łuska. Kobieta zabrała ją i tak, bez słów, zakończyła się najpoważniejsza rozmowa, jaką Dominika odbyła z kimkolwiek w całym swoim życiu.

W palazzo mieszkała tym razem tylko dwa tygodnie. W końcu znaleźli dla niej mieszkanie. Dwupokojowe studio w górnej, starej części miasta miało wyjście na mały taras, z którego rozciągał się oszałamiający widok na morze, greckie świątynie Valle dei Templi i starówkę za plecami. Sycylijczyk, który je udostępniał, wyemigrował przed wielu laty do Niemiec. Mieszkanie po rodzicach wyremontował dla swoich dzieci, ale one nie miały ochoty tu przyjeżdżać, więc próbował je wystawiać na Airbnb. Było z tym zawsze dużo zachodu, a on nie musiał tego robić, odpuścił zatem. Już na początku oznajmił, że najchętniej by je sprzedał, a Dominika po pięciu minutach wiedziała, że najchętniej by je kupiła, więc wszystko do tego właśnie zmierzało.

Po kolejnych kilku dniach, tak jak obiecała, wysłała swoje zamiary na komórki Ani i Rafała. Ania odpowiedziała prawie natychmiast, Rafałowi zajęło to kilka dni, niewykluczone, że nakłoniła go w końcu do tego siostra. Może kobiety są bardziej miłosierne, może mniej zasadnicze, a może po prostu wolą, żeby raczej było dobrze niż źle. Dominika zastanawiała się nad tym teraz, siedząc w swojej ulubionej kawiarni przy piazza Pirandello. Od miesiąca każdy dzień rozpoczynała wizytą tutaj. Kiedy jest się samemu, taka rutyna bardzo pomaga, między innymi dzięki temu zresztą powoli zaczynała mieć już znajomych. Na razie rozmowy były wprowadzicie zdawkowe, ale doszła do wniosku, że jeśli może gdzieś osiąść jako nowy członek społeczności, to chyba nie ma lepszego miejsca niż to. Ta wyspa i miasto gościły w swojej historii mnóstwo przyjezdnych, którzy z podróży stawali się w końcu gospodarzami.

– Można? – rozległ się nagle charakterystyczny chrapliwy głos.

Obróciła się spokojnie, bo choć kompletnie nie spodziewała się go usłyszeć, od razu zrobiło jej się miło.

W dzinsowych szortach i granatowym polo z krótkim rękawem Milewski wyglądał jak komisarz policji na wczasach w Agrigento.

– Proszę. – Po raz pierwszy od bardzo dawna uśmiechnęła się odrobinę radośniej.

Usiadł naprzeciw niej i postawił na stoliku przyniesioną z kawiarni filiżankę espresso.

– A pan tu przypadkiem czy sprowadza pana coś konkretnego? – Uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

– Urlop po awansie. – On też uśmiechnął się w reakcji na jej ciepłą ironię. – Zastanawiałem się, gdzie pojechać. Koledzy namawiali na

Islandię, ale że mam w życiu dość chłodu, wybrałem słońce Italii. A skoro Italia, to już cała, więc pokonałem ją i oto jestem.

– Znaczą zwiedzania nie było za wiele po drodze – skwitowała Dominika, a potem dodała: – Jak już prosto na Sycylię, to lepiej na prom wsiąść w Civitavecchii. Podobne cenowo, a trochę mniej męczące.

Komisarz wypił kawę jednym haustem.

– Śledztwo w sprawie zabójstwa Wojciecha Myśliwca umorzono z powodu niewykrycia sprawcy – przeszedł do rzeczy. – Przyjęto, że minister został zastrzelony przez któregoś z Rosjan, ale broni nie znaleziono. Wiadomo jedynie, że był to włoski karabin snajperski Beretta M501, używany rzadko, ale to jeszcze nic nie znaczy...

– Nic nie znaczy w jakim sensie? – zaciekawiała się Dominika.

– Po prostu nic nie znaczy. – Milewski spojrzał na nią spokojnie. – A może jednak coś znaczy?

Wytrzymała jego spojrzenie.

– Kto wie? – odparła, po czym zmieniła temat: – A czy teraz jest już to inne życie, w którym opowiesz mi, co tak naprawdę zdarzyło się dziesięć lat temu?

Jakiś czas siedzieli w ciszy. W końcu on odezwał się pierwszy.

– A gdybym, powiedzmy, po tej podróży chciał się wykapać, to jakie miejsce byś sugerowała?

Dominika przyglądała mu się dłuższą chwilę. W jej głowie kłębiły się myśli i wspomnienia. Wreszcie wstała i zgrabnym ruchem zdjęła z oparcia krzesła jedwabny szal.

– Chodź – powiedziała. – Zabiorę cię tam, gdzie woda spłukuje z człowieka tamto... złe życie.

Milewski wyjechał tydzień później. Podobało mu się bardzo w Agrigento, a jej podobało się, że tu był, ale musiał wracać do swoich obowiązków, gdyż nie odciął się jeszcze od tamtego świata tak jak ona. Nie musiał, bo nie przywodził mu na myśl innego, szczęśliwego życia, które bezpowrotnie utracił.

Mniej więcej dwa miesiące po tym, jak przesłała dzieciom swój adres, ze skrzynki wyjęła list od Ani. Najpierw całe dwa dni zbierała się na odwagę, żeby go otworzyć. Wiedziała, że w środku jest wyrok, od którego nie da się już nijak odwołać.

Wyrok był uniewinniający. Ania pisała, co u niej i że na pewno wkrótce wybierze się na Sycylię, może nawet z bratem. To wszystko jednak dotarło do Dominiki dopiero znacznie później, bo najpierw zobaczyła nagłówek i długo nie mogła dojść do siebie na tyle, żeby przeczytać resztę. List zaczynał się bowiem od słów „Kochana Duomo”.

W całym wszechświecie i w całej wieczności istniał tylko jeden człowiek, który mógł się do niej tak zwrócić.

# Przypisy

- <sup>1</sup> Cześć, mówi Bob. Przyjechaliśmy zobaczyć się z Betty.
- <sup>2</sup> Tak, pozdrowienia dla Petera. Olive jest ze mną.
- <sup>3</sup> Mówisz po angielsku, Ireno?
- <sup>4</sup> Możemy już?
- <sup>5</sup> Piękne, czyż nie?
- <sup>6</sup> Pałacyk.
- <sup>7</sup> Dzień dobry, dziękuję.
- <sup>8</sup> Jaka piękna.
- <sup>9</sup> Plac.
- <sup>10</sup> Chcesz pójść z nami?
- <sup>11</sup> Pójść z wami dokąd?
- <sup>12</sup> Dowiesz się.
- <sup>13</sup> Lepiej?
- <sup>14</sup> Muszę wrócić do domu.
- <sup>15</sup> Włoski numer identyfikacji podatkowej, odpowiednik polskiego NIP-u.
- <sup>16</sup> Wrócisz tu.
- <sup>17</sup> Wrócę.
- <sup>18</sup> Zajazd.
- <sup>19</sup> Rozumiesz?
- <sup>20</sup> Tak, to ja.

Projekt okładki i stron tytułowych: Krzysztof Rychter

Fotografia na okładce: Westend61 | Getty Images

Fotografia autora na skrzydełku: Marta Machej

Wydawca serii: Adrian Tomczyk

Redaktorka prowadząca: Agata Ługowska

Redakcja: Błażej Kemnitz

Korekta: Mirosław Ruszkiewicz, Mirosław Krzyszkowski

Projekt layoutu: Irena Jagocha

Skład i łamanie wersji do druku: MELES DESIGN

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

ISBN 978-83-240-6661-2

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Skład wersji elektronicznej na zlecenie Wydawnictwa Znak: Monika Lipiec /Woblink

## W SERII ZNAK CRIME UKAZAŁY SIĘ DOTYCHCZAS:

1. *Półmistrz*, Mariusz Czubaj
2. *Oszustka*, Aleksandra Śmigiełska
3. *W snach to ja trzymam nóż*, Ashley Winstead
4. *Bez wyboru*, Agnieszka Płoszaj
5. *Dobra żona*, Darby Kane
6. *Otulina*, Klaudiusz Szymańczak
7. *Spirala*, Igor Brejdygant

## NADCHODZĄCE PREMIERY:





*E-booki dostępne na*  
**woblink.com**

---

Przeczytaj, co o naszych książkach sądzą inni czytelnicy, i oceń je na  
**lubimyczytać.pl**